WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

CAŁY DOCHÓD ZE SPRZEDAŻY PRZEZNACZONY NA FUNDACYĘ KONKURSOWĄ IMIENIA WŁADYSŁAWA LUDWIKA ANCZYCA.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC: ŻYCIE I PISMA

OPRACOWAŁ
DR. MARYAN SZYJKOWSKI

TOM V.

UTWORY DRAMATYCZNE

KRAKÓW · MCMVIII · NAKŁADEM RODZINY
KSIĘGARNIA G. GEBETHNERA I SPÓŁKI

NIMFA CHAOSU*)

TRAGEDYA W 5 AKTACH Z PROLOGIEM I EPILOGIEM

PRZEZ OXYGENJUSZA D'AZOTE NAPISANA, Z MUZYKĄ MAESTRA BERSELIO.

*) Ogłoszono bezimiennie w »Szpargałach wiosennych humorystyczno-artystycznych, zebranych przez bocianów polskich«, Warszawa 1859, folio na str. 47 i n.

OSOBY.

KWASORÓD, Pan na zamku Żelaznej Rury.
NIEDOKWAS, jego syn.
NIEDOKWASEK, bratanek Kwasoroda.
KOPERWAS, stary marszałek dworu.
TRĄBA POWIETRZNA.

Rzecz w zamku Żelaznej Rury.



PROLOG.

Teatr przedstawia wielką salę w zamku Żelaznej Rury. Noc. Straszliwa burza, niekiedy światłem błyskawic przerywana. Pioruny raz w raz przebiegają scenę. Uragan zrywa dachy i wali baszty. Trzęsienie ziemi w szybkich uderzeniach druzgocze wszystko, co uragan oszczędził. Deszcz, grad, zawieja, śnieg i szron. Przez wielkie okno w głębi widać przechadzającą się poważnie po niwach okolicznych Trąbę Powietrzną.

SCENA PIERWSZA.

KWASORÓD *(wchodzi szybko z retortką, w której pali przemycany tytoń).*

Do stu piorunów! czyż nie będzie końca?
Uragan huczy od zachodu słońca,
Ziemia wciąż skacze, jakby taradajka!
Nawet mi dzisiaj nie smakuje fajka!

(Druzgocze retortkę o ziemię).

A niech cię licho!... to przebrzydły knaster!...
Znikł z firmamentu nasz świetny hyliaster,
Cały mój zamek w gruzy się rozleci...
Gdzież będą mieszkać moje biedne dzieci?!

(Trzęsienie ziemi zrzuca część sklepienia).

Milionset dyabłów! sklepienie się wali!
Koperwas! Słyszysz? Bież prędko do sali

Podeprzeć ściany...

(Piorun przebiega szybko scenę. Kwasoród zatrzymuje go).

Hej! za pozwoleniem...

(Zapala cygaro i puszcza piorun, który zawstydzony ucieka).

Wszystko mi dzisiaj zagraża zniszczeniem.

(Słychać łoskot).

Masz! otóż okno wypadło z futryną!
Wnet wszystkie baszty w kupę gruzów spłyną...
Lecz cóż tam widzę?... Wszak po moich łanach,
Smukłej budowy, skryta w mgły tumanach
Nadobna Trąba Powietrzna przepływa...
Hej służba!... łotry... *(Do siebie)* O chwilo szczęśliwa!...
Koperwas! słyszysz? Koperwas, do pana!
O śliczna Trąbo! o Trąbo cacana!
Jakżem rad ujrzeć twe przecudne wdzięki...

(Wstając wrzeszczy straszliwie).

Dyable wenecki z piekielnej paszczęki!
Koperwas!! słyszysz?! Hej, ty psie wołoski!

SCENA DRUGA.

KOPERWAS *(wbiega blady i przerażony).*

O jasny panie! ziemia cztery wioski
Pożarła, rolę z bydłem i chłopami.

KWASORÓD.

Błaźnie! jak możesz nudzić mię głupstwami?
Siądź raczej na koń — i pędź co sił stanie.

(Pokazuje mu Trąbę Powietrzną).

Widzisz na polach tę nadobną panię,
Trąbę Powietrzną? — więc proś, by w gościnę
Wstąpiła do mnie!

KOPERWAS.

Pędzę! lecę! ginę!

KWASORÓD.

A jak najprędzej wracaj w zamku progi!
Rozumiesz?

(Kawał sklepienia spada i druzgocze głowę Koperwasa).

KOPERWAS *(krzycząc z bólu).*

Aj! aj!

KWASORÓD.

Ot widzisz, łajdaku,
Jakiś niezgrabny! Przynieś prędzej laku,
Może pokleję jako te czerepy.

(Koperwas biegnie i przynosi lak — piorun uderza i zapala świecę stojącą na stole).

KOPERWAS *(podając).*

Ostatnia laska.

KWASORÓD *(topi lak i klei mu głowę).*

W stepy tobie, w stepy
Bydło paść! ale nie być pańskim sługą!

(Puszcza go).

No, jakoś będzie, a nie baw się długo!

KOPERWAS.

Wracam natychmiast.

SCENA TRZECIA.

KWASORÓD *później* NIEDOKWAS i NIEDOKWASEK.

KWASORÓD *(patrząc za nim).*

Gapie i niezdary!
(Przegląda się w zwierciadle).
Co to? *(przerażony)* włos siwy!... toż nie jestem stary!...
Już siwe włosy?! Jakżeż tu u kata
Teraz wystąpić, gdy wdziękini świata
Zawita — jeszczeż bo na samem czole!
Ha! niema rady... chyba łeb ogolę.
(Siada przy toalecie i namydla głowę).

NIEDOKWAS *(wchodzi).*

Co czynisz ojcze?

KWASORÓD.

Naprawiam ruiny...
Skąd idziesz dzióbku?

NIEDOKWAS.

Powracam od *Cyny.*
Grymaśna jejmość — próżnom robił drogę
W żaden jej sposób ukwasić nie mogę.

KWASORÓD *(ostrząc brzytwę po pasku).*

Ba! ona w *Chlorze* całkiem zatopiona,
Pycha owładła tą dumną dziewczyną,
Że zamiast *Cyna,* chce się przezwać *Cyno.*

NIEDOKWASEK *(wpadając).*

Stryju kochany, cała wschodnia strona
Naszego zamku w gruzach już spoczywa!

KWASORÓD *(obojętnie goląc się).*

Wziął czort, co swoje!

NIEDOKWASEK.

Narożnik się kiwa,
I główna baszta wkrótce się rozleci!

KWASORÓD *(obciera głowę).*

Ha! pal ją licho! — patrzajcie no dzieci,
Czy tam gdzie na łbie nie został włos siwy?...

NIEDOKWASEK *(patrząc przez mikroskop).*

Nie! ani jeden!

NIEDOKWAS.

Jakem nieszczęśliwy!

SCENA CZWARTA.

DAWNI i KOPERWAS, *potem* TRĄBA.

KOPERWAS *(meldując).*

Trąba powietrzna, jaśnie oświecona!
(Trąba wchodzi i przewraca wszystkich czterech).

WSZYSCY CZTEREJ *(leżąc).*

Padamy do nóg!

TRĄBA *(dyga).*

Sługa uniżona,
W czem mogę służyć, dostojni panowie?

KWASORÓD *(wstając).*

Madame!

NIEDOKWAS *(wstając).*

Przyjmij w kornem słowie
Nasz hołd —

NIEDOKWASEK.

Cześć naszą.

KOPERWAS *(wstając)*.

Aj! aj! moje kości.

KWASORÓD.

Cudny utworze wichrów i nicości...
Przez mgły tumanów iskrzą śliczne oczy...

NIEDOKWAS.

Wielbiłem dotąd wdzięk *Cyny* uroczy,
Lecz na twój widok stanąłem olśniony.

NIEDOKWASEK.

Racz śliczna trąbo uchylić zasłony...

TRĄBA *(arya)*.

Kto moje wdzięki
Ujrzy choć raz.
W piekła paszczęki
Po uszy wlazł —
Zginie z mej ręki
Z potomstwem wraz —
Wstrzymajcie jęki,
Ach! jeszcze czas! *(Chce odejść)*.

KWASORÓD.

Stroisz z nas sobie żart oczywisty.

NIEDOKWAS.

Uchyl, ach! uchyl zasłony mglistej!

NIEDOKWASEK.

Niech raczej ginę, a ujrzę liczko!

KWASORÓD.

Wysłuchaj prośby śliczna Trąbiczko!

KOPERWAS.

O czarownica!

KWASORÓD, NIEDOKWAS, NIEDOKWASEK.

Ta zwłoka zabija!

TRĄBA *(wzdychając tak silnie, że wielki żerandol nad parterem gaśnie).*

Pereat Mundus!... fiat justycya!

(Dziesięć piorunów uderza. Obrazy przodków Kwasoroda spadają ze ściany. Koperwas wywraca kozła, inni trzymają się na nogach jako tako. Tumany, otaczające Trąbę, pierzchają, ukazuje się przecudna nimfa).

TRZEJ ADORATOROWIE.

O słońce wdzięków! Któż jesteś Ondyno?

(Melodrama).

TRĄBA.

Nimfa Chaosu, zowie się Termino-
Logia, mem dziełem Chaos nieskończony.
Kto mnie raz ujrzy — nieuk czy uczony,
Takiej umysłu wraz doznaje spieki,
Że po bezdrożach tuła się na wieki,
Jako żyd wieczny...

(Błyskawica, żyd wieczny przechodzi scenę, groby się otwierają).

W nazwisk labiryncie
Rozkocha, jako Sofronia w Olincie.

KWASORÓD.

Niechaj się tułam od morza do morza,
By mi świeciły twe oczy w bezdroża,
Jakoby Pharos!

NIEDOKWAS.

Bądź mi Erdystone!

NIEDOKWASEK.

Bierz nas!

TERMINOLOGIA *(na nutę przekleństwa Normy).*

Stało się! Życzenia spełnione,
Ciebie mój stary i tych dwóch młodzieńców
Biorę, jakoby moich oblubieńców;
Wszystkich trzech razem wirem mym opaszę,
Zrodzą się z tego śliczne syny nasze,
Co szydząc zamku waszego ruinom,
Wszystkich trzech nazwy rzucą na łup drwinom.

(Obejmuje wszystkich trzech tumanem).

WSZYSCY TRZEJ *(wrzeszcząc z bólu).*

Biada!

(Nagle pękają chmury i zalewają scenę; olbrzymia ręka na czarnych obłokach pisze ognistemi zgłoskami wyraz: »TLEN«. Kwasoród chwyta się za serce, Niedokwas za głowę a Niedokwasek za aortę. Koperwas patrzy w górę, gapiąc się za ulatującą Nimfą).

KWASORÓD *(z boleścią).*

Gdzie ona?

KOPERWAS *(machając ręką).*

Wziął dyabeł co swoje!

NIEDOKWASEK *(wyrywając sobie włosy).*

Konam z rozpaczy!

NIEDOKWAS.

Mdło mi!

KWASORÓD.

Ledwie stoję!

NIEDOKWASEK *(siwiejąc).*

Ach! jak mi zimno.

NIEDOKWAS *(siwiejąc).*

O, my nieszczęśliwi!

KWASORÓD.

Ha! co ja widzę!? Obadwaście siwi!!
Obydwom zmarszczki szerzą się po twarzy!

NIEDOKWAS i NIEDOKWASEK *(chwytają się za włosy).*

Co mówisz ojcze?

KWASORÓD.

Tak, jesteście starzy!

(Z radością przeglądając się w szczoteczce od zębów).

Ja mam włos czarny — dziarską, tęgą minę.

(Uderzając się w czub).

Jakżem był mądry, żem zgolił czuprynę!

NIEDOKWAS i NIEDOKWASEK.

Przeklinam wiecznie tę straszną godzinę!

(Nowe trzęsienie ziemi, połączone z hukiem podziemnym; wszyscy czterej zapadają się).

KOPERWAS *(lecąc).*

Aj! *(Zapada się).*

KWASORÓD *(lecąc).*

Gwałtu! rety!

NIEDOKWAS *(posyłając światu ostatnie pocałunki).*

Au revoir.

NIEDOKWASEK *(zapadając się).*

Ginę!!

KONIEC PROLOGU.

AKT I.

(dotąd nieukończony).

AKT II.

(musi uledz licznym zmianom, zanim będzie wydrukowany).

AKT III i IV.

(nie są wcale zajmujące, więc też ich nie napisano, nie chcąc zbytecznem przeciąganiem nudzić szanownej publiczności, a zresztą, zostawiają się fantazyi i imaginacyi łaskawych czytelników. Niechże je każdy wedle fantazyi a gustu sporządzi dla siebie, a zresztą jest to i bezpieczniej, bo ich żaden Zoïlus nie będzie exenterował.

Gdy więc tych czterech aktów niema, a zatem:)

AKT V.

OSOBY.

TERMINOLOGIA, Nimfa Chaosu.
TLEN, KWASOR — synowie jej i Kwasoroda.
ŻYWIEŃ, TLENEK — synowie jej i Niedokwasu.
OKWAS, TLENNIK — synowie jej i Niedokwasku.
TYT, LIT — dwaj rycerze błędni.
TRZECH NIEZNAJOMYCH.
KOPERWAS, stary sługa zamku.

(Rzecz jak w prologu, w tym samym zamku).

Teatr przedstawia dekoracyę z Prologu. Zamek zrestaurowany, okna polepione papierem, główna baszta podparta tyczką od grochu, część sklepienia ściągnięta mocnym aptekarskim szpagatem. Drugiej części sklepienia nie masz wcale, ale za to widać słońce, księżyc, gwiazdy, tęcze i zorzę północną, oraz fata morgana, meteory i t. p. piękności astronomiczne i meteorologiczne.

KOPERWAS *[na szczudłach, z podrutowaną głową, przygrywa na harmonice chemicznej, zrobionej z rurek probierczych (cylinderków reagensowych) i śpiewa tęskną dumę]*.

PIEŚŃ.

O szczęsna przeszłości,
Miałem całe kości,
Dyabeł przyniósł gości,
Zamek zmienił w gruz.
A Koperwasisko
To puste zamczysko
Zamienił w zamczysko
Orfeja i muz.
Nuci pieśń nadziei,
Stary zamek klei
Papierem, a w kniei
Zbiera mnóstwo tyk.
Podpiera wieżyce,
Sklepienie, piwnice,
Bo zamku dziedzice,
Przybędą tu w mig.

(Słychać trąbkę pocztową).

SCENA DRUGA.

KOPERWAS, *później kolejno* TLEN. — KWASOR. — ŻYWIEŃ.

TLEN *(we fraku i żółtych rękawiczkach).*

Czy ten zamek Kwasorodów gniazdo?

KOPERWAS *(kłaniając się do ziemi).*

Iasny Panie! tutaj, nie inaczej!

KWASOR *(wpadając na angielskim rumaku).*

Pod szczęśliwą zrodziłem się gwiazdą,
Bo już żywot zakończam tułaczy!
Ta wędrówka już mi się sprzykrzyła.

ŻYWIEŃ *(piechotą, w kurpiach, z kosturem, nieśmiało wsuwając się przezedrzwi).*

Czy tu ów ogród, kędy niegdyś żyła
Kwasorodów potężna rodzina?

KOPERWAS *(kłaniając się).*

Tak panowie.

WSZYSCY TRZEJ *(siadając).*

Chwałaż tobie Panie.

TLEN.

Słuchaj, jak ci na imię bałwanie?

KOPERWAS.

Koperwas.

TLEN *(plując z obrzydzenia).*

Tfu! jestem twoim panem,
Zmieniam imię i zwę cię siarczanem.
A że zamek żelaznego miano
Nosi — nazwę więc Siarczan żelaza.

ŻYWIEŃ *(cicho do Koperwasa).*

Mój braciszku, dziwnie cię przezwano,
Nie przystawaj — to dla cię obraza —
Jużby lepiej Żelazo siarkanne.

KWASOR.

Patrzcie, patrzcie, przez chmurki poranne,
Co tu spada?

ŻYWIEŃ.

To coś nakształt cudu!
Jacyś ludzie!

TLEN *(patrząc w górę).*

Któż tam?

SCENA TRZECIA.

DAWNI. — OKIS. — OKWAS. *Potem* TLEN i TLENNIK.

(Nagle z spadochronem, szybko obracając się, spadają Okis i Okwas).

OKIS.

Hou du ju du?

OKWAS.

Ach! patrzajcież: — bodaj mnie zdeptali
Kaczki — wszakżeż nasz zamek się wali!

TLEN i TLENNIK *(wpadając lokomotywą z gwizdem na scenę).*

TLEN *(ciekawie).*

Kto tam znowu?

TLENNIK.

Późnośmy przybyli!

TLEN *(podając im rękę z uśmiechem).*

Bon jour! Bon jour! kuzynkowie mili!

TLENNIK *(do Tlena, wskazując na innych).*

Wujaszeczku — co to za hołota?

TLEN *(cicho do niego).*

Jakiś podstęp — jakaś nawet psota,
Ale wszystkich poślemy do czarta.

(Głośno).

Ha! zobaczymy — co ten zamek warta,
Który spuścizną spadł nam dziś w podziale.
Chciał go Kwasoród zbudować wspaniale!
To więc owa jest *Żelazna Rura*,
Kędy nasza powstała rodzina?
Głupie głowy! — gdzież architektura?
Gdzież styl jaki? — ruina! — ruina!

ŻYWIEŃ i KWASOR.

Nam ten zamek przypada w połowie.

TLEN *(zdziwiony).*

Wam? a wyż kto?

KWASOR.

Myśmy potomkowie
Kwasoroda i Terminologii.

OKWAS.

My toż samo tejż genealogii.

OKIS.

I jam ich syn.

TLENEK.

I ja!

TLENNIK.

I ja!!

ŻYWIEŃ.

I ja!!!

TLEN *(cicho do siebie).*

Nie wytrzymam — wezmę się do kija,
Lecz możeby było to zawcześnie.

(Głośno niby przypominając).

Tak! tak! prawda — coś jakoby we śnie,
Przypominam — dajcież ręce!

(Podaje im ręce i mówi na stronie).

Gbury!

(Głośno).

Niech weselnem pieniem zabrzmią mury!

FINAŁ [1]).

CHÓR PRZYBYSZÓW.

O szczęśliwa godzina!
Wszak to cała rodzina:
Tlen, Tleny i Tlenniki,
Kwasor — Żywień — Okwasiki!
Wszystko to jednego rodu,
Jeden drugiemu podobny,
Wszystko dzieci Kwasorodu
I Chaosu Nimfy zdobnej.

TLEN.

Już umarł Kwasoród stary.

TLENNIK.

Z Niedokwaskiem.

TLENEK.

Z Niedokwasem.

ŻYWIEŃ.

My ich zamek...

---

[1]) Przepraszamy za umieszczenie finału w tragedyi, ale pierwszy dramaturg świata, mądry Shakespeare powiedział: *there are more things in heaven and earth, than are dreamt in your philosophy* — są rzeczy, o których się filozofom naszym nie śniło. *(Przyp. autora).*

OKIS.

I talary...

TLEN, TLENEK, TLENNIK.

Łap tymczasem!!!

KISOR, OKWIS, OKWAS.

Łap tymczasem!!!

WSZYSCY.

Wiwat! Wiwat!

ŻYWIEŃ.

Ależ cyt!
Ktoś nadchodzi!

KOPERWAS *(meldując)*.

Tyt i Lit,
Dwaj rycerze z obcej strony,
Proszą o przytułek tu,
Każdy drogą utrudzony,
Bo biegł tutaj, co ma tchu.

SCENA CZWARTA.

DAWNI. — TYT i LIT *w zbrojach, z zapuszczoną przyłbicą.*

TLEN *(występując)*.

Ten gród mnie za pana bierze,
A więc panowie rycerze,
Mówcie, czego który chce.

TYT *(przykładając prawą rękę do hełmu)*.

Błędny rycerz *Tyt* się zwie.

LIT *(podobnież)*.

Jam brat jego, zwę sie *Lit*,
W dziale waszym łup mieć chcę.

TLENEK *(do Tlennika cicho).*

O zuchwalec!

TLENNIK *(podobnież).*

Będzie bit.

TLEN.

A włóczęgi dam ja wam!
Wynoście się zaraz precz!

LIT.

Ja rycerskie prawa znam
(Ciska mu rękawicę).
Niech rozstrzygnie zatem miecz!

TLEN *(do siebie).*

Awanturnicy, wnet tę dumę skurczę...
(szepcze cicho do Tlenka i Tlennika, którzy rzucają się znienacka na przybyłych rycerzy i wydzierają im miecze).

TYT i LIT.

Zdrada!

TLEN.

Ha! łotry, ha! plemię jaszczurcze!
Precz stąd zuchwalcy, wyrzutki natury!
(Do Tlenka i Tlennika).
Wraz ich wypędzić poza zamku mury.

TYT *(cicho do Lita).*

Musimy uledz, lecz przy sposobności
Damyż im bobu!

TLEN.

Prędzej za drzwi gości!

TLEN.

Poszli do czarta! — niech ustaną gniewy,
Niech luba zgoda wszędzie się rozszerzy,
Niech brzmią ochocze Berzeliusza śpiewy.

(Skrycie wskazując na Kwasoroda i Żywienia).

Wnet was wyrzucę jak owych rycerzy.

CAŁY CHÓR *prócz* OKWASA.

Niechaj każdy coś obliźnie
Na Kwasoroda spuściźnie,
Przepadły po wszystkie czasy
Niedokwaski — Niedokwasy.
Drwijmy sobie z ich pamięci,
Niech gruzy porosną lasem.

TLEN *(wskazując Koperwasa).*

Czegoż ten stary się kręci?

WSZYSCY.

Za drzwi! za drzwi z Koperwasem! *(bijąc go).*

KOPERWAS *(z krzykiem).*

Gwałtu! ratujcie!

(Melodrama).

(Muzyka z Roberta Dyabła w czasie zaklinania duchów. Ogień podziemny wybucha, czuć woń smoły i siarki, pomieszane z wonią bursztynu i adipociru).

SCENA PIĄTA.

DAWNI i TRZECH NIEZNAJOMYCH *(wysuwa się z pod ziemi).*

I. NIEZNAJOMY.

Niegodni stójcie!

TLEN.

A to znów co za stworzenie?
(Zamierzając się).
Precz stąd! bo cię wraz otlenię!

CHÓR PRZYBYSZÓW.

Ktoś ty? Co za prawo masz?

NIEZNAJOMY *(odsłaniając się).*

Jam Kwasoród! Jam pan wasz!!

TLEN *(zdziwiony).*

Resurrexit?!

KWASORÓD *(z szyderstwem).*

Oui monsieur!

TLENEK *(cicho do Tlenu).*

Jam tu panem — tyś już trup.
Moim zamek! — moim łup!
(dobywa szpady).
A więc za drzwi!

CHÓR PRZYBYSZÓW.

Za drzwi! precz!

KWASORÓD *(wywijając ogromnym hełmem od alembika).*

Górą Kwasorodów miecz!...

NIEDOKWAS *(odsłaniając się).*

Górą! Górą!
(Ciska na Okwasa ogromny czerep tygla).

NIEDOKWASEK.

Gdy się biją,
Jam nie zając.
(Uderza Żywienia kawałkiem własnego piszczela).

Naści, żmijo!

(Przecina go na pół, obie połowy wrzeszczą).

Gwałtu! ratujcie!

KWASORÓD.

Bijcie i kujcie!

SCENA SZÓSTA.

DAWNI. — TYT i LIT.

(Zwycięstwo przechyla się na stronę przybyszów; wtem Tyt i Lit wyskakują z za muru i uderzają na nich z tyłu).

TYT.

Otóż dogodna pora,
Bierz na siebie Kwasora;
Górą Lit!

LIT.

Górą Tyt!

OBA RAZEM.

Kto przeciw nam, będzie bit!

(Straszliwa i zajadła walka, zamieszanie bez pamięci, lecą głowy, tułowy i t. p. rzeczy. Krew potokami zalewa orkiestrę. Muzykanci chronią się za baryery. Damy w lożach płaczą, światła gasną, robi się chaos i ciemność, tylko słychać krzyki walczących — zaćmienie słońca, księżyca i gwiazd. Wtem słychać wśród zgiełku śpiew słowika. Terminologia ukazuje się w słupie ognistym, wybuchającym ze szczytów Sommej).

TERMINOLOGIA.

To moje dzieło — bije się rodzina!
Dosyć! niech luby spokój się zaczyna!

(Daje znak, na scenę wypływa ogromny wieloryb i zalewa ich swoim wodotryskiem).

WSZYSCY *(drżąc z zimna rzucają broń).*

Brr!...

TERMINOLOGIA.

Jednej żony i matki
Wy mężowie i dziatki.
Dlaczegóż się bijecie mieczami?
Ja was zaraz pogodzę
Pokaleczonych srodze
Dzieląc zamkiem i jego włościami.
A więc każdy niech bierze,
To co daję mu szczerze!

(Do Tlena i Tlenków).

Wy sam gród.

(Do stronników Kwasoroda).

Wy wały i fosy!
A kto hardą ma duszę
Tego tułać się zmuszę
W labiryncie i kląć na złe losy.

WSZYSCY *(całują się z ukrytą nienawiścią).*

Wiwat Nimfa Chaosu! co po wszystkie wieki
Przewyższyła wszech mędrców trafnymi wyroki.

KWASORÓD *(dając dziesiątkę Koperwasowi).*

A ty po opodeldok ruszaj do apteki!
Z radości sobie wszyscy wysmarujem boki.

KONIEC AKTU PIĄTEGO.

EPILOG.

APOTEOZA.

OSOBY.

Żadnych niema.

Rzecz dzieje się wszędzie i nigdzie.

(Za odsłonięciem kurtyny widać wieżę babilońską; u spodu nagrobki wszystkich osób z poprzednich aktów).

CHÓR GROBOWCÓW.

Tu spoczywają Kwasoród i Tlen,
Długie niezgody skończył wieczny sen!
Zgoda wieńczy ich grobowce,
Płaczcie nad nimi wędrowce.
I wy chemicy wszyscy,
I wysocy i niscy.
Już oba nie żyją,
Bo na anemiją,
Pomarli młodo.
Ze świata szkodą,
Zacny ród:
Kwasoród

I Tlen
Wpadł w sen!!

WIEŻA BABILOŃSKA *(ogromnym głosem).*

In aeterno risibundi,
Sic transit gloria mundi!



SWATY KRÓLEWSKIE

OBRAZ DRAMATYCZNY W TRZECH AKTACH.

Grano w teatrze krakowskim w 1851 r.

OSOBY.

JAN III, król polski.
MARCIN KĄTSKI, generał armaty koronnej.
SZYMON GRUDZIŃSKI, stolnik halicki.
MACIEJ SKALIŃSKI, podkomorzy halicki.
JAN BOGUCKI, komornik halicki.
IBRAHIM SZAJTAN, seraskier wojsk tureckich.
HASSAN-BEJ, wielki aga Janczarów
MECHMED GEREJ, han tatarski.
PETRYCZEJKO, wołoski hospodar.
SKINDER-BEJ, czausz.
KATARZYNA JACKOWSKA, cześnikowa halicka, młoda wdowa.
HANNA, jej pokojowa.
JACENTY, hajduk podkomorzego.
ROTMISTRZ PANCERNY.
JEDEN ZE SZLACHTY.
PACHOLIK.
GONIEC TATARSKI.

PANOWIE POLSCY. — SZLACHTA HALICKA. — JANCZARY. — SPACHY. — ŻOLNIERZE POLSCY.

Rzecz na Podolu w jesieni 1676 roku.



AKT I.

Teatr przedstawia komnatę w dworcu Cześnikowej — sprzęty dostatnie.

SCENA PIERWSZA.

JACENTY i HANNA.

JACENTY *(wchodząc)*.

Tuś mi krasna Haneczko, dziewcze utrapione,
Szukam cię od godziny, gdzieżeś mi się skryła?
No, cóż tam? jakże jejmość?

HANNA.

O tem mówić siła.
Waha się: ni na tę, ni na ową stronę
Zdecydować nie może.

JACENTY.

A to źle, do biesa!
Mój pan, choć nieco siwy, przecież pełna kiesa
Czerwieńców, co niemiara, siwiznę kasuje.

HANNA.

Nie siwizna tu wstrętem, ni pieniądz zaletą,
Lecz on chudopachołek wszystkie szyki psuje;

Liczko, jakby krew z mlekiem — jejmość — ot kobieta —
Zawsze woli młodzika; cierpieć go nie mogę!
Wszakże raz tylko wsunął tymfika do ręki.

JACENTY.

Co?! ten hołysz, szlachetka panu włazi w drogę,
Coby złotem z czupryną zasypał intruza?!

HANNA.

Że też macie pieniądze, Panu Bogu dzięki,
Gdyżbyście już oddawna dostali harbuza.

JACENTY.

Czy tak?...

HANNA.

Cóż w tem dziwnego? Podkomorzy stary
Oświadczył swe affekta — jejmość, choć nie rada,
Dla ocalenia ojca gotowa wziąć dziada.
Toż pamiętasz Jacenty, jak w Wniebowstąpienie
Rodzica mojej pani porwali Tatary.
Jęczy w srogim jassyrze — o! jejmość strapienie
Niemałe w sercu nosi! A Tatar okrutny
Strasznych żąda pieniędzy; któżby był w możności
Trzy tysiące sztuk złota...

JACENTY (*przerywając*).

Ha, niech pachoł butny
Zapłaci!

HANNA.

Na pieniądzach zbywa jegomości,
Więc choć ją czarny wąsik i uroda kusi,
Choć młodzikowi sprzyja — staruszka wziąć musi,
Poświęcić swoją młodość, by rodzic znękany
Ujrzał ojczyste strony.

JACENTY.

Memu panu
Znany ten *casus;* mogąc pomóc w tem nieszczęściu wa-
Ma wielką preferencyę nad onym goliaszem. [szem,
Ale pocóż te zwłoki, kunktacye i skweres?
Wszędzie żony dostanie tak bogaty *haeres.*
Małożli mamy swatów? Toż panna Sędzianka,
Stolnikówna, ba, inne rade pozbyć wianka
I choć panny, nie wdowy, żadnych ceregieli
Nie robią. Małoż u nas zausznic, maneli?
Perły i dyamenty, talary, czerwieńce —
Możemy mieć nie wdówki, lecz panieńskie wieńce!

HANNA.

Oj, prawda! Więc mu rzeknij: po co myśli wiele?
Niech wykupi Stolnika, wnet będzie wesele.

JACENTY.

A przy jednych cymbałach odbędzie się nasze,
Nieprawdaż, miła Hanno? Jakże?

HANNA.

Nie baj wasze!
Owo jegomość idzie.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — PODKOMORZY.

PODKOMORZY *(wszedłszy, cicho do Jacentego).*

A i cóż *asine,*
Czy wyindagowałeś?

JACENTY.

A no...

PODKOMORZY.

Jakoś minę
Masz głupią. Może ona nic nie chciała gadać,
Hę?

JACENTY.

Przed księdzem nie można lepiej się spowiadać,
Jako ona przedemną.

PODKOMORZY.

I cóż powiedziała?

JACENTY.

Że lepszy pan w karocy, niż szlachcic z uzdeczką,
Że trzeba raz ukończyć; rezolucya śmiała,
Od razu sprawi maryaż — nieprawdaż Haneczko? —

HANNA.

A tak, długie zaloty, to wielkie kłopoty,
Poco te ceregiele? Wziąć jejmość w obroty!

PODKOMORZY.

Toż bywam co niedzielę.

HANNA.

Zbyt rzadko.

PODKOMORZY.

At właśnie,
Mam czas jeździć w konkury! Niech mię piorun trzaśnie!
Wszystkie kobiety z jednej gliny ulepione:
Raz, jakoby mur stałe, obiecują wiele,
Znów niby on kogutek na farnym kościele
Kręcą się raz za razem w tę lub ową stronę.
Dalipan, miałem nieraz termedye z procesem,

Biegłych w jurysprudencyi srogich adwersarzy,
A odniosłem wiktoryę, zgnębiłem z kretesem —
Jedna wdówka »firleje« stroić mi się waży.
Mówią, przy długich włosach rozum bywa krótki,
A tu tyle praktyki u jednej filutki!
Toż wolałbym na siebie mieć obie palestry,
Remiosa, kondemnaty, dekreta, sekwestry,
Niż jedną białogłowę!

JACENTY.

A to boska kara!

HANNA.

A przecież o ten kłopot wielmożny się stara.

PODKOMORZY *(uśmiechając się)*.

Prawdę mówisz czeczotko, lecz braknie pacyencyi.

(Dobywa pieniądz i daje jej).

Naści na obarzanki, a porusz inwencyi
I powiedz, *quali modo* decyzyę uzyskać?

HANNA *(do siebie)*.

Talar bity. *(Głośno)*. Służeczka wielmożnego pana:
Jegomość zbyt nieśmiały, trzeba rączki ściskać,
Szeptać gorące słówka, potem na kolana
I do razu ogniste wynurzyć affekta.
W tem sekret: byle tylko ogniście a śmiało.

PODKOMORZY.

At pleć zdrowa! W kościele nieraz się klękało,
A nawet i w syntaksie, na księdza prefekta
Rozkaz; lecz przed niewiastą — tfy! odpuść mi Panie!
Nie słyszałem, by się kto żenił przez klękanie.
Nie głupim!

HANNA.

Niech jegomość nie żałuje grosza
I wykupi rodzica.

PODKOMORZY.

Ad primum wykupię
A potem w rekompensie dostanę odkosza.
Daruj mi mościa panno, to *consilium* głupie.

HANNA.

To chociaż obiecywać...

PODKOMORZY.

Jeśli tylko tyle...

HANNA.

A przytem komornika, upatrzywszy chwilę,
Sprzątnąć.

PODKOMORZY.

Co?! Jak?! Zabójstwo!! Przez Jacka świętego,
Alboż to ja Napierski, bym miał kogo dławić?!

HANNA.

Któż mówi o zabójstwie? Szablą się rozprawić!

PODKOMORZY.

A znasz ty dziesięcioro? — zabijać bliźniego!

JACENTY.

Pan był pod Pilawcami, ale na pół drogi,
By duszy nie potępić, drapnęliśmy w nogi.

PODKOMORZY *(do siebie).*

Wiem co zrobię: jeżeli jejmość da odkosza,
Sprocesuję i wszystko zagrabię do grosza,
Znam ja *iura! (Do Hanny).*

Słuchaj mnie aśćka: jeśli ano
Z twej przyczyny pomyślną dostanę replikę,
Masz trzydzieści talarów odemnie na wiano.
Szlachetkę zaćmić muszę! Pójdź ze mną *Hiacinte* —
Jak ujrzy me *preciosa*, spuści nos na kwintę.

(Obai wychodzą).

SCENA TRZECIA.

HANNA *sama. Potem* CZEŚNIKOWA.

HANNA.

To mi pan, aże miło! Trzydzieści talarów!
Łatwo dostanę męża, nie trzeba i czarów,
Ni lubczyku zadawać. Piękna jejmość wdówka
Musi się zdecydować, już w tem moja główka.
Gdyby komornik bruździł — nauczymy śmiałka!

CZEŚNIKOWA *(wchodząc).*

A cóż Hanno, dobrze mi?...

HANNA.

Toż jakby rusałka,
Ślicznie jejmość wygląda! Oj, paniska oba
Z wielkiej miłości głowę mogą stracić wcale!

CZEŚNIKOWA.

I któryż ci się lepiej Haneczko podoba?

HANNA.

Komornik człek rycerski i odważny, ale...

CZEŚNIKOWA.

Ale cóż?

HANNA.

Ale biedny — tamten zaś bogaty,
Ma jedenaście wiosek, a jakie intraty!

(Idzie do okna).

Patrz pani, owe siwki jakiej pozytury!
Z karocy srebro kapie, jakie to makaty!
To jakby książe jaki zajechał w konkury.
Komornik konno przybył, nie ma i skarbniczka.

CZEŚNIKOWA.

Widać, żeś komornika wielka przeciwniczka;
Złoto szczęścia nie daje.

HANNA.

Oj, to prawda święta!
Już to pani ma zawsze czułe sentymenta.
Poproszę komornika, biedaczek tak smutny.

CZEŚNIKOWA.

Proś go.

HANNA *(idzie ku drzwiom kilka kroków, poczem zatrzymuje się i wraca).*

Ale tej nocy miałam sen okrutny.

CZEŚNIKOWA.

Jaki sen?

HANNA.

Ej...

CZEŚNIKOWA.

Mów zaraz!

HANNA.

Nie chcę pani smucić.
Straszny sen...

CZEŚNIKOWA.

Mów! ja każę.

HANNA.

Chociaż serce boli,
Wyznam: śnił mi się ojciec wasz, niby w niewoli,
Dźwigał straszliwy ciężar, a poganin srogi.
Szarpał za siwą brodę i zadawał razy.

CZEŚNIKOWA (*mocno wzruszona*).

Przestań straszne snuć obrazy!
Bóg mię jawnie upomina,
Ojca cierpień jam przyczyna,
Że za serca chcę iść głosem.
O mój ojcze, ojcze drogi!
Luby starcze z siwym włosem,
W bisurmańskie skuty pęta,
Uprowadzon w kraj daleki!
Gdy osoba twoja święta
Pod tyranią pada dziczy,
Łzami tęskne chwile liczy —
Nikt nie otrze łzy z powieki,
Nie pocieszy słodkim głosem!
O nie lepiejżbym się była,
Na ten świat nie narodziła!

HANNA.

Pani!

CZEŚNIKOWA.

Wolny — dziś w kajdanach
Śnisz o Polsce, o rodzinie,
O Podola żyznych łanach,

Gdzie Dniestr wartki srebrem płynie;
Gdy słowika tęskne pienia,
Lub skowronka z polskiej niwy
Budzą w duszy twej wspomnienia,
Jakże jesteś nieszczęśliwy!
O tak, zwalczę sny me złote,
Z cierpień, cierni życie splotę,
Zrzeknę się twych uczuć Janie,
Byleś tylko ty kochanie
Mój staruszku, gołąbeczku,
Osiadł znowu w swem gniazdeczku
I na szczęsnej córki rękach,
Po okrutnych wytchnął mękach;
Niech się spełni wyrok Boży!

(Do Hanny).

Hanno, poproś, niech przyjdzie tu pan podkomorzy.

HANNA *(obłudnie).*

Nie komornik?

CZEŚNIKOWA.

Nie pytaj!

HANNA.

Ależ...

CZEŚNIKOWA.

Ani słówka!

HANNA.

Idę. *(Do siebie)* Będą talary, wiwat moja główka!

(Odchodzi).

SCENA CZWARTA.

CZEŚNIKOWA. *Potem* BOGUCKI.

CZEŚNIKOWA.

Biedny Jaś! Od lat kilku kocha się tak szczerze,
Jeszcze wprzód, nim mię ojciec wydał za cześnika;
Nie śmiał i słówka wyrzec — i teraz unika.
On dla mnie taki dobry, wszystko mu powierzę,
Drżę, aby mnie affekta moje nie zdradziły,
A szczęście wprost mu zabić nie miałabym siły.

BOGUCKI *(wchodząc).*

Czyliż wolno?

CZEŚNIKOWA *(zmięszana).*

Komornik?!

BOGUCKI *(tracąc rezon).*

To jest... tylko owe...
(Do siebie).
Ten łysy podkomorzy zawrócił jej głowę
I ona o nim myśli — ha, serce mi pęka!

CZEŚNIKOWA.

Bądź łaskaw do gościnnej — tu jakoś niepięknie,
Sam na sam nie wypada...

BOGUCKI *(do siebie).*

Hanna powiedziała,
Że ona mi natychmiast odjechać kazała.
Ha, niechaj się raz skończy. *(Klęka).*

CZEŚNIKOWA *(przestraszona).*

Przebóg! Co to znaczy?!

BOGUCKI.

Niech waszmość dokrodziejka *clementer* wybaczy,
Że tak niespodziewanie ściele się do nóżek
Adorator prawdziwy i niski podnóżek.
Dawno, bo od lat pięciu mam affekt miłości
Dla Imci. A me serce za sercem waszmości
Niby ryba do wody pobiegło ochotnie;
Lecz o takich affektach zamilczałem przecie:
Grzeszno i wstydno mówić zamężnej kobiecie.
Owóż mam lat trzydzieści, przykro żyć samotnie,
Jak gdyby na eremie kameduła jaki;
Nudno też z samopałem uganiać za ptaki,
Już i ogar nie cieszy, ni konie szalone.
Ciężу mi kawalerstwo, jakoby śnieg w maju:
Toż i Adam sam jeden znudził się, choć w raju,
A z własnych jego kości Pan mu stworzył żonę.
Widzi Bóg, i mnie trzeba Adamowej kości,
Więc jabym rad na służbę przyszedł do waszmości.

CZEŚNIKOWA.

Ależ to żart...

BOGUCKI.

To prawda, niechaj mię Bóg skarze!
Rzeknij, że twe affekta zgadzają się z memi,
A w niedzielę powiodę waszmość przed ołtarze.

CZEŚNIKOWA.

Mościwy komorniku, naprzód powstań z ziemi,
Bo ja nie święty obraz, by klękać przedemną;
Powtóre, że nie możesz ożenić się ze mną,
Gdyż pomimo serdecznej waszej affektacyi,
Nasz maryaż niepodobny.

BOGUCKI *(wstając).*

A więc inklinacyi
Żadnej do mnie nie czujesz?

CZEŚNIKOWA.

Chociażbym sprzyjała,
Że waszą być nie mogę, jest racya nie mała.

BOGUCKI *(rozgniewany).*

Rozumiem — podkomorzy, stary niedołęga,
Że sześć koni do swojej karocy zaprzęga,
I jakgdyby ksiądz biskup cały chodzi w złocie,
Preferujesz go waszmość, że posiada krocie.

CZEŚNIKOWA.

Mości!...

BOGUCKI.

Fortuny jego przyjmujesz ofiary,
Choć brzydki, jako satyr, jak Matuzal, stary.

CZEŚNIKOWA *(urażona).*

Zacz nie mam własnej woli, czy pod kuratelą...

BOGUCKI *(przerywając, z ogniem).*

Prawda, ale na herb mój, że *(uderza w szablę)* tą karabelą
We krwi zmyję iniuryę — *verbum!* — jednym zwrotem
Zetnę łeb jak makówkę — niech się żeni potem!

CZEŚNIKOWA *(mocno wzruszona).*

Słuchaj, mości Bogucki, nie jestem ja wcale
Panią waszych czynności, lecz w niebacznym szale
Jeżeli burdą zechcesz popierać konkury,
Choćbyś miał dziesięć kluczów, choćby złote góry
I perły korcem mierzył, niby król jakowy —

Mężem moim nie będziesz, na kamień grobowy
Mojej matki przysięgam! Zaś jawna lub skryta
Rozprawa z podkomorzym a z przyjaźni kwita!
A teraz żegnam waszmość, do dłuższej rozmowy,
Ni czasu, ni intencyi.

BOGUCKI *(do siebie)*.

A to kłopot nowy,
Tom się spisał! *(głośno)* Żegnam was i korzę się nisko.

(Do siebie).

Muszę jechać, bo eksces zrobiłbym za katy —
Gdyby dziad wlazł mi w drogę, rozdarłbym go w szmaty!

(Odchodzi).

SCENA PIĄTA.

CZEŚNIKOWA. *Potem* PODKOMORZY.

CZEŚNIKOWA.

Poszedł z taką suspicyą, myśląc o mnie ślisko,
Że dla marnych błyskotek frymarczę mą rękę.
Wzgardził mną! O mój Boże, jakąż cierpię mękę!
Dodaj męstwa, wzmocnij mię Twem świętem Imieniem,
Nie dozwól, bym upadła pod nieszczęść brzemieniem.

(Tłumiąc łzy).

Spraw, niechaj święty obraz ojca kochanego
Wspiera mnie.

POKOMORZY *(wchodzi przebrany przesadnie bogato).*

Tam do kata, a to co nowego?

CZEŚNIKOWA *(ociera łzy).*

To nic.

PODKOMORZY.

O ba, zaliżem ślepy? Wiem ja, co to znaczy;
Komornik ano gniewny odjechał w rozpaczy,
Znać poznał szerepetka, że ma kiepską sprawę;
Podobno nawet aśćka dałaś mu odprawę,
Za co goliasz uchybił imci w jakiem słowie.
U takich pustki w trzosie, ignorancya w głowie.

CZEŚNIKOWA.

Pan Jan człek obyczajny, wszakże u wielebnych
Ojców Jezuitów przystojnie uczony.

PODKOMORZY.

Nie zazdroszczę mu wcale studyów niepotrzebnych,
Retoryka jeść nie da, ni logika żony;
Wszakci on Dyogenes, który wszystko wiedział,
Nie miał nawet gdzie sypiać, jak pies w beczce siedział.
Owóż nie chciej nademnie przenosić furfanta.
Nie mam czarnego wąsa, nie utnę drabanta,
Ni do wdzięcznych konkurów nie znam ja sposobu,
Ale mościwa pani komparuj nas obu:
Zaledwie dzięsięć dymów ma to nędzne chłopie,
Gdy bujne łany moje tysiąc chamów kopie;
Jest dość łasztów pszenicy, weneckie zwierciadła,
Złotolite makaty, złociste kiereje *(pokazuje spinkę)*.
A taż spinka czyż w oczko waszmości nie wpadła?
I sam król takiej niema, jak słońce jaśnieje,
Mam i augsburski zegar ze słoniowej kości,
Mam i...

CZEŚNIKOWA *(znudzona)*.

Krótko odpowiem waszmości:
Mimo, żem nie bogata, jednak, Bogu dzięki,
Bogactwo mię nie nęci, zbytek nie zachwyca,

Jeżeli nie wykupisz z niewoli rodzica
Przed ślubem, nie otrzymasz nigdy mojej ręki;
Jeśli wykupisz, waszą do śmierci zostanę:
To ostatnia decyzya — służby me powolne.

(Wychodzi).

SCENA SZÓSTA.

PODKOMORZY. *Potem* HANNA.

PODKOMORZY.

Jeśli wykupisz, waszą do śmierci zostanę...
Otóż na co mi wyszły zabiegi mozolne.
Jeszcze czego! przed ślubem — a to mi nielada.
Mam dać tysiąc czerwieńców za takiego dziada.
Nunquam, verbum nobile!

HANNA *(wszedłszy).*

Cóż wielmożny panie,
Czy już po deklaracyi?

PODKOMORZY.

At, próżne gadanie!

HANNA.

I czemuż?

PODKOMORZY.

Dyabeł że wie! Ot, za nos mię wodzi!

HANNA.

Ależ trzeba się spieszyć, komornik przeszkodzi.

PODKOMORZY.

Ktoby tam nań uważał.

HANNA.

Życzyłabym z duszy,
Lecz on swym adwersarzom zwykł obcinać uszy.

PODKOMORZY.

Niech was Bóg sekunduje! Tożby mi bal sprawił,
Ślicznieby na kobiercu bez uszu się stawił!

HANNA.

To też ślub wziąć co żywo, niech potem obcina,
Po weselu zapóźno.

PODKOMORZY.

Szalona dziewczyna!
Późno — jakem »Stary koń« masz *verbum nobile*,
Chociażbym ekspektował jeszcze drugie tyle,
Pokąd chłystek zajeżdża, nikt mię nie zobaczy.
(Odchodząc).
Obcinać pańskie uszy, to mi się podoba! *(Wychodzi).*

SCENA SIÓDMA.

HANNA *sama.*

HANNA.

Masz tobie! Oba poszli, komornik z rozpaczy,
Podkomorzy ze strachu. Wrócą... wrócą oba...



ZMIANA.

Izba Boguckiego. Ogień pali się na kominie.

SCENA ÓSMA.

BOGUCKI *(sam, chodzi po izbie).*

Wierzaj że tu kobiecie — o jaszczurka zmienna!
Chorągiewka na dachu, pogoda jesienna!
Pięć lat kocham zwodnicę, jak szczerze, Bóg widzi,
Gotówbym żywot ponieść, ona ze mnie szydzi,
Porzuca miłośnika za marną garść złota!
Otóż mi to niewiasty, otóż to mi cnota!
Za nic ma moje szczere gorące affekta,
Za nic ma deklaracye, attencye, kłopoty...

(Siada i opiera głowę na ręku).

Już ci Jasiu nie błyśnie na świecie wiek złoty!

(Chwila milczenia).

O czemużem nie słuchał rad księdza prefekta,
Co mi ten świat wystawił w prawdziwej figurze,
Pełen dyssymulacyi, wilk w baraniej skórze.
Mówił: *Joanne,* szczęście tylko w Jezusa zakonie
Et omnia est vanitas. (Zrywa się).
Krew mi wali w skronie
Jak młotem, zda się, że mi rozsadzi mózg cały!
Gotówbym jako Kmita rozbić łeb o skały,
Albo zginąć od szabli Turka lub Tatara!

SCENA DZIEWIĄTA.

BOGUCKI i PACHOLIK *(wchodzi).*

PACHOLIK.

Dwaj goście przyjechali, znać żołnierze oba,
Bo orężno i butno, z kozaków gromadą.

BOGUCKI.

A szlachta?

PACHOLIK.

O, dostatnia! Jeden starszy laty,
Drugi młodszy a tęższy; znać na wojnę jadą,
Przed deszczem się schronili.

BOGUCKI.

Proś ich do komnaty,
A przynieś wina i powiedz klucznicy,
Niech wieczerzę przyrządzi, służbę w oficynie
Pomieścić i nakarmić, ogień na kominie
Popraw.

PACHOLIK *(poprawiwszy ogień, otwiera drzwi na rozścież).*

Tu proszę panów. *(Do Boguckiego)* Biegnę do piwnicy.

(Szlachta wchodzi wprowadzona, pacholik odchodzi; król naprzód, Kątski za nim).

SCENA DZIESIĄTA.

KRÓL. — KĄTSKI i BOGUCKI.

KRÓL.

Laudetur Jesus Christus! Przebacz panie bracie
Odwiedziny tak późne, deszcz pada ulewny,
Droga trudna i mylna, każdy krok niepewny,
Wszystko zmusza o kącik prosić w tej komnacie,
Jeno świt odjeżdżamy, nie sprawim ci trudu.

BOGUCKI.

Odkądże to wrodzona u polskiego ludu,
Najmilsza do spełnienia cnota gościnności

Miałaby jakimś trudem być gospodarzowi?
Cóż więcej w domku biednym przynosi radości,
Jak w swej chatce swym chlebem usłużyć gościowi?
Człek z mlekiem wyssał starą gościnność naddziada;
Panowie bracia, bądźcie jako w domu własnym,
Czem chata bogata, tem rada.

KRÓL.

Pięknieć to gospodarzu święcić zwyczaj stary.

KĄTSKI.

Co za wicher! Do ziemi gnie dębu konary,
Ktoby się był spodziewał po takim dniu jasnym.

BOGUCKI.

Proszę, panowie bracia, tutaj przy kominie
I suknia się wysuszy i rozjaśni czoło
Przy wesołej pogwarze.

(Zdejmuje Kątskiemu opończę).

Deszcz was zmoczył srodze.

(Podaje królowi krzesło).

Tutaj będzie wygodnie, niech waszmość usiądzie.

PACHOLIK *(wnosząc wino i puhary).*

Otóż i wino.

BOGUCKI.

Postaw.

(Pacholik stawia i odchodzi).

A po takiej drodze
Kielich starego wina od rzeczy nie będzie.

KRÓL *(biorąc puhar).*

Per Deum immortalem! Ogień na kominie,
Stary węgrzyn na stole, czegoż więcej trzeba?

Miły mój gospodarzu, oby dały nieba,
Bym was kiedyś ugościć mógł tak w swej dziedzinie.

KĄTSKI.

Ale też zawierucha! Deszcz leje jak z kadzi!

KRÓL.

Interim cieszy mię to, że nam tu tak radzi.
Cudna rzecz wojna, kiedy człek na koniu,
Pośród w potrzebach doświadczonych szyków,
Wsiądzie na karki szwedzkich najezdników,
Lub dzikich pogan ugania po błoniu;
Lecz przyznaj panie Marcinie,
Zawsze milszy kąt domowy.

KĄTSKI.

Zwłaszcza też nudna wojna w czas zimowy.

BOGUCKI *(do siebie).*

A dalibóg że nie wiem, co się ze mną dzieje:
Ciągle ona mi w oczach, jak obraz w ołtarzu.
Tfy! Odpuść grzechy Boże, czy ja oszaleję!

(Zrywa się, głośno).

Widoczniem urzeczony!

KRÓL.

Miły gospodarzu,
Młoda nasza znajomość, ale widno szczera,
Bo nas przyjmujesz sercem i czem chata może:
Lecz przyznałbym, że aści jakiś mól doskwiera,
Masz coś na sercu — wyznaj...

BOGUCKI.

Cóż mi to pomoże,
Choćbym aszmościom wyznał?

KĄTSKI.

Toż my starsi ano,
Krew młodzika gorąca, rozważać nie lubi,
U starszego: *mens sana in corpore sano.*

KRÓL.

A choć nie czynna pomoc, to i rada szczera
Zmienić lub ulżyć może — desperacya gubi,
Powiedz waszmość otwarcie.

BOGUCKI.

Otóż w tem kozera,
Że na to rady niema.

KRÓL.

At, znowu gadanie!

KĄTSKI.

Toż aści nie *imperative,*
Ale jako affekta braterskie życzliwe,
Prosim co ci jest.

BOGUCKI,

Ha, niechaj się stanie.
Otóż czy z woli Boga, czy sprawą czartowską
Pokochałem niewiastę zacnej parenteli,
Szlachciankę z antenatów po mieczu, kądzieli,
Niedaleką sąsiadkę — ot, panią Jackowską.

KRÓL.

A ona czyż nie dzieli affektów aszmości?

BOGUCKI.

Toż Bóg jeden zna ledwie serce białogłowy!
Zdało mi się, żem widział znaki życzliwości,

Zdało mi się, że sprzyja — wtem konkurent nowy
Zjawił się, a ona mię od siebie oddala.

KRÓL.

I dlaczegóż nad aści przenosi rywala?

BOGUCKI.

Ano zwykle niewiasta! Tamten jest bogaty,
Da jej piękną oprawę, złotolite szaty,
Pozłocistą karocę.

KRÓL.

Cóż on za zacz taki?

BOGUCKI.

Podkomorzy halicki, szlachcic ladajaki
Klejnotu niepewnego, niedołęga stary,
Co miasto wina, chowa w beczułkach talary.
On to swoją fortuną przewrócił jej w głowie,
Gotowa wziąć dla grosza tego wiłę, ciurę!

KĄTSKI.

Już to każda niewiasta taką ma naturę,
Że więcej niźli męża, fortunę miłuje.

KRÓL.

I waść kochasz ją jeszcze?

BOGUCKI.

O! więcej niż życie!

KRÓL.

Lepiej zapomnij o niej.

BOGUNKI.

Ja to dobrze czuję,
Lecz dalibóg nie mogę, sami to widzicie,

Jaka mnie pasya trapi, trudny rozbrat z nami:
Wyrzuć żyda przez okno, to on wlezie drzwiami.

KRÓL.

Obiecałem dać radę i dam ją waszmości:
Ten, co tak szczerem sercem przyjął w dom swój gości,
Zda się, że i w potrzebie również śmiało stanie,
Bo gościnność i męstwo zwykły chodzić w parze.

BOGUCKI.

Dotąd nie byłem w żadnej, lecz radbym mosanie
Wyszczerbić zygmuntówkę na jakim Tatarze.

KRÓL.

Umiesz nią dzielnie władać?

KĄTSKI.

Wszak to polskie plemię.

BOGUCKI.

Ojciec mój pod Czarnieckim walczył za tę ziemię
Kordem, którym za morzem kropił Szwedów dyablo,
Uczył *omnibus modis* odcinać się szablą.

KRÓL.

Więc jedź z nami na wojnę; tam fortuny snadnie
Dobijesz się.

BOGUCKI.

Toż właśnie! Wszak ja szlachcic prosty,
Tam dla magnatów róże, a dla szlachty osty.

KĄTSKI.

Król w każdym ceni męstwo, nie zna, co różnica,
Nie zyskują faworów rodzinne splendory.

KRÓL.

Patrz, oto mój towarzysz z prostego szlachcica
Najwyższe prawie posiadł w ojczyźnie honory.
Oto nie parentela, naddziadów zasługi,
Lecz serce walki chętne, szram jeden i drugi
I odwaga w trzydziestu bitwach okazana
Sprawia, że prosty szlachcic, a dzisiaj pan możny,
Zasiada wśród senatu krzesło kasztelana,
I co więcej, generał armaty koronnej;
A wszystko winien szabli i duszy niezłomnej.

BOGUCKI *(jak piorunem rażony).*

Przez Boga! czy podobna?! Więc Jaśnie Wielmożny
Marcin Kątski mój biedny dom nawiedzić raczy?!

KĄTSKI.

A tak, z duszą i ciałem.

BOGUCKI *(do króla).*

Niechaj mi przebaczy
Wasza miłość, lecz dziwnie snuje się po głowie,
Lękam się, mimowoli, chybić w jakiem słowie...

(Z ukłonem)

Radbym wiedzieć...

KRÓL.

To słusznie, źle ze strony gości,
Że ciekawości dotąd nie zaspokoili;
Dalej panie Marcinie: my cię przedstawili,
Teraz wy nas *invicem* przedstawisz aszmości.

KĄTSKI *(z głębokim ukłonem).*

Joannes tertius, Dei gratia Rex Poloniae — Magnus Dux Lithuaniae — Russiae — Prussiae — Masoviae —

Volhyniae — Kijoviae — Samogitiae — Podoliae — Podlachiae — Inflantiae — Czernichoviensis...

(Król w środku. Za pierwszem słowem Bogucki upada na jedno kolano z zachwyceniem; w czasie wyliczania tytułów zasłona spuszcza się powoli, z ostatnim zapada. Król Jan stoi w pośrodku uroczyście).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

ODDZIAŁ PIERWSZY.

Obóz polski nad Świecą, między Żurawnem a Bolechowcem Wały dokoła, po prawej stronie część zamku żurawińskiego, gdzieniegdzie czaty. W oddaleniu widać mnogie ognie tureckich obozowisk. Zmierzch.

SCENA PIERWSZA.

KRÓL. — KĄTSKI. — BOGUCKI. — KILKU RYCERSTWA. *Wszyscy zbrojno.*

KRÓL *(stoi na szańcu, wpatrując się w obóz Turków).*

Jakże liczne ich namioty
Bielą wkoło; a gdy działa
Poczną sypać zgubne groty,
Drży od huku ziemia cała.
Od ich ognisk łuną płonie
Całe niebo.

(Schodzi z szańca; za nim wszyscy).

Wróg dokoła,
Gdy tymczasem nasze roty
Utraciły mnóstwo ludzi!
Ówdzie padła już połowa,
Ciało gnie się z głodu, trudu,
A duch słabnie od zwątpienia.

BOGUCKI.

Dopóki Król Przeznaczenia
W Swej opiece wiernych chowa,
Póki Pan nasz miłościwy
Dzierży w dłoni miecz straszliwy,
Który znają pogan hordy,
Póki jeszcze ojców kordy
Ręka nasza dzierżyć zdoła,
Ciało nie zna, co strudzenie,
Dusza nie zna, co zwątlenie.

KRÓL.

Bóg wam zapłać.

KĄTSKI.

Żeby a to
Z sukursami i armatą
Sieniawski i hetman polny
Przyspieszyli marsz powolny,
Jeszczebyśmy poganina
W puch rozbili.

KRÓL.

Zaż hetmany
Z sukursami chętnie spieszą?
Moje klęski panów cieszą,
Jam im równy, a wybrany,
Równy — a mnie słuchać muszą.
O radziby całą duszą,
By król mściciel śród rozprawy
Stracił wojska, pozbył sławy,
A chociażby złożył głowę!
Piastów było dwóch z kolei,

Gdy elekcye przyjdą nowe,
Czyż trzeciemu brak nadziei?...

KĄTSKI.

Miłościwy nie sądź Panie,
By tak było — toż u kata,
Chociaż silną jest prywata,
Lecz silniejsze przywiązanie
Do ojczyzny.

KRÓL.

Co ojczyzna!
Cóż ojczyzna ich obchodzi?
Gdy w niej dumny pan rej wodzi,
To mu miły kraj rodzinny,
Lecz gdy berło dzierży inny,
Niech się zwali nań pół świata! —
Bo ojczyzną ich prywata.
Spróbój, jakby z lwiej paszczęki,
Rządy Polski wziąć im z ręki!...
Raczej dadzą, by kraj cały
Sąsiad chciwy rwał w kawały,
I w sromotnej zmarniał doli,
Niźli nie szedł po ich woli!

KĄTSKI.

Powstrzymaj żal Królu drogi!

KRÓL.

Głód doskwiera — pomór srogi,
Żołnierz pada z utrudzenia,
Prochy nawet już na schyłku —
Wszak już miesiąc oblężenia — —
Ani słychać o zasiłku!
Próżno ślę wciąż licznych gońców,

Wszędzie głucho — w takiej zgrozie
Jeszcze trzy dni, a w obozie
Wróg zwycięski, miast obrońców,
Znajdzie trupy.

KĄTSKI.

Sam Bóg znaczy,
By układy...

KRÓL.

Gardło raczej,
Śmierć nam wszystkim, niż układy!
Toż śmią żądać chytre gady
Ukrainy i Podola,
Chcą, bym haracz płacił — Boże!
Prędzej mi śmierć lub niewola,
Raczej głowę tu położę,
Niż w układy wejdę z nimi!
Jako pierwszy syn tej ziemi,
Na mych ojców klnę się kości,
Wprzód ten oręż w proch się skruszy,
Wprzód tu w gruzach się zagrzebię,
Nim pozwolę szydzić z siebie!

BOGUCKI *(na stronie).*

A cóż to za ogień w duszy!

KĄTSKI.

Królu pomnij, że twe życie
Życiem Polski...

KRÓL.

Dość! O świcie
W szczerem polu, nie za wałem,

Wyjdziem zcicha z wojskiem całem
I uderzym na Turczyna.

KĄTSKI.

Boże, krew się w żyłach ścina!
Jak tu walczyć? Boże miły,
Żołnierz korda nie utrzyma,
Jeździec na koń siąść nie zdoła.
Jak tu Turkom stawić czoła,
Gdy nas dzieci pobić mogą?!
Jutro królu wojsko zginie,
Pójdziem na rzeź, na zagładę.
Zważ na swą osobę drogą.

KRÓL.

I to waszmość, mój Marcinie,
Ty mi dajesz taką radę?
Gdy ojczyzna w przepaść leci,
Ja mam tylko dbać o siebie?
Kiedy giną polskie dzieci,
Król powinien ledz na czele!

KĄTSKI.

Królu, wróg zna twoje męstwo,
Ale ważyć nazbyt wiele,
To nie męstwo, lecz szaleństwo!
Chcesz kraj zgubić? Chcesz, by wrogi,
Gdy zabraknie króla Jana,
Nieśli w polskę mord, pożogi?
By ojczyzna ukochana,
Zmieniła się w grób, w pustynię?...
O mój królu! Polska zginie,
Zginie, bo ją królu miły
Sam chcesz wtrącić do mogiły
I w śmiertelne szaty spowić.

KRÓL *(ponuro).*

Lecz cóż czynić?

KĄTSKI.

Układ wznowić,
Czekać, aż znów przyjdą chwile,
By im oddać w dwoje tyle.

KRÓL *(do Boguckiego).*

A waść wynurz swoje myśli;
Toż Bóg czasem zsyła rady
Przez maluczkich.

BOGUCKI.

Moje myśli,
Bój z poganem, nie układy!
Niech im szabla na łbach skréśli
Traktat; raczej krwi ostatki
Wytoczymy na te łany,
Niźli w kraj nasz ukochany,
Niźli w serce naszej matki
Wpuścim wroga! *(Z ogniem)*
Polska górą!
Do układów *(uderza w szablę)* oto pióro,
Śmierć poganom!

KRÓL *(do przytomnych).*

Czy słyszycie!
Jego słowa to natchnienie —
Jakiekolwiek przeznaczenie,
To mój rozkaz niecofniony:
Broń gotować, a o świcie
Stoczym walkę.

(Odchodzi, za nim rycerstwo).

SCENA DRUGA.

KĄTSKI. — BOGUCKI.

KĄTSKI *(zły)*.

A mosanie,
A toż widzę waść szalony!
Człek w rozpaczy bez nadzieje,
A ten olej w ogień leje,
Tfy do czarta!

BOGUCKI.

Przebacz panie,
Istny ogień mię ogarnął
I sam nie wiem, com powiedział.

KĄTSKI.

Tożbyś lepiej cicho siedział,
Połknął język — ażem tarnął![1])

BOGUCKI.

Przecież Pan Bóg jest nad nami,
Może da nam wziąć przewagę.

KĄTSKI.

Z kim przewagę? — z łazarzami?!
Toś nam na kark ściągnął plagę!
Patrz — lud chwieje się od głodu,
Z bolu okiem toczy dzikiem,
Dziś ksiądz z świętym wijatykiem
Chodzi wciąż od słońca wschodu,
A co chwila nowe strzały.

(Patrzy na prawo).

---

[1]) *tarnął* od sł. pol. *tarniec* znaczy: cierpnąć, drętwieć (Linde V. 655 — *przyp. wydawcy)*.

Patrzno waszmość, tam brak czaty.
(Woła).
Jest tam który!

SCENA TRZECIA.

DAWNI. — ROTMISTRZ.

KĄTSKI.

Hej mosanie,
A czemu to tam na wale
Niema czaty?

ROTMISTRZ.

Generale,
Do południa czata była,
Lecz pod wieczór od mej roty
Wpadło w niemoc ludzi siła,
Trzech już zmarło, a bez liku
Chorych. Łacniej więc z gromnicą
Stanie który.

KĄTSKI.

Sam z rusznicą
Staniesz aszmość w narożniku.
(Rotmistrz odchodzi).
Widzę, rzecz jest tej natury:
Rezolucya desperacka
Jest potrzebna. Ma znienacka
Śmierć zaskoczyć nas jak szczury,
Lepsza bitwa; ich posoką
Zmyjem hańbę — dłuższą zwłoką
Zginiem marnie. Pójdź waść w lochy,
Nim król wstanie, wydam prochy.
(Odchodzi do zamku; za nim Bogucki).

SCENA CZWARTA.

JACENTY *(wchodzi ostrożnie, niosąc zawiniątko pod pachą).*

A wolałbym na powrozie
Wisieć albo złamać kości,
Niż z rozkazu jegomości
Zdychać z głodu w tym obozie.
A czy mnie tu wnieśli dyabli!
Co tu strachu, co tu biedy,
A wąsatej w bród czeredy!
Pełno broni, kopij, szabli,
Tu janczarka, tu rusznice,
Arkebuzy, hakownice,
A żołnierze jakie smyki!
Zaraz rwą się do pałasza,
Sieką, kolą i strzelają,
A co gorzej, jeść nie dają!

(Wzdycha).

Boże, w domu *(kiwa głową)* są zraziki
I z słoninką tłusta kasza

(Z oburzeniem).

A tu dadzą na śniadanie,
Zamiast barszczu, nic mosanie,
Na obiad nic, na wieczerzę
Znów nic — to pasya bierze!

(Ze smakiem).

Aj, bigosik a z wędzonką,
Lub z podlewką jędor burą,
Albo barszczyk, barszczyk z rurą!

(Duma).

Zanim ranne wstanie słonko,
Cichuteńko drapnę, zcicha;
Ależ ten list — oj do licha!

(Wyjmuje list).

Czemuż ja go nie oddałem!
Lecz oboźny już nie żyje,
Na cóż mu więc pisma czyje?

(Chowa list).

Wolę zmykać z duszą, z ciałem.

(Odwiązuje zawiniątko).

Ot, z Tatara zdarłem szaty,
Ciemniuteńko, więc przez czaty
Turków przejdę w tym ubiorze.

(Ogląda szaty).

Mokre... co to?... krew się zdaje!
Bierz Michale, co Bóg daje

(Ubiera się).

Ale rzeka?... ba, toć przecie
Lepiej zmoknąć, niż na wojnie
Szukać guza lub po grzbiecie
Wziąć kiścieniem.

(Odrzuca szablę).

Precz szablisko!
Coś mi w sercu niespokojnie,
By nie stracić tylko głowy!

(Ubrawszy się).

Ot i Tatar już gotowy —
Wkoło ciemno, rzeka blisko,
W Imię Boże...

(Żegna się, potem ostrożnie skrada się ku wałom).

ROTMISTRZ *(stojący na czatach).*

Stój! Kto idzie?

JACENTY *(staje).*

Masz Jacusiu!

ROTMISTRZ.

Kto tam?!

JACENTY.

Ślisko!
Odpowiadać nie wypada,
Ba, nie głupim!

ROTMISTRZ.

Kto tam?!

(Pauza — Rotmistrz strzela).

Zdrada!

(Jacenty pada).

Hej do broni!

(Strzały dokoła powtarzają się).

SCENA PIĄTA.

KĄTSKI. — BOGUCKI. — *Kilkunastu zbrojnych żołnierzy z pochodniami.*

KĄTSKI.

Co się stało?

ROTMISTRZ.

Człowiek jakiś przy tym wale,
Zaczął skradać się nieśmiało;
Gdy na trzykrotne wezwanie
Odpowiedzi nie dał żadnej,

Wtedy, mości generale,
Ubiłem go.

BOGUCKI.

Czy też zdradnej
Myśli nie miał?

KĄTSKI *(do Boguckiego).*

Idź mosanie,
Przejrzyj trupa.

(Do Rotmistrza).

Waść tymczasem
Obejdź wszystkie czaty nasze.

(Rotmistrz odchodzi z częścią straży).

Ano cóż tam?

BOGUCKI.

Ot za pasem
Pismo jakieś!

KĄTSKI.

Dawaj wasze.

(Do żołnierza).

Świeć tu *(czyta):* »Do miłościwego
Mnie po wszystkie wielce czasy
Imci pana Oboźnego...«

(Oddając Boguckiemu).

Czytaj aszmość te kulasy.

BOGUCKI *(czyta).*

Mości Panie Oboźny!

»Ufny w kredyt i amicicyę, jaką mam u Waszmości Pana, śmiem suplikować o maluchną benewo-

lencyę. Przez mego hajduka, który Mościwemu Panu *hanc epistolam* odda, upraszam *vice versa* o *testimonium*, w któremby wyrażone było, jako stolnik halicki, przezemnie wykupiony, z jassyru rychłego *ad penates* oczekuje powrotu. Córka bowiem jego, o której dozgonną życzliwość tentuję, nie chce dać deklaracyi, tylko pod kondycyą »*sine qua non*« wykupienia ojca z tureckiej niewoli, do czego ani pieniędzy, ani ochoty nie mam«.

P. S. »Jest tam w obozie *quidam* chłystek, Jan Bogucki, a mój w affektach szczęśliwy adwersarz który, gdyby się do jassyru dostał, za ten fawor, w mocy Mościwego Pana będący, miałbym dozgonną wdzięczność, deklarując wieczyste milczenie.

Z powinną submisyą i rewerencyą
Matthaeus »Stary koń« Skalski
Cammerarius Halicianus.

(Mówi).

Nie daruję! Ha, do biésa!
Zrąbię w sztuki infamisa!

(Przypatruje się trupowi).

Wszak ten Turczyn... Boże święty!...
Cóż ja widzę?!... To Jacenty!
Hajduk jego zastrzelony!
Dobry sługa — martwe ciało
O wierności świadczy jego.

KĄTSKI.

Znać to pismo nie zastało
Imci pana Oboźnego
Już przy życiu. *(Do straży)* Idźcie sobie.
Lecz skąd ta złość ku osobie
Asindzieja.

BOGUCKI.

Toż z zazdrosci,
Że mam względy u jejmości.
Jam ją winił, że chuć złota
Z czucia duszę jej obdarła,
A to, widzę, sama cnota!
Dla rodzica się zaparła
Swych affektów, głosu serca...
A ten stary...

(Z największem uniesieniem).

O morderca!
Zrąbię jak psa!

KĄTSKI.

Gdy godziny
Policzone, więc i winy
Odpuść, by ci odpuszczono.

BOGUCKI *(zapalony).*

Aż mi ogniem lica płoną,
Ach porąbię łotra w sztuki!

KĄTSKI.

A zaręczy kto waszeci,
Że nim dzionek błyśnie nowy,
Nie poszarpią ciebie kruki?
Tfu! dla jednej białogłowy
Krew wylewać — dzieci, dzieci!
Wasze serca czyż ze skały?
Masz ta ziemia z klęsk wyjść biedna,
Gdy niewiasta u was jedna
Więcej waży, niż kraj cały?!
O nieszczęsna ta prywata!

Każdy za swą pasyą goni:
Jeden zgubne sidła przędzie,
By zagubić swego brata,
A znów drugi w złym zapędzie
Chce opuścić króla w toni!

BOGUCKI.

Toż jenerał przecie przyzna,
Serce boli...

KĄTSKI.

Król, ojczyzna
Pierwsi, niźli twa dziewczyna!

BOGUCKI.

Prawda — wielka moja wina,
Ale młodość jakoś w szale
Pohamować się nie może.

KĄTSKI.

Pójdź waść, pośród pracy całe
Stłumisz mola. *(Chce odejść)*.

BOGUCKI *(do siebie)*.

Oj, nie stłumię,
Nie zagubię całe życie.
(Głośno).
Jeszcze jedno: tam, gdzie prochy,
Przepatrzywszy dalsze lochy,
Bardzom ważne wziął odkrycie.

KĄTSKI *(żywo)*.

Może żywność?

BOGUCKI.

Moździeż srogi
I bomb siła.

KĄTSKI.

Cóż nam z tego,
Kiedy prochów mamy mało?
Na nic bomby.

BOGUCKI.

Ale wrogi
Nie są nazbyt serca lwiego.
Jak im bombą żygnie działo,
To zaręczam, takiej piłki
I sam Szajtan się przelęknie,
Gdy pod nosem mu tuż pęknie —
I pomyśli, że posiłki
Przyszły z Rusi, że hetmany
Następują.

KĄTSKI.

Niezłe plany,
Krótko służysz, ale głowa
Nie dla kształtu — rada zdrowa —
Pójdźmy, Bóg wie... ha, sprobuję,
Może przez rzecz małej wagi,
Opatrzność nas zbawić chciała.

(Odchodzą do zamku).

SCENA SIÓDMA.

JACENTY *sam. Po odejściu wszystkich Jacenty podnosi głowę ostrożnie, potem pomału wstaje, oglądając się na wszystkie strony.*

Ha urwisze, draby, smyki!
Oto naród wściekły, dziki!
Poszli przecie, Bogu chwała!
Choć niemało mam odwagi,
Jak wypalił zbój przeklęty,

Jak mi świsło koło ucha,
Mało com nie oddał ducha.
Wszędzie cicho — po omacku
Trzeba zmykać; drugim razem
Nie uszłoby mi to płazem.
Dalej w nogi biedny Jacku!

(Umyka za okop).

KONIEC PIERWSZEGO ODDZIAŁU AKTU DRUGIEGO.

Pomiędzy pierwszym a drugim oddziałem gęste wystrzały oznaczają potyczkę.

ODDZIAŁ DRUGI.

Obóz turecki. Wnętrze namiotu Seraskiera; przez całą scenę przechodzi przepyszny wschodni namiot. W tylnej ścianie główne wejście, zasłonięte firanką; na lewo wejście do pomieszkania Seraskiera.

SCENA ÓSMA.

MECHMED GEREJ. — SKINDER-BEJ.

SKINDER-BEJ *(wychodząc od Seraskiera).*

I cóż myślisz kule one?

MECHMED.

Dla mnie rzeczy niezgadnione,
Eblis wplątał się w tę sprawę,
Widno jego dzieło krwawe!
Niemasz Boga, tylko Bóg
I Mahomet, prorok wielki!
Lecz mam sądzić pozór wszelki
I oświadczyć ci obawę,
Że posiłki dostał wróg.

SKINDER-BEJ.

Czy wysłałeś, wielki Hanie,
Za językiem?

MECHMED.

Maksud-aga
Wnet przywiedzie na arkanie
Do obozu nam psa Lacha.

SKINDER-BEJ.

Idę mądrość twoich słów
Nieść zastępcy padyszacha.
(Odchodzi).

SCENA DZIEWIĄTA.

MECHMED *sam.* — *Potem* HASSAN-BEJ.

MECHMED.

Nim księżyca błyśnie nów,
Zbieram tabor mój znużony
I napowrót wracam w Krym.

HASSAN-BEJ *(wchodzi).*

Mohamedzie, giaur schwycony,
Maksud wziął go tuż przy wałach,
Czy nie chciałbyś mówić z nim?

MECHMED.

Niech pochwalon będzie Ałłach!
Mądrze mówisz wielki Ago.

HASSAN-BEJ.

Kule te są straszną plagą
I zadają naszym cios;
Ha, przeklinam wojnę z duszy!

MECHMED.

Niech na tego krew przelana,
Niechaj spadnie czarny los,

W czyjej duszy się wylęga
Chęć prowadzić dalszy bój!

HASSAN-BEJ.

Wstrzymaj hanie język twój;
Wszak ci znany miecz Szajtana,
Jego ręka wszędzie sięga,
A te szatry mają uszy.

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI. — HOSPODAR. — BOGUCKI, *przez Tatarów wprowadzony.*

HASSAN-BEJ.

Hanie, przemów doń łagodnie.

MECHMED.

Chociaż wielkie twoje zbrodnie,
Żeś śmiał podnieść, nędzny Lachu,
Broń naprzeciw padyszachu;
Lecz me serce — kwiat litości —
Moja rada, jak dzień szczera,
Wkrótce staniesz przed obliczem
Potężnego Seraskiera:
Brat tygrysa, a syn lwa,
Miłosierdzia on nie zna.
Niech użyczy ci mądrości
Wielki Ałłach. Od twych słów
Całość króla, waszych głów,
Nawet los zależy wojny.
Rozważ w myśli.

BOGUCKI *(do siebie).*

A toć młynki
Dziwne ze mną niespokojny

Los wyprawia: pół godzinki,
Jakem wybiegł za językiem,
Zamiast wrócić z niewolnikiem,
Oto jestem sam w jassyrze,
Skrępowany, jako zwiérze.

MECHMED.

Czyś ty szlachcic?

BOGUCKI.

Tak, mosanie,
Szlachcic z dziada i pradziada.

(Na stronie).

Lecz człek pono próżno gada,
Bo u Turka niechrzczonego
O szlachectwie ani dudu.

MECHMED.

Zdjąć mu pęta, niechaj z trudu
Wytchnie nieco.

(Boguckiemu zdejmują pęta).

Króla twego
Czy ty kochasz?

BOGUCKI.

Toż pytanie!
Czy to w Polsce rzecz słychana,
By nie kochał szlacic króla,
A tembardziej króla Jana?!

MECHMED.

Twój pan, to podcięty kłos!
Śmierć go czeka lub niewola;
Czy chcesz zmienić jego los?

BOGUCKI.

Jakto?

MECHMED.

Jam tatarski han,
To potężny wódz janczarów,
Ów hospodar jest wołoski,
Twego pana przyjaciele,
Którzy mu chcą do zamiarów
Przyjść z pomocą.

BOGUCKI *(do siebie)*.

Srogi han,
Rok po roku nasze wioski
Pali, a lud trupem ściele;
Aga czyha jako czart
Na uczciwych chrześcian głowy,
I hospodar dyabła wart!
(Z ironią).
Przyjaciele?!

MECHMED.

Masz znak nowy
Tej przyjaźni, choć nasz gniew
Straszny, jako pustyń lew,
Chociaż samych już namiotów
Więcej, niźli u was ludzi,
Chociaż chmura naszych strzał
Ćmi blask słońca, choć was trudzi
Głód okrutny, gdybyś chciał
Odwrócić cios zgubnych grotów,
Mógłbyś łacno.

BOGUCKI.

Dzięk ognisty
Za łask dowód oczywisty,
Że chcesz zgody z moim panem,
A ocalić mnie od śmierci.

MECHMED.

Wkrótce staniesz przed Szajtanem,
Jego oko wskróś przewierci,
A będzie cię badał sam;
Gdy o kule te zapyta,
Wtedy śmiało kłam z kopyta,
Że posiłki przyszły wam.
Praw mu bajki o hetmanie,
O żywnościach...

BOGUCKI.

Zbytek łaski,
Wdzięcznym za to wielki hanie!
Po co kłamać, toż Sieniawski
Przywiódł wczoraj wojsko świeże,
Prochy, żywność i moździeże.

MECHMED *(na stronie do agi).*

Czy słyszycie? Na proroka!
To być może, otóż zwłoka
I chęć wojny Seraskiera!
(Surowo, patrząc bystro w oczy Boguckiemu).
Prawdęż mówisz?

BOGUCKI.

Prawda szczera.

MECHMED.

Te posiłki jakże wielkie?
Mów!

BOGUCKI.

Radbym ja najgoręcej
Odpowiedzieć na pytanie;
Lecz nie siadam pośród rady.
Ot *plus minus,* wielki Hanie,
Ze dwadzieścia jest tysięcy.

MECHMED.

Lachu, strzeż się, knujesz zdrady,
Śmierć nad tobą! Łżesz wierutnie!

BOGUCKI.

Ha, niech mi waść głowę utnie!
Może kłamię, bom tej czerni
Nie policzył: są pancerni,
Są husarze, są piechoty —
Oj nie zbraknie wam roboty!

HASSAN-BEJ *(ponuro do hana).*

Słyszysz hanie? — o pokoju
Ani myśleć!

MECHMED *(podobnież).*

Wzrosły w siły
Iskander Jan, chciwy boju,
Wzgardzi zgodą.

HASSAN-BEJ *(jak wyżej).*

Bracie miły,
Ulubieńcze ty proroka,
Cóż uczynim?

MECHMED.

Każda zwłoka
Grozi zgubą — a więc wraz
Wrócę do dom.

HASSAN-BEJ.

I mnie czas.
Wśród janczarów skrycie wre
Bunt — ta wojna im doskwiera,
Ileż znieśli klęsk niezmiernych!
Jeżeli więc Szajtan chce,
Niech wojuje sam niewiernych.

(Ciszej).

Oto niosę moje słowa:
Gdy się cofniesz, w tęż godzinę
Ja janczarów biorę mych
I odchodzę; całą winę
Zwalmy na łeb Seraskiera,
Niechaj spadnie jego głowa.
To myśl moja niecofniona.

MECHMED *(jak wyżej).*

Usta twe jak Salomona,
Woń mądrości płynie z nich.

BOGUCKI *(do siebie).*

Zgłupiał widzę Tatar pies
I uwierzył na swą szkodę.

MECHMED *(jak wyżej).*

Trzy dni temu, jak w nagrodę,
Bym odstąpił wojsk Szajtana;
Tajny poseł króla Jana
Przyrzekł złota dać sto kies.

HASSAN-BEJ *(podobnież).*

I mnie tyleż przyrzekł dać.
Trudno teraz mieć nadzieję
I połowy.

BOGUCKI *(do siebie, usłyszawszy).*

Stąd wiatr wieje,
Chcą za zdradę złoto brać!

MECHMED *(jak wyżej).*

Bije naszych dni godzina,
Zamiast złota znajdziesz skon.

BOGUCKI *(do siebie).*

A toż łatwo psa Turczyna
Wywieść w pole, choć to on
Lucypera rodny brat.

MECHMED *(głośno).*

Pan twój poniósł tyle strat,
Że choć armia się zwiększyła,
Kroplą wody wasza siła,
Przeciw morzu naszych sił.
Głód was trapi, wkrótce zima
Całe wojsko zmrozi wam,
Miecz zagłady Szajtan trzyma,
Lecz ja nie chcę, aga sam —
Chęć utracił do walczenia.
Kiedy będziesz wolny znów,
Skłoń króla, niechaj dotrzyma
Wyrzeczonych do nas słów,
Niech swe spełni przyrzeczenia.
A Seraskier, choć zacięty,
Choć chce chłeptać waszą krew —

Ja poskromię jego gniew
I powróci pokój święty.

HASSAN-BEJ.

Po odbyciu wielkiej rady,
Pójdziesz zanieść twemu panu,
Co usłyszysz śród dywanu
I treść tajną naszych słów.

HOSPODAR *(do siebie)*.

O jaszczurki pełne zdrady!
Więc to takie wasze myśli?!
Dalej, idźmy do Szajtana,
Niech wam zdradę na łbie kréśli.
(Odchodząc).
Dzisiaj dużo spadnie głów!
(Odchodzi do Seraskiera).

MECHMED *(cicho do Boguckiego)*.

Pomnij giaurze, że w twej mocy
Jest milionów złożon los,
Więc do króla podnieś głos,
Niech powstrzyma napad swój;
A dzisiejszej jeszcze nocy,
Chociażbym miał stoczyć bój,
Między nami traktat stanie.

SCENA JEDENASTA.

DAWNI i SKINDER-BEJ.

SKINDER-BEJ.

Ałłach z wami wielki Hanie!
Waszą miłość oraz agę
Szajtan widzieć chce potężny.

MECHMED *(cicho do Boguckiego).*

Przed Szajtanem stawaj mężny,
A roztropny, jako wąż.

HASSAN-BEJ *(przechodząc koło niego).*

O posiłkach praw mu wciąż.

MECHMED *(jak wyżej).*

I pamiętaj na sto kies.
(Głośno, ażeby Skinder-bej słyszał).
Ago wiesz, co giaur, to pies,
Obyś łotrze zdechł na haku!

HASSAN-BEJ *(donośnie).*

Chciwie pragnę jego krwi!
(Odchodzą).

SCENA DWUNASTA.

SKINDER-BEJ. — BOGUCKI.

SKINDER-BEJ.

Powiedz mi młody Polaku,
Co oni mówili ci?

BOGUCKI.

Ha... badali.

SKINDER-BEJ.

Co badali?

BOGUCKI.

Skąd posiłkiśmy dostali.

SKINDER-BEJ.

Cóżeś odrzekł?

BOGUCKI.

Ha, nic więcej,
Jak co prawda: że tysięcy
Ze dwadzieścia przyszło z Rusi,
Choćby śmiercią zagrozili,
Jeszczeć prawdę wyznać musi.

SKINDER-BEJ *(osłupiały, zbliża się zwolna do Boguckiego).*

Więc korzystaj z wolnej chwili
I powstrzymaj dalszy bój.
Wielki Szajtan mnie powierza
Każdy tajny zamiar swój.
Jeśli twój król chce przymierza,
Niech mi da pięćdziesiąt kies,
A chociażby, miast Szajtana
Seraskiera rządził bies,
Jeśli zechcę, pokój stanie
I z korzyścią króla Jana
Dzisiaj jeszcze.

BOGUCKI *(na stronie).*

Toż mosanie
Same łotry!

SKINDER-REJ.

Ja sam mogę
Zmienić słowem wasz los smutny;
Wiedz, iż Szajtan nasz okrutny
Postanowił już śmierć twą.
Niech ci kłamstwa w piersi mrą,
Bo u niego śmierć igraszką,
A twe życie niczem, fraszką,
Prędzej wyjdziesz z lwiej paszczęki!
Jako tygrys lubi męki,

Męki straszne, niesłychane,
Ogień, rzeki krwi przelane.
Więcej królestw zniszczył sam,
Niźli grodów w twej ojczyźnie.
Zgon ci zada wszelki kłam!
Kto raz wpadnie w jego szpony,
Już się więcej nie wyśliźnie.
Lecz uważaj: mem staraniem
Ty zostaniesz ocalony
I do króla Iskandera
Poniesiesz słów moich treść.

BOGUCKI *(do siebie).*

Baśń moja prawdy nabiera,
Trzeba jeszcze więcej pleść.

SKINDER-BEJ.

Jeśli zadrżysz lub kłamliwe
Rzekniesz słowo — już po tobie.
(Odchodzi).

BOGUCKI.

Jak radzicie wszystko zrobię.

SCENA TRZYNASTA.

BOGUCKI *(sam).*

Znam Szajtana — toż on żywe,
Niby Herod, męczy dziatki,
Pali miasta, wioski, chatki,
W gruz przybytki zmienia pańskie
I lud wiejski siecze, kole
Lub gna w ziemie bissurmańskie;
Nie zostawi jednej piędzi
I mnie pewnie nie oszczędzi.

Strach z waszecią komorniku,
Skończysz żywot na paliku.

(Z ogniem).

Jabym miał drżeć? Cóż u licha!
Cóż mi weźmie? — Żywot? — ano
Toż mi żywot nędzny dano
Dla ojczyzny i dla Boga,
Toć mi milsza Polska droga,
Miłość króla jegomości,
Niźli ten świat, pełen złości.
A męczarnie? Skarga pisze:
»Męczennicy pańscy święci
Więcej znieśli«. Przykład nęci,
Wszak każdego męczennika
Bóg na łonie swem kołysze
I otacza chór anielski.
Przytem splendor jeszcze inny:
Gardło za kraj dać rodzinny,
Wspomni o tem jaki Bielski,
A król pomści krwi niewinnej.

SCENA CZTERNASTA.

IBRAHIM SZAJTAN. — HASSAN-BEJ. — MECHMED. — HOSPODAR. — SKINDER-BEJ *i czterech baszów.*

(Murzyni wnoszą węzgłowia, które układają na dywanie w półksiężyc: środkowe wyższe dla Seraskiera; w środku, między Mechmedem a Hassan-bejem zasiada Szajtan, poniżej zasiadają inni. Murzyni podają zapalone fajki członkom rady. Wszyscy Turcy poważni i nieruchomi, wyjąwszy scen gwałtownych. Niewolnicy odchodzą).

BOGUCKI *(podczas zbierania się rady do siebie).*

To seraskier? Ha, przez Boga!
Twarz nieszpetna, ale sroga,
Żar krwi chciwy w oczach błyska.
Coś mi duszno, pierś się ściska,
Trudno będzie z tym szatanem!
Przecież Ojcem mym i Panem
Bóg — pomocą, Matka Boska,
Święta Panna Częstochowska
Schroni mię przed jego grotem,
Więc mię zbawi z rąk Judasza.
(Po chwili).
Ciekawym też, czy ów basza
Szczyci się jakim klejnotem,
Czy to szlachcic bisurmański,
Lub cham prosty?...

SZAJTAN.

Psie chrześcijański,
Bóg podał cię w moją dłoń,
Moje imię, duch ciemności,
Niema w sercu mem litości,
Więc się Lachu kłamstwa chroń,
Bo cię każę na pal wbić,
W kleszczach szarpać ciało twe!
Jeśli więc chcesz jeszcze żyć,
To mów prawdę — prawdy chcę!
(Klaszcze, szatra się odsłania: widać czterech oprawców półnagich i rozmaite narzędzia męczarni).
Patrz niewierny! — to dla ciebie!

BOGUCKI *(do siebie).*

O Najświętsza Panno w niebie
Dodaj męstwa w słusznej sprawie!

SZAJTAN.

Przyjaciel mój, wielki Han,
Wspomniał, jakoby twój pan
Wojska w pomoc dostać miał.
Czy to prawda?

BOGUCKI *(cokolwiek zmieszany).*

Tak... piechoty
Przyszły wczoraj i żywności,
Proch i wielkich kilka dział.

SZAJTAN.

Czy nagrody twej szczerości
Chcesz doświadczyć?
(Daje znak, oprawcy posuwają się naprzód).
I cóż więcej?

BOGUCKI *(przezwyciężając się).*

Nie wiem, ile tam tysięcy
Petyhorców i hussarzy,
Dość, że zastęp był niezmierny,
A król mówił...

SZAJTAN *(przerywając).*

Łżesz niewierny!
(Ogromny huk rozlega się, bomba pęka tuż za namiotem. Jedna ściana zostaje rozszarpana).

MECHMED *(wstaje).*

Oto znak, że on nie kłamie,
Że odwraca Ałłach ramię
Od nieszczęsnych swoich sług;
Straszna ręka jest Ałłacha,
Wierzę słowom tego Lacha,

Iż posiłki dostał wróg;
Wątpliwy jest wojny los,
Zatem moja rada szczera,
Przyjm warunki Iskandera.
Tak wyrzekłem. *(Siada)*.

HASSAN-BEJ.

Ja mój głos
Wznoszę jako ptak pustyni,
Co już bliski czuje skon.
Znam straszliwe ramię twe,
Co sułtana wspiera tron.
Twoja mądrość czysty zdrój,
Ale Bóg inaczej chce.
Hana głowa — moja głowa,
Hana mowa — moja mowa,
Trzeba myśleć o traktacie,
Zgubą dla nas dłuższy bój.
Tak wyrzekłem.

SZAJTAN.

Jakież macie
Podłe myśli! Na Ałłacha
Ta kłamliwa mowa Lacha,
Nie trafiła w moją myśl;
Na proroka świętą brodę
Trwogi nie zna serce me!
Kto się lęka — z takim precz!
Ja sam wiernych w bój powiodę,
Rozkazywać moja rzecz!

HAN.

Seraskierze — słowa twe
Dla mnie święte, czyń, co chcesz,

Ja sam pragnę Lachów krwi;
Ale, baszo, powiem ci,
Wojska nasze wycieńczone,
Wszakże o tem dobrze wiesz,
Że im przyszły nowe siły —
Ta wojna nas w przepaść wiedzie!
Wprzódy walki zgubne były,
A cóż teraz?

SZAJTAN.

Ty Mechmedzie
Wierzysz, co ten pies niewierny
Kłamie?! Także's łatwowierny?!
Giaur cię nędzną bajką łudzi!
Wierzysz, aby tyle ludzi
Razem z wiatrem im przybyło,
Jak tumany ranne, mgliste?
Czyż ogromną naszą siłą
Ich nie strzeżem legowiska?

MECHMED *(wpół przekonany).*

Ależ kule ich ogniste?

SZAJTAN.

Te oddawna mogli mieć;
Toż niewiernych zguba bliska,
Wschodzi dla nich słońce kary,
Śmierć Polakom! Jutro bój,
Wy rozkazy pełńcie me,
Rozumiecie? Ja tak chcę!

HASSAN-BEJ *(porywa się z miejsca).*

Ty tak chcesz?! Szajtanie stój!
Niczem dla mnie rozkaz twój,

Zapytaj wprzód czy janczary
Walczyć zechcą!

SZAJTAN (*zrywa się*).

A dlaczego?
Czemu Ago? — powiedz mi!
Sądzisz, że ja nie znam zdrad,
Co się w twojem sercu wiją
I te bunty sprawą czyją?
Żem twych knowań stracił ślad?
Jaka cena naszej krwi,
Powiedz ten niewierny pies,
Ile ci obiecał kies?

HASSAN-BEJ (*miesza się*).

BOGUCKI (*do siebie*).

Czapka gore na złodzieju.

MECHMED.

Stój! Nie miotaj na cześć błotem,
Hassan nie jest winien zdrady!

SZAJTAN.

Winien tak, jak ty Gereju!
(*Wskazując na Boguckiego*).
A kto wchodził z nim w układy,
Kto zapragnął stu kies złotem?

MECHMED (*ponuro do agi*).

Wołoch zdrajca.

SKINDER-BEJ.

Źle się stało.
Jeden tylko jest ratunek. (*Wybiega skrycie*).

BOGUCKI *(do siebie).*

Dyabli będzie bassarunek!

SZAJTAN.

Cóż patrzycie tak nieśmiało?
Że widzicie wasze winy,
Że widzicie swą zagładę
Pod ciężarem mej prawicy?
Ja obwiniam was o zdradę!
Podli! — jeszcze tej godziny
Wasze głowy spadną wraz.

(Wszyscy baszowie porywają się gwałtownie, dobywając kindżałów).

Posłuszeństwo buntownicy!!

MECHMED.

Seraskierze — jako śmiesz nas
Bez przekonań zbawiać czci?
Niech twe serce raczej drży
Przed orężem mych Tatarów!

HASSAN-BEJ.

Jak śmiesz nas zdrajcami zwać,
Gdzie dowody?! Chcesz krew lać?
Czyś zapomniał, ktom jest ja,
Że po sobie mam janczarów?!
Skinę — spadnie głowa twa!

SZAJTAN *(szyderczo).*

Zobaczymy, czy skinienie
Dojdzie Ago do ord twych.
Przeczuwałem wasze zdrady,
Doszła zmowa dziś obrzydła,

Mam was w ręku! Ha, niegodni!
Wyście wpadli w moje sidła
I nic was nie wyrwie z nich!

(Klaszcze, główne zasłony namiotu rozsuwają się; widać zbrojnych spahów, otaczających Radę).

Bez mojego pozwolenia
Dziś nie opuści nikt rady!
Kara będzie równa zbrodni,
A dowodów jest bez miary;
Giaurze przystąp: aga, han
Jakie nieśli ci ofiary,
Co obiecał im twój pan.
Powiesz prawdę... na mą brodę
Z królem twoim zawrę zgodę.
Skłamiesz — w strasznych zginiesz mękach!

BOGUCKI.

Baszo, życie me w twych rękach.
Jam nie słyszał żadnych zmów,
Polak zdrady nienawidzi
I nie wydrzesz zgubnych słów!

SZAJTAN *(daje znak).*

(Oprawcy rzucają się na Boguckiego, ten wydziera oręż jednemu ze spahów, lecz go porywają z tyłu i rozbrajają).

Krępujcie mi psa wściekłego!

BOGUCKI.

Baszo każesz mię krępować,
Lecz jam mojej mowy pan —
Słów nie zwiążesz!

HAN *(do agi).*

To człek dziarski,
Może zdoła nas ocalić.

BOGUCKI *(do siebie).*

Boże ojców, w ciężkiej chwili
Bądź mi tarczą!
(głośno).
Słuchaj baszo — han tatarski,
Ani aga nie mówili
Słów, o które winisz ich.

SZAJTAN.

Męki wydrą je z ust twych.

BOGUCKI.

Drwię z okrucieństw twych Szajtanie,
Jakiś ogień mię przenika,
Tyś proch wobec niewolnika!
Szydzę z ciebie poganinie,
Krew mi wrząca w piersi płynie,
Cienie ległych pod Cecorą,
Mordowanych z okrucieństwem,
Pod męczeńską tarcz mię biorą,
Tchną Żółkiewskich w duszę męstwem!
Za ojczyznę, za kraj drogi,
Chętnie wszystką krew wyleję,
A tam z niebios — mam nadzieję —
Pogromione ujrzę wrogi.
Więc daj poznać mąk twych miarę,
Za ojczyznę, króla, wiarę
I obyczaj ojców stary,
Stokroć umrzeć mam odwagę!

SZAJTAM *(do oprawców).*

Bierzcie go!

(Oprawcy posuwają się naprzód, wtem gęste wystrzały za sceną i szczęk broni).

SCENA PIĘTNASTA.

DAWNI. — SKINDER-BEJ. — JANCZARY.

SKINDER-BEJ.

Za mną janczary,
Ratujcie waszego agę!

(Skinder-bej pędzi z janczarami broniących się spahów, których janczarowie rozbrajają i powalają na ziemię. Han i baszowie chwytają nagle Szajtana. Aga wystrzałem z pistoletu zabija hospodara — grupa).

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Izba gościnna w dworcu Cześnikowej.

SCENA PIERWSZA.

CZEŚNIKOWA *strojnie ubrana* i HANNA.

CZEŚNIKOWA.

Możesz iść Hanno.

HANNA.

Ależ czas ucieka,
Goście się niecierpliwią, podkomorzy czeka.

CZEŚNIKOWA.

Niech czeka.

HANNA.

Przecież jejmość zadeklarowała,
Goście na dziś sproszeni, ksiądz gwardyan, drużbowie,
A jejmość się ociąga — co świat na to powie?
Wciąż nowe czynić zwłoki, strata to niemała
W pieniądzach i prezentach: tyle beczek wina,
Zagraniczne bakalie, cykaty, zwierzyna,
Wszystko czeka napróżno!

CZEŚNIKOWA.

O mój biedny Janie!
Tak młodość, żywot stracił przez wierne kochanie!
Ja, chociaż twe affekta potrafiłam cenić,
Chociaż cię miłowałam, nie mogłam odmienić.
O jakże mi dziś ciężą te hafty, te kwiaty,
Te kosztowne klejnoty, te weselne szaty!
O jakżebym być chciała w tę chwilę przy tobie,
Śledzić twej krwi na trawkach, zapłakać na grobie!
O jakżebym być chciała przy tobie w tę chwilę,
Rzucić ziemię i w jednej spocząć wraz mogile!

HANNA.

Co tam myśleć o zmarłych — wieczne odpocznienie! —
Łzy martwego nie wskrzeszą.

CZEŚNIKOWA.

Lecz boli wspomnienie
Tych, co ich z winy naszej zimna śmierć spotyka.

HANNA.

Któż mu winien?

CZEŚNIKOWA.

Nie lubisz Hanno komornika.

HANNA.

To nie, lecz pocóż leciał sowizdrzał na wojnę,
Gdy mógł w domu wieść życie skromne, lecz przystojne.

CZEŚNIKOWA.

Przezemnie stracił żywot.

HANNA.

Toż mu pani przecie
Nie kazała, by jechał szukać zguby w świecie.

CZEŚNIKOWA.

Nie mógł przenieść nieszczęsny, żem go odrzuciła,
Zginął — a wierny affekt pokryła mogiła!

HANNA.

Próżny żal, nie pomoże umarłemu świéca,
Toż jejmość raczej winna wspomnieć na rodzica;
Podkomorzy pieniądze posłał dla Tatara,
Gdy te marnie utracił, znowu się postara
Z poganem o wykupno w nowe wnijść układy.
I gdy mu zapewniono nagrody widoki,
W samym dniu ślubu jejmość nowe czyni zwłoki.
Nie wypada — należy raz skończyć i kwita!

CZEŚNIKOWA.

Mam myśleć o weselu, gdy rzeczpospolita
W ostatnią leci zgubę? Przy grobowych świécach
Odprawiać zaślubiny?!

HANNA.

Lecz o obietnicach
Nie trzeba zapominać — obowiązek święty.
Że tam smutne nowiny przyniósł dziś Jacenty,
Dyabeł bo go i przyniósł, by ku naszej zgubie!
Bodaj w drodze kark skręcił, byłoby po ślubie!
Biedny pan podkomorzy, ta chodząca cnota,
Tyle stracił pieniędzy, Jacenty żywota
Omal nie zgubił, zresztą komornik nie żyje;
Czy jejmość nie pamięta na ostatnie słowa,
Które wyrzekł: »niech śmierć ma nienawiści zmyje,
Jeśli pani Jackowska przyjaźń ku mnie chowa,
Jeżeli mojej duszy nie chce wiecznej zguby,
Niechaj się z podkomorzym w święte złączy śluby!«

CZEŚNIKOWA.

By on to rzekł — nie wierzę.

HANNA.

Tak, tak, nie inaczej.
A teraz podkomorzy w okrutnej rozpaczy,
Lada chwila Tatary odwiedzą te strony;
Wtenczas za nic na wykup traktat ułożony,
Tatary wezmą wszystko — co im po wykupie?
Panią w jassyr zabiorą, pogany nie głupie
Brać część, gdy mogą wszystko.

CZEŚNIKOWA.

Przyzwij Jacentego,
Chcę go sama zobaczyć, o wszystko wybadać.

HANNA.

A dobrze, może lepiej potrafi on gadać,
Niech go pani wysłucha, gdy ja nie mam wiary.
(Odchodząc, do siebie).
Przez nią kością mi w gardle stoją te Tatary.

SCENA DRUGA.

CZEŚNIKOWA *(sama).*

Jakże mi w duszy ciężko, jakież myśli smętne,
Ten związek nienawistny, te prośby natrętne!
Co tu robić, co czynić? O ja nieszczęśliwa,
Zda mi się, że go widzę, że cień krwawy wzywa;
Pójdę, pójdę mój Janie niedługo do ciebie,
Za tyle mąk na świecie Bóg nas złączy w niebie.
Drogi ojcze przebacz mi, że to poświęcenie,
Które dla ciebie czynię, znieważa cierpienie,

Przebacz mi drogi ojcze, że obok twojego
W sercu jest inny obraz; gdy wrócisz do swego
Gniazdeczka, słodzić będę twe ostatnie chwile;
Potem smutek w klasztorze zamknę lub mogile.
Z mych nieszczęść szczęścia dla się szuka podkomorzy,
Weźmie ciało, nie duszę — spełnię wyrok Boży.

(Klęka).

Matko święta, coś w mękach utraciła syna,
Niechże u Boga Twoja zbawi mię przyczyna,
Wszak tylko Opiekunkę w Tobie mam w twych zmianach
Losu!...

SCENA TRZECIA.

CZEŚNIKOWA. — PODKOMORZY. — JACENTY.

PODKOMORZY.

Cóż to ja widzę! Jejmość na kolanach?

CZEŚNIKOWA.

Prosiłam, aby się Bóg zlitował nad nami.

PODKOMORZY.

Zlituje się, zlituje, tylko chciejmy sami
I nie róbmy kunktacyj, zbyt wiele ponęty
Przedstawia przyszły maryaż.

(Cicho do Jacentego).

Pójdź sam tu Jacenty,
Mówiłeś, że coś powiesz.

JACENTY *(podobnież).*

Głowę w zakład stawię,
Że jegomości maryaż mojem słowem sprawię.

PODKOMORZY *(jak wyżej).*

Gadaj więc rezolutnie, przystojnie a żywo!
Gdy przez ciebie replikę otrzymam szczęśliwą,
Pięćdziesiąt tynfów dam ci; gdy źle, za *merita*,
Sto i oko bizunów, z służby won i kwita!
Rozumiesz?

JACENTY.

Tać rozumiem.

PODKOMORZY *(głośno).*

Pójdź sam, powiedz śmiało,
Gdzie byłeś i coś widział.

JACENTY.

Otóż się tak stało:
Wysłał mię pan wielmożny na świętą Justynę
Do tatarskiego króla — ha, jadę godzinę,
Jadę drugą...

PODKOMORZY.

A prędzej!

JACENTY.

Wreszcie na pół drogi
Leci chmara Tatarów. Chciałem zmykać w nogi,
Aż tu z tyłu znów drudzy i z każdego boku
Gęsto lecą pogany, jako grad z obłoku.
Wszystko okrutnie brzydcy, każdy z nich straszniejszy,
A na przodzie snać król ich, bo był najszpetniejszy.
Oj źle biedny Jacusiu, śmierć już za pazuchą —
Więc ja za karabelę, jak go palnę w ucho,
Padł trupem — toż ze strachu ucieka i horda.
Patrzę, za chwilę drudzy, nie miałem już korda,

Bo mi prysł, trudno zmykać, jak dobędę szabli,
Jak wezmę wręcz się ścinać, tysiąc wzięli dyabli,
Drugi tysiąc...

(Podkomorzy przerywa mu uderzeniem pod bok).

Aj!...

PODKOMORZY.

Co ci to Jacusiu kochany?

JACENTY *(patrząc na Podkomorzego).*

Wspomniałem, jak mię Tatar jeden, szpetny, stary
Ugodził w bok kiścieniem *(wzdycha).* Otóż te Tatary
Obrali mię do grosza. Ja też w drugą stronę
Zemknąłem do obozu, aże się kurzyło.
Miły Boże, tamto głód, aż spojrzeć niemiło!
Wszystko to wynędzniałe, obdarte, skrwawione,
Król jegomość wychudły, tylko skóra, kości,
Komornik, piekąc w ogniu, pochwę jaszczurową
Pożywał, inni trawę łykali surową,
Inni zaś z głodu własne zjadali wnętrzności.
Nareszcie jednej nocy, włos staje na głowie,
Jak zakrzykli: *Hałła-hu!* wszyscy Tatarowie,
Jak wpadli do obozu, nuż rąbać i siekać,
Bronić się trudno było, każdy chce uciekać:
Ten ze strachu rogówkę, on zaś ściąga habit,
Wszyscy giną jak muchy: król jegomość zabit.
Komornik leżał z boku o uciętej nodze,
Kąpiący się w krwi własnej, brzuch rozpłatan srodze,
Poucinane palce, potrzaskana głowa,
Żałosne w takie do mnie odezwał się słowa:
»Jacenty, gdy z tej biedy wyjdziesz sprawą Boską,
A ujrzysz wielce miłą mnie panią Jackowską,
Proś, dla Podkomorzego niech ma serce grzeczne,

Niechaj w maryaż z nim wnijdzie i niech go miłuje,
A przeto niech mej duszy da zbawienie wieczne«.
Rzekł i skonał.

CZEŚNIKOWA.

Nieszczęsny!

JACENTY.

On teraz szczęśliwy,
Chodzi sobie po niebie pod pachy z Świętymi.

PODKOMORZY.

Lecz *quo modo Hyacynthe* ty uszedłeś zguby?

JACENTY.

A bo mnie szanowali — toż znałem się z nimi,
Wiedzieli, że nie bić się, lecz jadę z okupem.
A kiedy Tatarowie dzielili się łupem,
Obdzierając pobitych, uciekłem do domu.

PODOOMORZY.

By gości nie potrwożyć, nic nie mów nikomu.

JACENTY.

Naco gadać? Tatarów prędko czart przyniesie,
Może już niedaleko, może już są w lesie.

CZEŚNIKOWA.

Ach oni nas wygubią!

PODKOMORZY *(z przesadą).*

O nadobna pani
Nie trwóż się, choć okrutni są ci bisurmani.
I gdyby wieś napadli, wszystkoby w pień siekli,
Ze skór poodzierali i na rożnach piekli,
A aśćkę, żeś nadobna, wedle obyczaju

Tureckiego, wzięliby pewno do seraju
Sułtana... Lecz...

CZEŚNIKOWA.

To hańba! Ach taki wstyd srogi!
Z chęcią raczej dam żywot!

PODKOMORZY.

Śliczna rzecz — czas drogi,
Wszakżem ja na dziś ślubu oznaczył termina,
Hola! biegaj Jacenty, niech kantor zaczyna
Dzwonić na summę; ty zaś sproś tu wszystkich gości,
Niechaj zajadą kolasy — jedziem.

CZEŚNIKOWA.

Ależ mości...

PODKOMORZY.

Raz rzekłaś, więc na żadne nie przystaję zwłoki,
Dałaś *verbum* i kwita. Na karku pogany
A my...
(Do Jacentego, który chce dostać obiecane tynfy i wyciąga ręce).
Jeszcze tu stoisz wiło opętany?!

JACENTY *(ociągając się).*

Idę. *(Do siebie)* Obmierzły kutwa! *(Odchodzi).*

SCENA CZWARTA.

PODKOMORZY. — CZEŚNIKOWA.

PODKOMORZY.

Dla mnie świat szeroki,
Żony wszędzie dostanę, ale pomyśl szczérze,
Twą zwłoką ojciec dłużej zostaje w jassyrze,

Tatarów co nie widno. Krewni, przyjaciele
Zjechali, z wszystkich robić dutki na kościele,
Wszystkich na szwank wystawiać cale nie wypada!
Dałaś *verbum* — dotrzymaj rada, czy nierada.

SCENA PIĄTA.

DAWNI i SZLACHTA *obojej płci.*

PODKOMORZY.

Mili panowie bracia — hymen upragniony
Nadobną cześnikową zacnej paranteli
Łączy z niegodnym sługą; Jakób dla Racheli
Więcej nie miał affektu, *tandem* z swojej strony
Panie drużbo peroruj do serca aszmości.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Mościa pani! Affekta w sercu jegomości
Żadnych od innych zmysłów nie chcąc ordonansów,
Radeby u was szukać pomyślnych wakansów;
Niechaj pędzą przez Alpów szczyty niebotyczne,
Niech brodzą przez potoki i strumienie liczne,
Przez wierzchołki Parnassu, Helikonu góry,
Dedalusowem skrzydłem rozbijając chmury,
Zawsze do celu mierzą, gdzie ich serce nęci.
Różnie się zalecali dawni konkurenci,
Jazon z Kolchis z za morza wiezie runo złote,
Hypomenes pozyskał Atalanty cnotę,
Niech się tem applikują. Pan brat więcej czyni,
Nie szuka, jak Herkules, monstrów na pustyni,
Lecz powraca jejmości z jassyru rodzica.
Co więcej, od przyszłego przyjm nadobna pani,
Jak Tatar donatywę, te precyoza w dani.

Toż nawet Kleopatra, wymyślna strojnica,
Takich nie zażywała.

(Wręcza Cześnikowej podarunki).

PODKOMORZY.

Przyjm je, supplikuję,
Toż taki wielki affekt ku aszmości czuję!
Niechaj Bellona innych wiktorye rozgłasza,
Mnie się tu w owym dworze spodobała pasza,
Serce moje goreje jak w ognistej hucie,
Chciej mię więc w sług życzliwych pomieścić kompucie!

CZEŚNIKOWA.

Wiem, żem winna postąpić wedle Imci woli,
Dopełniam powinności, lękam się atoli,
Czy nam w ślubnym obrzędzie Tatar nie przeszkodzi.

PODKOMORZY.

Ha, niech przyjdą Tatary, ten kord im dogodzi!
Nazad do Krymu drogi nie zdołają naleść,
Ha pogany! jeszcze wam potrafiłbym zaleść
Za skórę! Dałbym ja im, chociaż jestem stary,
Niech się tylko pokażą!

(Wrzawa za sceną).

SCENA SZÓSTA.

DAWNI. — HANNA i JACENTY.

HANNA i JACENTY *(przerażeni).*

Tatary! Tatary!

HANNA.

Już ano na dziedzińcu!

JACENTY.

W całej wsi!

CZEŚNIKOWA.

O Boże!

SZLACHTA *(dobywając szabel).*

Łatwo gardła nie damy!

PODKOMORZY *(rzuca kord).*

Uciekaj, kto może!

SZLACHTA *(otaczając kobiety).*

Plecy panowie bracia!

(Stają w półkole, frontem ku drzwiom).

CZEŚNIKOWA.

Ratuj święty Janie!

JACENTY.

Widno Pan Bóg nas karze za nasze wykręty.

PODKOMORZY.

Aj, umieram ze strachu, ratuj mię Jacenty!

SCENA SIÓDMA.

DAWNI. — KRÓL. — KĄTSKI. — BOGUCKI. — ORSZAK KRÓLA. — RYCERSTWO.

PODKOMORZY *(kryjąc się za Jacentego).*

Cóż to za srogi Tatar, ów, co sunie przodem?

JACENTY.

Jaki wąs barabański!

PODKOMORZY *(drżąc).*

Krew mi ścina lodem!

SZLACHTA *(opuszczając na dół szable).*

Nasz król?!...

PODKOMORZY *(osłupiały).*

Serenissimus!...

CZEŚNIKOWA *(z najwyższą radością).*

Król żyw, czy być może?!
Nasz pan najmiłościwszy w mym domu, o Boże!
Król żyw, gdy nam mówiono, że na wojnie zginął.

PODKOMORZY *(do Jacentego).*

Cóżeś plótł?

JACENTY *(do Podkomorzego).*

Tożem widział, gdym przez rzekę płynął,
Że król zabit. Znam króla, on wcale nie taki,
Ma koronę na głowie; może inny jaki,
Chcąc udać króla plecie słowa bałamutne,
To król?... Ani podobny, ani krzty — broń Boże!

PODKOMORZY.

Milczże szpetny gaduło!

KRÓL.

Wiedząc, że w tym dworze
Wdzięcznej i krasnej wdówki bije serce smutne,
Mając wiernego sługę, którego chęć święta
Z rąk imci przyjąć na się one z różów pęta
I *ad vitam aeternam* lubo pędzić lata,
Chcę pytać, czy mię aśćka przyjmujesz za swata?

PODKOMORZY *(do siebie).*

Oto mi wjechał w drogę, dogodził, to lubię!
Jakgdybym ostrem zgrzebłem drapał się po skórze!
(Z pokornym ukłonem do króla).
Serenissime późno, już ano te róże
Z prawa do mnie należą.

KRÓL.

Zaliż już po ślubie?
Wszak miły nam Bogucki zyskał Imci względy?

PODKOMORZY.

On to chciał nieboraczek, lecz one zapędy
Przypłacił gardłem.

KĄTSKI *(z uśmiechem).*

Więc na wojnie zginął?

CZEŚNIKOWA.

Boże!

PODKOMORZY.

Tak *magnifice*, biedak płynął, płynął,
Aż utonął.

KRÓL.

Więc teraz w ciężkiej alternacie
Waść chcesz jejmość zaślubić, pocieszać po stracie.

PODKOMORZY.

A tak — biorę ten ciężar na me stare lata;
Wziąć Jana do swej chwały podobało Bogu,
Biedny komornik! Gdyby nie okrutne fata,
Gdyby go śmierć, z żyjących biorąc katalogu,
Niefortunnych wakansów nie dała w mogile,
Chętniebym mu odstąpił.

KRÓL.

Tak?

PODKOMORZY.

Verbum nobile!

(Wskazując na Jacentego).

On go widział. Miał biedak srogich ran bez liku,
Już mu dawno pogrzebne *requiem* zaśpiewali.

KRÓL.

Trzymam aści za słowo. *(Odwraca się).*
Chodź tu nieboszczyku!
(Śmiejąc się).
Resurrexit!

PODKOMORZY.

Wszelki duch Pana Boga chwali!

CZEŚNIKOWA *(chwiejąc się).*

Jan!

BOGUCKI *(chwytając ją).*

Nadobna Kasieńka!

KRÓL.

Czy przyjmiesz z rąk swata
Dziarskiego męża, wielce miłego nam brata
Starostę?

WSZYSCY.

On starosta?!

KRÓL.

A tak, nie inaczej,
Któż ma otrzymać splendor, fortunę, znaczenie,
Czy nie ten, co mu Polska winna ocalenie?

KĄTSKI.

Wojsko ginęło z głodu, wodzowie w rozpaczy,
Sukkursa oddalone, przed nami śmierć czarna,
Groziła nam powtórnie Cecora lub Warna;
Bogucki wynalazkiem ukrytych moździeży,
Śród pogan trwogę, popłoch i zniszczenie szerzy.
Schwytany przez ich ordy i zagrożon srodze,
Dając mylne relacye, w błąd wprowadza wodze.
A pogardzając śmiercią i strasznemi męki,
Króla, wojsko, ojczyznę wydziera z ich ręki.
Remunerując czyny zacnego szlachcica
Miłościwy król Imci starostwem zaszczyca
Żurawińskiem. *(Oddaje mu dyplom).*

KRÓL.

Człeku, godzien chluby
Zamku, w którymś ojczyznę ratował od zguby,
Słuszna byś był starostą. Lecz na tem nie koniec,
Inne nagrody...

BOGUCKI *(zmieszany).*

Boże... Ja...

ROTMISTRZ *(wchodząc).*

Tatarski goniec
Przywiózł pisma od hana.

KRÓL.

Wpuścić, co to znaczy,
Tak prędko poseł hana?

SCENA ÓSMA.

DAWNI i TATAR.

(Wchodzi, przyklęka przed królem, uderza czołem, poczem dobywa pismo, owinięte jedwabiem i składa u stóp

króla. Bogucki podnosi i oddaje Kątskiemu. Kątski królowi).

KRÓL *(oddaje Kątskiemu).*

Niech aszmość zobaczy.

KĄTSKI.

»Mechmed Gerej, z Bożej Woli Sułtan i Han krymskich, perekopskich i zawołgskich Tatarów, wielkiemu i potężnemu Janowi, Królowi polskiemu, Wielkiemu Księciu litewskiemu i innych ziem i krain zdrowia życzy.

W wojsku W. K. M. znajduje się szlachcic zacny, Jan Bogucki, człek rycerski, który ważne uczynił przysługi w obozie naszym tak dla sprawy W. K. M., jako i dla mnie w szczególności. Chcąc wynagrodzić jego przysługę, chętnie i całkowicie zrzekam się wszystkich obietnic, jakie mi W. K. M. przyrzekła, a to na rzecz wspomnianego szlachcica. Dlatego też, miłościwy Królu, sto kies złota, przyrzeczonych mi, do rąk Boguckiego zechcesz wypłacić.

O to proszę i tak sobie życzę; Wasz brat i sąsiad

Mechmed Gerej.

PODKOMORZY *(do siebie).*

Ledwiem żywy z zazdrości!

KRÓL.

Na Boga, mosanie,
Wytłómacz, skąd ta hojność w starym, skąpym hanie?

BOGUCKI.

Mówiłem, jakom z hanem zaparł związki wszelkie,
Sądzi, że winien życie, choć mimo me słowa

Pewnieby spadła z karku chytra hana głowa,
Gdyby nie bunt janczarski.

KRÓL.

Ha, suma nie mała
I w dobre pójdzie ręce i w kraju została.
Masz aść wielką fortunę.

PODKOMORZY *(do siebie)*.

Przechodzą mnie dreszcze.

KĄTSKI.

Przeoczyłem *post scriptum*.

KRÓL.

No i cóż tam jeszcze?

KĄTSKI *(czyta)*.

»Iżby W. K. M. wdzięczniejszem było pismo moje, przesyłam je przez jeńca, o którego wykupno traktowałeś WPanie, a którego bez żądania wszelkiego okupu zwracam«.

KRÓL.

Wprowadzić niewolnika.

BOGUCKI.

Któż on jest?

SCENA DZIEWIĄTA.

DAWNI. — STOLNIK.

CZEŚNIKOWA.

O Boże!
Mój Ojciec!! *(Osuwa się do nóg ojca)*.

STOLNIK.

Dziecię moje!

(Podnosi ją i tuli do łona).

PODKOMORZY *(do siebie).*

Nie, to być nie może,
Ja śpię...

KRÓL.

Przyjmij rodzica i męża z mej ręki.

CZEŚNIKOWA.

O najlepszy monarcho!

STOLNIK.

Tyś wyrwał z paszczęki
Starca, który za krajem usychał w niewoli,
Ukochaną Ojczyznę jeszcze ujrzał przecie!

BOGUCKI.

Ojcze, pobłogosław nas i jam twoje dziecie.

PODKOMORZY.

Czekajcie, nie pozwalam, *veto* — ha, powoli,
Mnie zadeklarowałaś! Zwodzić, to nie sztuka,
Posłałem do Tatarów z pieniądzmi hajduka.

(Klęka przed królem).

Ujmij się za mą krzywdą najjaśniejszy panie!
Zaraz królewską wolę wszyscy usłyszycie.

KRÓL *(wyjmując list).*

A mości Podkomorzy, czy znasz to pisanie?
Któżto na komornika chciał nastawać życie,
Rodaka w jassyr dawać? Aż zgroza pomyśleć,
Wartoby cię na sejmie z ksiąg szlachty wykréślić.

PODKOMORZY *(cofa się ze strachem).*

Perditus sum!

KRÓL.

Precz z oczu tych uczciwych ludzi,
Sam widok infamisa zgrozę w sercu budzi!

PODKOMORZY *(na stronie).*

Fortuna perfidiuje, ciężko mię dotyka.
Żonę, starostwo, złoto... o hołysz przeklęty!
Tylem wyekspensował! Czekaj! Pójdź Jacenty,
Sprocesuję obydwóch — króla i stolnika!
(Chce iść).

HANNA *(zatrzymując go).*

A jakże moje wiano?

PODKOMORZY.

Idź mi precz do czarta!
Co tylko córka Ewy, każda dyabła warta!
(Odchodzi z Jacentym).

SCENA DZIESIĄTA.

POZOSTALI.

KRÓL.

Czas jechać, lecz wprzód jeszcze lube stadło młode,
Jakem przyrzekł Janowi, przed ołtarz powiodę,
Król waszym drużbą będzie.

PACHOLIK *(wchodzi).*

Ksiądz gwardyan czeka.

CZEŚNIKOWA.

Królu! jakimż się blaskiem twa dobroć obleka!
Przez ciebie biedna córka ojca odzyskuje,

Twem męstwem wróg złamany, twa dłoń kraj ratuje.
Królu, te łzy wdzięczności niechaj będą znakiem;
Skąd u ciebie cnot tyle?

KRÓL.

Toż jestem Polakiem,
Królem a ojcem waszym ukochane dzieci.

WSZYSCY.

Niechaj żyje nasz Ojciec — niech żyje Jan trzeci!



MESZTY ABU KAZEMA

KOMEDYJKA W 2 AKTACH*)

NAPISANA WIERSZEM DO GRANIA DLA DZIECI.

*) Komedyjkę wydrukował warszawski »Przyjaciel dzieci« w 1867 r. na str. 54 i n. — i osobno w tymże roku w »Biblioteczce kolei żelaznych« (Warszawa 1867, w drukarni Jana Jaworskiego w 16-ce, stron 45).

OSOBY.

ABU KAZEM, kupiec bagdacki.
AISSA, jego niewolnica.
HASSAN, syn ubogiej wdowy.
KADY, *(sędzia)*.
TAHER, woźny.
KAWAS.
BEKHAR, rybak.

Rzecz dzieje się w Bagdadzie, za panowania kalifa Haruna al Raszyda.



AKT I.

Teatr przedstawia pokój w domu Abu Kazema.

SCENA PIERWSZA.

AISSA *(zastawia mały stolik przed sofą).*

O na proroka, pewnie dziś planety
Przyjazne świecą, że tu potraw tyle:
Ryż, baranina, a do tego wety
I winogrona, figi i daktyle.
Ten zbytek świadczy, że mu się udało
Zarobić na kimś porządnie. Toć pono
Pierwszy raz w życiu! Cóż mu się dziś stało?
Ha, może sprosił swych przyjaciół grono?
Lecz on ich nie ma. Toć będę w opałach
Przynajmniej z tydzień.

(Ogląda się).

Otóż idzie...

ABU KAZEM *(wchodząc).*

Ałłach,
Ho Akbar! — No cóż? Czy śniadanie będzie?

AISSA.

Wszystko gotowe — niech pan tylko siędzie.

ABU KAZEM.

Mam dosyć czasu i zanim jeść zacznę,
Załatwię w mieście interesa znaczne.

AISSA.

Lecz ryż ostygnie.

ABU KAZEM.

Cóż cię ryż obchodzi,
Jeść go nie będziesz.

AISSA.

Ale pan wychodzi,
A ryż na ogniu.

ABU KAZEM.

Sprzątnij i zgaś drewno!
Dziś go niemało zmarnowałaś pewno!
Co?... a ryż przykryj... bo weń much nawlata.

AISSA *(do siebie)*.

U ciebie tylko ta gawiedź skrzydlata
Bywa w gościnie...

ABU KAZEM *(podejrzliwie)*.

Co tam mruczysz cicho?

AISSA.

Mówię, że u nas mnoży się to licho;
Niech też pan klapkę choć raz przecież kupi.

ABU KAZEM.

Klapkę? A na co? Czy myślisz, żem głupi
Wyrzucać pieniądz? — Luby pieniądz — wiesz ty,
Co to jest pieniądz? Złotko?

(Kiwa ręką na znak pogardy dla Aissy).

Dawaj meszty!

AISSA *(przynosi wielkie, gwoździmi okute meszty).*

ABU KAZEM.

I cóż im się tak przypatrujesz bardzo?
Czy nie jak drudzy, co mną przez to gardzą,
Że przez lat tyle noszę to obuwie,
Drwisz sobie ze mnie?

AISSA.

Wszak ja nic nie mówię.

ABU KAZEM.

Hołota szydzi, gna za mną po mieście,
Jak za waryatem... nikczemny lud — wreszcie
Cóż mię obchodzą te gbury zuchwałe,
Wszak meszty mocne?...

AISSA.

Nie bardzo wspaniałe.

ABU KAZEM.

Ale są mocne! — Widzą to i ślepi.

AISSA.

Ha, o tem sądzić pan może najlepiej.
Co ja wiem, to wiem.

ABU KAZEM.

No i cóż wiesz przecie?

AISSA *(prędko).*

Że każdy sąsiad, każde nawet dziecię,
Drążnicy, negry, woziwody, obcy,
W całem przedmieściu rzemieślnicze chłopcy
Lecą wśród śmiechów, szyderstwa i huku,
Gdy twe patynki zaklepią na bruku,
I wrzeszczą głośno, że aż w uszach piecze:

»Patrzajcie: znów się stary skąpiec wlecze,
Łata na łacie, a na łatach łaty!«
Wstydź się pan przecie!

ABU KAZEM *(z pogardą).*

Waryaty! waryaty!
Niech sobie wrzeszczą, niechaj szydzi światek.

(Z dumą podnosząc nogę).

One mi służą dziewiętnaście latek,
Gdzież tam... dwadzieścia... wyglądając cało.
Prawda, kosztuje naprawa niemało,
Ale mniej znowu, niźli meszty nowe.
Niechajże głupcy łamią sobie głowę,
Niech szydzą chłopcy i śmieją się dzieci,
Szkoda je jeszcze wyrzucać na śmieci.
Patrz! to podeszwa — a gwoździe — hę? stara?

AISSA.

Aż mną otrząsa ta obrzydła para!
Wstydź się pan przecie, człowiek tak bogaty,
Nosić te krypcie, jakby żebrak...

ABU KAZEM.

A ty
Niegodna! toż to ciebie wstydzi skrzeko?
Kto się szat wstydzi, nie zajdzie daleko,
I z swoim wstydem wnet znijdzie na nędzę;
Im dłużej noszę, tem więcej oszczędzę.

AISSA.

Zapewne.

ABU KAZEM.

Słuchaj... czyli dasz mi wiarę,
Że dawno myślę nowych kupić parę?

AISSA.

Czyż to być może?

ABU KAZEM.

Tak, tak, nie inaczej!
Dziś zarobiłem, to także coś znaczy,
Więc mogę kupić... Co?...

AISSA.

Winszuję Panu.

ABU KAZEM.

Żem ich nie kupił, kupiec z Ispa-hanu
Temu jest winien...

AISSA.

Jakto?

ABU KAZEM.

On podobnie tobie
Do moich mesztów coś upatrzył sobie;
Znieść ich nie może, wciąż daje przycinki,
A wie, jak bardzo lubię te patynki,
Że mamy znaczne obroty handlowe,
Któż wie?... Może też on mi kupi nowe,
Bo coś nadmieniał... a gdy kto nadmienia...
Zresztą mam dosyć czasu do kupienia,
Gdy się zawiodę na jego przyjaźni;
Otóż tymczasem przejdę się do łaźni,
To mniej kosztuje...

AISSA.

Mądrość w każdem słowie.
A proszę pana, czy mi pan nie powie,
Na czem zyskałeś?

ABU KAZEM.

Nie wiesz, ciasna głowo?
Wszak sąsiaduję z tą po kupcu wdową;
Zbankrutowała, a więc zapas cały
Szkieł zakupiłem... prześliczne kryształy,
Materyał piękny i robota czysta,
Zarobię najmniej... najmniej... na sto trzysta!

AISSA.

Lecz biedna wdowa... Panie, czy się godzi
Tak ją obdzierać?

ABU KAZEM.

A tobie co szkodzi?...
Gdybym nie kupił, drugi zedrze gorzej;
Patrzajcież, jeszcze baba mi się sroży!

AISSA.

Taka uboga i sierota dziecię...

ABU KAZEM.

Cicho! Dość tego, bo weźmiesz po grzbiecie!
(Odchodzi i wraca się).
Słuchajno... Hassan wkrótce szkła tu zniesie,
Ustaw je dobrze — nie potłucz... zdaje się,
Że im najlepiej będzie w tej komnacie.
(Wskazuje na prawo).
Co kosztowniejsze, to poustawiacie
Na oknie. — Resztę na ziemi, przy ścianie,
A niech mi będzie gorące śniadanie.

(Odchodzi).

SCENA DRUGA.

AISSA, *potem* HASSAN.

AISSA.

Idź stary skąpcze! — na brodę proroka
On się zamęczy. Jak ziemia szeroka,
Drugiego sknery nie znajdzie na świecie.
A otóż Hassan, dobre, lube dziecie.

HASSAN *(wchodząc)*.

Z Bogiem Aisso!

AISSA.

Z Bogiem — pozwól, proszę.
(Zdejmując kosz z pleców Hassana).

HASSAN.

Ostrożnie!... Oto właśnie szkła przynoszę
Najkosztowniejsze, prześliczne kryształy,
Pan twój za bezcen zakupił skład cały.

AISSA.

Wiem! wiem! mój Boże, zapłacił tak mało.

HASSAN.

Właśnie też dzisiaj matce się zdarzało
Półdrożej sprzedać, lecz twój pan miał słowo
I kupiec odszedł.

AISSA.

Ech ni to, ni owo
Pleciesz mój mały — przecież niebożęta
Mogliście zerwać.

HASSAN.

Nie... słowo rzecz święta.

AISSA.

Więc cóż poczniecie?

HASSAN.

Matka kram założy
Z sorbetem w mieście; może z łaski Bożej,
Wyżyjem z tego... choć w tak ciężkiej porze.

AISSA.

Bóg nie opuści — prorok dopomoże;
Gdzież się podziały owe dni, Hassanie,
Kiedyś mię uczył czytać w Alkoranie,
A ja znów za to, nim Hassanek zaśnie,
Klęczę przy łożu, plotąc różne baśnie
O dobrych wieszczkach, o możnych geniuszach.

HASSAN *(z smutnym uśmiechem).*

Wszystkie te baśnie siedzą dotąd w uszach.

AISSA.

Jadłeś śniadanie?

HASSAN.

Nie jeszcze, zapłaty
Pan nie uiścił...

AISSA.

Ach taki bogaty —
A taki skąpy... zaczekaj w pobliżu,
To ci Hassanku wnet przyniosę ryżu.

HASSAN.

Dziękuję.

AISSA.

Czemu?

HASSAN.

Ryż nie twą własnością:
Rzecz tajnie wzięta staje w gardle kością.

AISSA *(d. s)*.

Dał mi nauczkę, aż ją w sercu czuję.
(Głośno).
Ja chcę mu oddać.

HASSAN.

I za to dziękuję,
Mnie się jeść nie chce... będziem mieć pieniądze,
To zjem.

AISSA.

Więc gardzisz, ale przecież sądzę,
Że nie pogardzisz powiasteczką małą.

HASSAN.

Owszem Aisso — posłucham z ochotą.

AISSA.

Słuchaj więc — szczęścia nie przyniesie złoto,
Jeżeli Allach go nie błogosławi;
Abu-ben-Manzur tak nam o tem prawi:

Saady bardzo był bogaty;
Miał ogrody, pałac, kioski,
Huk klejnotów, drogie szaty,
Młody, zdrowy, żył bez troski,
A choć wszędzie słynął cnotą,
Miał chwalebne obyczaje,
Lecz w tem błądził, że mu złoto
Szczęściem tylko się wydaje,
Nawet ludziom cnót udziela.
Lecz miał Saady przyjaciela,

Który prawił w każdej chwili,
Że się Saady bardzo myli.
Od słóweczka do słóweczka,
Aż powstała wielka sprzeczka.
Wreszcie — »Czekaj — Saady rzecze —
»Patrz co będzie: — Hej człowiecze!
Chodź tu do nas, tyś ubogi,
Byś wniósł szczęście w domu progi,
Byś się pozbył troski, nędzy,
Coć potrzeba?« — »Ach pieniędzy!
Nie mam za co uczyć synów,
Nie mam za co żywić żony« —
Odpowie mu szewc zmartwiony.
— »Więc masz bracie sto cekinów«.
Szewc radosnem okiem błysnął,
Za kolana go uścisnął,
I wyrzekłszy: »Dzięki panie!«
Zawiązuje trzos w turbanie
I co żywo do dom bieży;
   Wtem sęp z góry nań uderzy
I wraz z skarbem w górę wzlata.
W rozpacz szewca wprawia strata
I już pędzi, kędy rzeka,
By zakończyć życie w fali...
   Widzi Saady to z daleka
I zawoła: »Stój! Stój Ali!
Masz w dwójnasób zwrot pieniędzy«.
Szewc pochwycił i czemprędzej,
By go bieda nie przygniotła,
Aż pod popiół, na dno kotła
Skrzętnie kryje worek z złotem.
Nic nie wiedząc żona o tem,
Kocioł, jak się zwykle zdarza,

Wymieniła u kotlarza,
Nie pytając męża rady.
Jak piorunem rażon Ali,
Jęczy, wrzeszczy, żonę wali;
Na tę wrzawę wchodzi Saady,
Lecz choć majster skargi szerzy,
W jego powieść nic nie wierzy,
Myśląc, że to z żoną zmowa.
Wtem przyjaciel rzekł w te słowa:
»Biedny Ali! ja ci wierzę
I dopomódz pragnę szczerze.
Masz ołowiu złomek mały,
Jeśli takie sądy Boże,
On ci szczęście przynieść może«.
Majster stoi osłupiały,
Wreszcie rzecze: »To nikczemnie,
Toż on sobie szydzi ze mnie,
Ten grat ma mię zrobić panem?«
Wtem wszedł rybak: Abn-Ibn-Ganem
I zawoła: »Miły bratku,
W smutnym jestem dziś przypadku,
Właśnie chciałem iść na połów,
Lecz ktoś z sieci skradł mi ołów,
Więc nie pójdzie praca snadno,
Bo nie spada więcierz na dno«.
Ali dał; a wkrótce potem
Ganem wstąpił znów z powrotem
I rzekł: »Bracie, nie dasz wiary,
Nałowiłem ryb bez miary;
Pierwsza, co mi wpadła w sieci,
Niechaj będzie dla waszeci,
Bo łów dzisiaj istne dziwy,
To twój ołów tak szczęśliwy«.

Rybak odszedł. — Gospodyni,
Jak należy z rybą czyni,
A kiedy ją płata w dzwona,
Nagle krzyknie zadziwiona:
— »Co to? czy mam w głowie zamęt,
Co to błyszczy? patrz — dyjament!«
Klejnot wielki! Dar książęcy,
A sztuk złota sześć tysięcy,
Nazajutrz mu Kalif płaci.
Tak to gdy Bóg chce wzbogaci,
A jeśli ty nie chcesz Boże,
To i złoto nie pomoże.

(Ściskając go).

Ot i powiastka, umiem ich sto blizko,
Podoba ci się?

HASSAN.

O bardzo, Aisko,
Lubię powiastki...

AISSA.

Powiem ci o żydzie.

HASSAN.

Pst... jakiś łoskot... ktoś tu prosto idzie...
To Abu Kazem, nie chcę mu wejść w oczy.

(Odchodzi).

AISSA.

A tak, to z łaźni mój skąpiec się toczy.

SCENA TRZECIA.

AISSA i ABU KAZEM.

ABU KAZEM.

A cóż, szkło przyniósł?

AISSA.

Dopierótko prawie.

ABU KAZEM.

Czemuż tu stoi?

AISSA.

Zaraz je ustawię.

ABU KAZEM.

Pamiętaj w oknie, to kupców przynęci.

AISSA *(spostrzegając nowe meszty u Abu Kazema).*

A to co znowu? O prorocy święci!

ABU KAZEM *(z zadowoleniem).*

A co, prześliczne?

AISSA.

Aż mi teraz raźniej,
Gdzieżeś pan podział stare krypcie?

ABU KAZEM *(siada do śniadania).*

W łaźni.
Na każdym kroku dzisiaj mi się wiedzie,
Patrzaj te meszty, nie takie niedźwiedzie
Jak tamte, hę? co? Korduan książęcy!
Warte od tamtych dziesięć razy więcej,
To mi ubiorek, godny nóżki króla!

AISSA.

Lecz skąd je wziąłeś?

ABU KAZEM.

Spotkałem Abdula;
Ten z Ispa-hanu, com ci to wspominał,

Że mi o stare meszty wciąż przycinał.
Skoro mię ujrzał, wraz z szyderstwem rzecze:
»Przecieś się wybrał po nowe człowiecze,
Kto rano wstaje, zwykle tanio kupi«
I parsknął śmiechem. O ba — ja nie głupi!
Więc rzeknę na to: »Wiesz, jak ciężkie czasy,
Tyś bogacz, możesz stroić się w atłasy,
Nosić szal perski, safianowe meszty...
Ja muszę zedrzeć moje wprzód do reszty,
Wszystko mi jedno, gdy noga nie bosa«.
Abdul z pogardą zmierzył mię z ukosa,
I niby odszedł, lecz dalej na drodze,
Przystanął zdziwion, że do łaźni wchodzę.

AISSA.

No i cóż dalej?

ABU KAZEM *(zajadając)*.

Zaraz moje życie.
Gdym się wykąpał, wyparzył sowicie,
Wychodzę suknię odmienić do szatni;
— A musisz wiedzieć, żem wyszedł ostatni
Wychodzę... patrzę... co u licha? czary!...
Wpadł gdzieś, jak w przepaść, nóg mych ubiór stary.
Daremnie szukam przeszło kwadrans cały.
Patrzę, aż w miejscu, kędy meszty stały,
Dwa nowe, śliczne, żółciutkie papucie:
Prawda, na tamtych straciłem okucie,
Lecz ten wart więcej, niźli tamtych para,
A nie kosztuje mnie ani denara,
To sprawka kupca... wiesz... to mię rozczula,
Poczciwiec... jak tu nie kochać Abdula!...
A ja zleżałe sprzedałem mu płótno.

AISSA *(kiwając głową).*

Oj panie! panie!

ABU KAZEM *(jedząc).*

To mi tylko smutno,
Że zabrał stare. Te, co dał w prezencie,
Mógłbym przywdziewać czasami... przy święcie,
W Bajram naprzykład... to strój odpowiedni,
A stare mógłybym nosić w dzień powszedni,
Albo też w słotę... ale żądać zwrotu
Nie można... Lecz mię wybawił z kłopotu,
Od podziękowań tem mię zabezpieczy,
Lubię oszczędność i w najmniejszej rzeczy.
(Śmieje się).
Hi! hi!

AISSA *(ruszając ramionami).*

Już to pan z oszczędności słynie.

ABU KAZEM *(jedząc).*

Przepyszne figi, cudowne brzoskwinie,
Wziąłem je w długu *(wzdycha)* zrobiłem ofiarę,
To mi przysmaczek — na masz pestek parę,
Sprobuj!

AISSA.

Czyż z pestek domacam się smaku?

ABU KAZEM.

To ci za mało łakomcze! próżniaku!
Nie umiesz cenić mej szczodrobliwości.

AISSA.

Oho, ktoś idzie — będziem mieli gości.
(Podczas następnej sceny wynosi szkła do bocznej izby).

ABU KAZEM *(przykrywając śniadanie).*

Bodaj ich licho wzięło z tobą razem!

SCENA CZWARTA.

DAWNI i KAWAS.

KAWAS *(wnosząc stare meszty).*

Czy jest u siebie kupiec Abu Kazem?

ABU KAZEM.

Jestem. Co widzę! zguba z tego ranku!

KAWAS *(pokazując).*

Czy to są twoje?

ABU KAZEM.

Czyjeżby kochanku?
Tak na proroka! A toż Bogu dzięki,
Moje, zaświadczy Bagdad caluteńki,
Masz za fatygę denar...

KAWAS.

Skąpcze stary,
Schowajże sobie twe nędzne denary.
A na ich miejsce, ważne gotuj złoto:
Zapłacisz karę!

ABU KAZEM *(zrywa się przestraszony).*

Jakto? jak?... co? co to?!...

KAWAS.

Byłeś dziś w łaźni?

ABU KAZEM.

No byłem... Cóż z tego?

KAWAS.

Co? Oto skradłeś pantofle Kadego...

ABU KAZEM *(przerażony).*

Ja? co ty pleciesz?... o proroku święty!

KAWAS.

Zaraz się przyznasz, jak dostaniesz w pięty.
(Spostrzegając je).
Ha, patrz, te same, coś skradł memu panu.

ABU KAZEM.

Te... gdzież tam, to dar kupca z Ispa-hanu.

KAWAS.

Ach ty zbrodniarzu!
(Chwyta go za kark).
Pójdź!...

ABU KAZEM.

Lecz ja nie przeczę,
Może omyłka, puszczaj mię człowiecze;
Bierz sobie meszty i ruszaj na Boga,
Odnieść je panu!...

KAWAS.

O nie tędy droga!
Musisz iść ze mną!

ABU KAZEM.

Wielmożny Kawasie
Idź naprzód, ja tam będę w krótkim czasie,
Tylkoż się zbiorę...

KAWAS.

Więc przychodź za chwilę,
Bo będziesz musiał płacić drugie tyle.
(Odchodzi).

AISSA.

Przyjdź pan do siebie, zbladłeś, gdyby płótno,
Toż u Kadego ręki ci nie utną.

ABU KAZEM.

Ręki, to prawda, lecz zabiorą złotko...
Zapłacić karę... myślisz, że to słodko?
Tak mi to miło, jakbym siedział w ulu...
Zapłacić karę... Obrzydły Abdulu!
Tak mię oszukać, bodajś wpadł do piekła!
Och sprawiedliwość gdzieś za świat uciekła!

AISSA.

Lecz na proroka, cóż ci Abdul winien?

ABU KAZEM.

Kiedy obiecał, to kupić powinien,
A nie okpiwać... żebym płacił karę.
O wy szkaradne, brzydkie krypcie stare.
Przez was nieszczęście dzisiaj zdarza mi się,
Zaraz was łotry utopię w Tygrysie,
A kupię nowe w bazarze...

AISSA.

Lecz czemu
Topić je, lepiej darować biednemu,
Spotkać go łatwo, przechodząc ulicą.

ABU KAZEM.

Idźże mi z oczu stara czarownico! *(Odchodzi)*.

SCENA PIĄTA.

AISSA *później* HASSAN — i RYBAK *(za sceną).*

AISSA.

Żal mi go szczerze, lecz mię razem śmieszy,
Już się też teraz w smutku nie pocieszy,
Jeśli go strata dzisiaj nie pogrzebie
Będzie żył miesiąc o wodzie i chlebie,
(Wzdychając).
I ja z nim razem.

HASSAN *(wchodząc z koszem).*

Na, masz pakę całą.
(Stawia je).
Lecz powiedz co się twemu panu stało,
Z jękiem ulicą biegł, jak opętany.

AISSA.

Zaraz ci powiem mój chłopcze kochany,
Tylko ustawię w oknie te kryształy.
Boby znów krzyczał.
(Zabiera kosz i wynosi).

HASSAN *(sam).*

Biegł blady, zsiniały,
Jakby śmiertelne chwyciły go dreszcze.
W takim go stanie nie widziałem jeszcze,
Czy mu brat zasłabł, czy siostra umiera?
Co mu się stało?

AISSA *(wracając).*

Co? Powiem ci tera...
Grzebie na wieki swoje lube dziatki.

HASSAN.

Ależ Aisso, bawisz się w zagadki,
On dzieci nie ma...

AISSA.

Lecz z tej też przyczyny!
Nad żonę, dzieci ukochał cekiny,
A musi płacić... więc je żywcem grzebie.

HASSAN.

Co musi płacić? — nie rozumiem ciebie.

AISSA.

Ach to zdarzenie istnie śmiechu warte:
Dziś rano w łaźni meszty swe podarte,
Czy przez pomyłkę, czy przez nieuwagę
Zamienił z Kadym — więc za tę zniewagę
Każe mu płacić bassarunek Kady.
Otóż dlatego mój pan taki blady,
I sfrasowany, poszedł zdaje mi się
Stare pantofle utopić w Tygrysie,
Potem do sądu...

HASSAN.

Biedny Abu-Kazem!

AISSA.

Bóg go ukarał za skąpstwo tym razem,
By kupił nowe wołam wciąż od roku,
Lecz nie chciał słuchać i...

(Wtem słychać w obocznej izbie brzęk szkieł i na scenę wylatuje przez drzwi zmoczony meszt Abu Kazema).

Święty proroku!!
A to co?!

HASSAN.

A cóż, przyleciały
Pantofle oknem.

AISSA *(wbiegając do izby).*

Ach patrzaj, kryształy,
Poszły w kawałki!

HASSAN *(sam).*

Widno pocisk nowy
Za krzywdę sierót i ubogiej wdowy.

AISSA *(wchodząc).*

Okropna szkoda... aj, aj, aż mi słabo,
Z dziesięć stłuczonych...
(Drugi pantofel z brzękiem wlata).
O cudowna Kaabo!
Znów!
(Biegnie do okna).
Ha, to Bekhar! A to Boska kara.
(Wołając oknem).
Zwołam kawasów ty łotrze!

RYBAK *(za sceną).*

Milcz stara!
Podziękuj Bogu, żeś ty sama z reszty
Coś nie dostała... Te przeklęte meszty
Twój pan mi wrzucił do najlepszej sieci
I zdarł w kawały. Niech mu Eblis świeci!
On to umyślnie wypłatał mi sztuczkę;
Zamiast go skarżyć, daję mu nauczkę,
Żeby oduczyć figlów jegomości;
Za drugim razem połamię mu kości!

HASSAN.

Trzeba umykać, bo jak to zobaczy,
Gotów przy tobie zbić i mnie z rozpaczy.
Oto mi meszty, fatalna przygoda,
Teraz nam może i reszty nie doda.

AISSA.

Od czegóż Kady? Nie truj się kłopotem.

HASSAN.

Zawsze go wolę uprzedzić wprzód o tem.

SCENA SZÓSTA.

AISSA, *potem* ABU KAZEM.

AISSA.

O ja nieszczęsna! jak wyjść z tych obrotów!...
On mię ze złości zamordować gotów,
Albo przynajmniej sprawi tęgą łaźnię,
Że stały w oknie... lecz kazał wyraźnie
Tam je ustawić... umknę do sąsiada.

(Chce wychodzić i spotyka się z panem).

Aj!

ABU KAZEM.

Cóż tam znowu?

(Spostrzegając szkodę).

Gwałtu! rozbój! zdrada!
Moje kryształy!!

AISSA *(do siebie).*

Umieram ze strachu...

ABU KAZEM *(porywając kij).*

Ach ty szkodnico!

AISSA.

Ach ratuj Allachu!
Panie... to nie ja!

ABU KAZEM *(zamierzając się).*

Nie ty?!

AISSA.

Rybak!

ABU KAZEM.

Który?

AISSA.

Bekhar!

ABU KAZEM *(groźno).*

Kłamiesz!

AISSA.

Bekhar, ten z pod góry,
Koło Moszei.

ABU KAZEM.

Kłamiesz!!

AISSA.

Bóg mi świadkiem,
Pan swoje meszty zapewne przypadkiem
W sieć mu wrzuciwszy potargałeś na nic,
A on wściekłością uniesion bez granic,
Przypadł i oknem wrzucił te sandały.

ABU KAZEM.

A bodaj usechł!... bodajże zmarniały,
Szpetne pantofle, obrzydła hołota!
Straciłem najmniej trzydzieści sztuk złota.

AISSA.

Biedny mój panie!

ABU KAZEM *(kładzie kij).*

Kradzieże i zdrady:
Tam bez litości obdziera mię Kady,
Tu znowu rybak tłucze szkła bogate.

AISSA.

Ależ pan przecie odzyskasz swą stratę,
Kupiłeś tanio.

ABU KAZEM.

Cicho! brzydka babo.
O ja nieszczęsny... aj... słabo mi! słabo!
Wody!

AISSA *(porywa czarę kryształową z pokoju).*

Oto jest!

ABU KAZEM *(spostrzegłszy czarę).*

Jak śmiesz to naczynie
Brać... rozbić łatwo... schowaj mi to w skrzynię
I zbierz szkła wszystkie zanieść do piwnicy.
Ha łotry! zdrajcy! zbiry! rozbójnicy!
Tyle pieniędzy, całe prawie mienie,
Zliczywszy: karę, szkła, przestrach, zmartwienie,
Łaźnię i meszty: z pięćdziesiąt sztuk złota.
Zgubionym!

AISSA *(pocieszając).*

Przecież jest szkatuła.

ABU KAZEM *(z gniewem).*

Jaka szkatuła? gdzie jaka szkatuła?
Co za szkatuła... czyś z zmysłów wyzuta?!

AISSA.

Pańska szkatuła w żelazo okuta,
Co jest pod łóżkiem, a w niej kies ze dwieście.

ABU KAZEM.

Czyś ty w gorączce? Oj głowy niewieście,
Puste stodoły, waryatki szalone;
To nie jest złoto — to szkło potłuczone.

AISSA *(niby zdziwiona)*.

Szkło... no patrzajcież — panie, a to może
(Wskazując na izbę, gdzie szkła).
I te kawałki tam włożyć?

ABU KAZEM.

Broń Boże!
Spiesz się gaduło... zbieraj się czemprędzej:
Teraz prawdziwie jestem bliski nędzy...
(Wskazując kieszeń kaftana).
Ten szczątek mienia, to ostatnia deska
Z powodzi nieszczęść.
(Szuka w kaftanie).
Dla Boga! gdzież kieska?!
Jestem zgubiony!... zamordowan srodze!
Dwieście sztuk złota, zgubiłem gdzieś w drodze.
Ostatni zasób!... ostatnie zbawienie!!...

AISSA.

Któż temu winien, toż wszystkie kieszenie
Całkiem przetarte w tej zbutwiałej szacie...

ABU KAZEM.

Bo je źle łatasz!

AISSA.

Ej łata na łacie,
Już się za igłą rozłazi jak przędza:
Dwa razy traci, kto nazbyt oszczędza.

ABU KAZEM *(w rozpaczy)*

Teraz już tylko torba mi żebracza!

AISSA.

Ej cóż tam znowu, niech pan nie rozpacza,
Wezwać woźnego, niech ogłosi zgubę,
A pewno złotko odzyskasz swe lube.

ABU KAZEM.

Lecz to kosztuje...

AISSA.

Trudno, każdy bierze
Coś za swą pracę.

(Idzie do okna i woła).

Poczciwy Taherze!
Wstąp tu na chwilę! Zarobisz coś sobie.

TAHER *(za sceną).*

Nie wołaj próżno, bo tego nie zrobię,
Pan twój jest znany z swej skąpej natury.

AISSA.

Ależ zapłaci.

TAHER.

Przynieś pięć drachm z góry,
To przyjdę...

AISSA *(do Abu Kazema).*

Panie, daj mu kwotę całą.

ABU KAZEM *(ze złością dając).*

Na! masz, pożeraj, połknij krew i ciało!

SCENA SIÓDMA.

ABU KAZEM, *potem* TAHER.

ABU KAZEM.

Płacić i płacić — ręce wciąż w kieszeni,
O ja nieszczęsny — jak się to nie zmieni
Tak się powieszę, zarżnę lub otruję!

TAHER *(wchodząc).*

Jestem na rozkaz...

ABU KAZEM.

Los mię prześladuje,
Zgubiłem kiesę, w niej cekinów dwieście...
Czy słyszysz? dwieście! obwołaj to w mieście.
Kiesa skórzana, uszkodzona, stara,
Może ją zabrać, lecz od złota wara temu
Temu, co ukradł...

TAHER.

Jakto! a więc złodziej?

ABU KAZEM.

Złodziej, znalazca jedną drogą chodzi.

TAHER.

Jakąż mu za to myślisz dać nagrodę?

ABU KAZEM.

Nagrodę?... Nie dość, że poniosłem szkodę!...
Idźże do licha z radą twą zbójecką,

Cóż to... czy myślisz, że ja jestem dziecko?
Że nieznam świata?

TAHER.

Lecz nagrodzić trzeba.

ABU KAZEM.

A gdzież uczciwość... o wszechmocne nieba!
A gdzież jest cnota?

TAHER.

Jest... lecz moja rada
Na pokuszenie wodzić nie wypada;
Każdemu przecież coś zarobić chce się.

ABU KAZEM.

A toż w Bagdadzie gorzej, jakby w lesie...
No... dam drachm dziesięć.

TAHER.

Mówisz, jak na żarty.

ABU KAZEM.

Dam wreszcie cekin... jesteś zbyt uparty.

TAHER.

Cóż mu po jednym, gdy wziąć dwieście może.

ABU KAZEM.

A więc... więc... jeszcze... jeszcze dwa dołożę.
Czyż jeszcze mało?

TAHER.

Część przynajmniej czwartą,
Przeznaczyć trzeba.

ABU KAZEM.

Czyż to tyle warto?
Nie dam!

TAHER (*odchodząc*).

Strać wszystko, kiedy nie chcesz ćwierci.

ABU KAZEM.

Stój... ach ten człowiek dzisiaj mię uśmierci!...
A to mnie schwycił w rozpalone kleszcze...
Ha! niech tak będzie... Czegóż stoisz jeszcze?

TAHER.

Daj to na piśmie.

ABU KAZEM (*pisząc*).

To się na mnie zaciął.
(*Daje mu pismo*).
Masz... Wciąż spotykam tylko nieprzyjaciół,
Tyle pieniędzy utraciłem marnie,
Przez te papucie... nie! to wam bezkarnie
Nie ujdzie! o nie!
(*Bierze je*).
Przeklęte sandały!
Nie chciały tonąć, będą więc gorzały.
Struć ich nie mogę, wieszać na nic zda się,
A więc was spalę.
(*Do wchodzącej Aissy*).
Miej drewka w zapasie.
(*Ogląda meszty*).
Lecz tak zmoczone, nie zajmą się w końcu,
Wynieś je na dach i postaw na słońcu;
A wieczór... w ogień.

AISSA.

Daj pan!

ABU KAZEM.

Sam je wolę,
Zanieść, bo ty mi przynosisz niedolę.

(Bierze i idzie w głąb — kurtyna zapada).

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

Ogród Abu Kazema. W głębi mur, w środku którego brama z kraty żelaznej. Noc. Latarnia zawieszona na krzaku oświetla scenę.

SCENA PIERWSZA.

ABU KAZEM *(układa drzewka na stosie z boku).*

Tak — jeszcze tylko suchych drzewek parę
Dam na podpałkę... Nie, na tę ofiarę
Nie żal mi drzewa... Wkrótce więc w płomienie
Przeklęte meszty, marsz na zatracenie!
Będzie ci ciepło rodzie ty jaszczurczy,
Jak żar was skręci, pokrzywi, pokurczy,
Już nie pomoże żal wam, ani skrucha,
Ogniem wypędzę z domu złego ducha,
Niech on zagasi zemstę mą straszliwą!

(Odchodzi do domu).

SCENA DRUGA.

AISSA *(wchodzi bramą). Potem* ABU KAZEM.

AISSA *(z jednym pantoflem w ręku).*

Nie... to już urok, czary, jakieś dziwo!
Wszystkie żywioły, woda i powietrze,

Nie chcą ich zguby. Ogień ich nie zetrze,
Zaręczam za to — ziemia nie pochłonie,
Snać całe piekło staje w ich obronie.
Oj nieśmiertelne meszty te złowieszcze,
Na sam ich widok czuję jakieś dreszcze.
Precz czarowniku!

(Rzuca meszt na ziemię).

ABU KAZEM *(wchodząc z drugim).*

Nie wiesz ty Aissa,
Co z drugim mesztem stało się do biésa?
Wszakże obadwa były tam na dachu.

AISSA.

Ach panie! panie! ledwie że od strachu
Nie umrę... ktoś nas zczarował.

ABU KAZEM.

Do kata!
Cóż się znów stało?

AISSA.

Oto nowa strata!

ABU KAZEM *(przerażony).*

Co?! Co?!

AISSA.

Powiadam, sprawa ducha złego.
Co tylko kawas był tu od Kadego,
Byś płacił karę, a więc suknie zamień
I idź.

ABU KAZEM.

Bodajżeś zmieniła się w kamień
Za tę nowinę!

AISSA.

Wszakże twe sandały
Stały na dachu?

ABU KAZEM.

Tak, na dachu stały.

AISSA.

Kocie je ściągło na brzeg i zrzuciło,
A meszt spadając z góry z wielką siłą,
Uderza w czoło jakąś przechodzącą
I rani mocno...

ABU KAZEM *(obcierając się chustką)*.

Jakże mi gorąco!...

AISSA.

Padła — a kawas skarży cię niegodnie,
Że pantoflami rzucasz na przechodnie.
Kady ci każe dwadzieścia sztuk złota
Natychmiast złożyć!

ABU KAZEM.

Za igraszki kota?!

(Porywając meszt z ziemi).

O ty topielcze! zdrajco ty przeklęty!
Dwakroć cię spalę, popamiętasz mnie ty!

(Rzuca i depce go nogami).

Na masz! masz jeszcze! jeszcze! o tak! a co?
Jakże ci teraz! jakże ci ladaco?
Masz jeszcze!... rozum szepce mi do ucha,
By ich nie palić, nuż też wiatr rozdmucha
Popiół... nuż z wichrem zdradna iskra wzleci
I gdzie w sąsiedztwie straszny pożar wznieci?

Dałżebym sobie — mądry człek po szkodzie,
A nawet może przemoczonych w wodzie
Ogień nie strawi. Darmo tracę drewno.
W ziemię je... w ziemię... o tam zgniją pewno.
Dawaj łopatę.

(Aissa podaje łopatę i odchodzi).

Oto rozum u mnie..

(Kopiąc doł).

Może myślicie, że was w pięknej trumnie
Pochowam, pomnik wzniosę wam od złota?
Nie... wprost w dół wrzucę, jak zdechłego kota,
Leżeć spokojnie... ręczę na mą głowę,
Że one drapnąć milczkiem stąd gotowe,
O znam złość waszą, lecz jam nie bit w ciemię,
Do dnia sądnego gryźć będziecie ziemię.

(Kopiąc usilnie).

No! marsz do dołu!

(Wrzuca meszty).

Aż na dno, głęboko.

KAWAS *(pokazuje się przy kracie).*

ABU KAZEM.

Tu was już ludzkie nie wyśledzi oko.

KAWAS *(d. s.).*

Co on tam skrycie zakopuje w nocy?

ABU KAZEM.

Nikt was nie wydrze teraz z mojej mocy.

KAWAS *(d. s.).*

Pewnie pieniądze.

ABU KAZEM.

Nie chcę was mieć w domu.

KAWAS.

Skarb niezawodnie, skradł go widać komu.

ABU KAZEM.

Raz przecie w życiu biedzie koniec będzie.

KAWAS.

Biegnijmy żywo zawiadomić sędzie.

(Odchodzi).

ABU KAZEM.

Co to?... wyraźnie słyszę czyjeś kroki...

(Słucha).

Nie... tom się spocił, bo też dół głęboki.

SCENA TRZECIA.

ABU KAZEM. — AISSA.

AISSA.

Pociesz się panie. Dobrą wieść przynoszę.

ABU KAZEM.

Dajże mi pokój, nie dla mnie rozkosze.
Od rana ciągle ściga mnie nieszczęście,
Już nic nie mówię, tylko ściskam pięście.

AISSA.

Tym razem przecież moc zniszczona biesa,
Otóż donoszę, że zgubiona kiesa
Jest.

ABU KAZEM.

Niepodobna?!

AISSA.

Jest! jest!

ABU KAZEM.

A... a złoto?...

AISSA.

Nic nie brakuje... nie troszcz się pan o to.

ABU KAZEM.

Lecz jakim cudem?

AISSA.

Cóż pan na to powie?
Znalazł ją Hassan, ten mały syn wdowi,
Toż się pokrzepią na proroka brodę,
Wziąwszy nagrodę...

ABU KAZEM *(ze złością)*.

Jaką znów nagrodę?

AISSA.

Tę, coś znalazcy przyrzekł przez woźnego.

ABU KAZEM *(d. s.)*.

Jak się do licha teraz wyłgać z tego?

AISSA.

Zawołam chłopca. *(Odchodzi)*.

SCENA CZWARTA.

ABU KAZEM, *potem* HASSAN.

ABU KAZEM.

Jakież ze mnie cielę,
Żeby pieniędzy przyrzekać tak wiele?

Znów ciężką stratę muszę ponieść przez to.
Dość miał część szóstą, ósmą lub dwudziestą,
I takby odniósł. Nie wiem nawet, za co
Ludziom za zgubę odniesioną płacą?
Toż zwrócić szkodę jest powinność serca,
Sumienia, cnoty...

(Widząc wchodzącego Hassana).

Otóż mój morderca!

HASSAN.

O niechże będzie Allachowi chwała,
Że mi się w ręce kiesa twa dostała,
Że ci ją mogę powrócić...

ABU KAZEM.

Lecz powiedz,
Gdzieżeś ją znalazł?

HASSAN.

Padła na pokrowiec
W sądowej sali, kędy byłeś z rana.

ABU KAZEM *(głaszcząc go).*

Bógże ci zapłać chłopczyno kochana,
Pamiętaj duszko, tak się zawsze prowadź...
A czy jest wszystko?...

HASSAN.

Proszę porachować.

ABU KAZEM *(przeliczywszy z niespokojnością, mówi z uśmiechem do siebie).*

Jest cała zguba, nie braknie i szpilki.

(Dając mu kilka miedziaków).

Drogi aniołku weź to na daktylki.

HASSAN *(odsuwając).*

Mnie się należy czwarta część pieniędzy.

ABU KAZEM.

Bierz, co ci daję i umykaj prędzej.

HASSAN.

Nie! Nie!...

ABU KAZEM *(przeglądając kiesę).*

O Boże!! znów mnie los zarzyna,
Wszak kosztownego braknie tu rubina!
Tysiąc cekinów wart!

HASSAN.

Bogiem się świadczę...

ABU KAZEM.

Co tam przysięgi twoje świętokradcze!
Przynieś ów klejnot, to się porozumiem.

HASSAN.

Panie, jam biedny, ale kraść nie umiem...
Zwiesz mnie złodziejem? *(Płacze).*

ABU KAZEM *(głaszcząc go).*

Ej, źle sądzisz dziecię..
Za najlepszego uważam cię w świecie,
Może ktoś wprzódy znalazł kiesę oto
I wyjął klejnot...

HASSAN.

A zostawił złoto?...

ABU KAZEM.

Bądź co bądź więcej ja ci dać nie mogę.
Masz na brzoskwinie i idź w swoją drogę.

HASSAN.

Nie... nigdy, nigdy nie przystanę na to.

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — KADY i KAWAS *(wchodzą przez bramę).*

KAWAS *(z cicha).*

Patrz sędzio wiernych... ot jeszcze z łopatą
Stoi...

KADY *(podchodzi i trąca w ramię Abu Kazema).*

Gdzie jest skarb? odpowiadaj starcze!

ABU KAZEM.

Co skarb? jaki skarb? znowu ktoś potwarcze
Wniósł na mnie skargi?... Jaki skarb?! to baśnie!

KADY.

Skarb zakopany, toż łopatę właśnie
Masz jeszcze w ręku. Skradłeś i tajemnie
Tu zagrzebałeś. Nie kłam więc daremnie.
Próżno przybierasz niewiniątka postać.
Wyznaj! bo tak cię każę w pięty chłostać,
Że skonasz!

ABU KAZEM.

Sędzio! to na mnie zasadzka!

KAWAS.

Nie wierz mu sędzio. Zszedłem go z nienacka,
Jak chował w dole, na proroka brodę!
Ja mu natychmiast tej zbrodni dowiodę.
Ja go przekonam!

KADY.

A więc bierz hultaja.

ABU KAZEM *(padając na kolana).*

O panie! dzisiaj wszystkich nieszczęść zgraja
Rzuca się na mnie, gdyby wilk na jagnie;
Wszak wasza mądrość zguby mej nie pragnie?
Sprawiedliwości! broń mię od zagłady!
Jaśnie Wielmożny! Najjaśniejszy Kady!

KAWAS *(wyrywając mu łopatę).*

Wnet skarb wynajdę! nie przecz tak uparcie!

ABU KAZEM *(ze złością).*

Szukaj! wietrz! wąchaj! ty złośliwy charcie,
Bo tam nic nie ma, nie daj lub daj wiarę,
Jak zagrzebane dwa papucie stare.
Znasz ty je dobrze, niech cię szatan potnie,
Boś mnie dziś za nie złupił już dwukrotnie,
Tum je zakopał, potajemnie w nocy,
By się raz przecie wyzwolić z ich mocy.

KADY *(śmiejąc się).*

Cha! cha! cha! cha! cha! nie bito cię w ciemię,
Mądrześ zaradził. No, Abu Kazemie,
Zapłać zranionej — zresztą bądź spokojny,
Z skarbem skończone.
(Do Kawasa).
Pójdź!

HASSAN *(występując).*

Sędzio dostojny!
Błagam, rozstrzygnij spór pomiędzy nami.

KADY.

Mów!

HASSAN.

Ja znalazłem kiesę z cekinami,
Kazem ogłosił, że kto ją odniesie
W nagrodę weźmie ćwierć tego, co w kiesie.

KAWAS.

Tak! tak! ja świadczę; Taher raz za razem
Wołał po mieście.

HASSAN.

Otóż Abu Kazem
Nagrodzić teraz nie chce mnie zapłatą,
Chociaż oddałem.

KADY *(do Abu Kazema)*.

No i cóż ty na to?

ABU KAZEM.

O sądzie wiernych, temu nikt nie przeczy,
Że mi pieniądze odniósł w samej rzeczy.
Jest wszystko złoto — ale w kiesie na dnie
Był jeszcze rubin, szlifowany ładnie,
A pięćkroć więcej wart, niż kiesa z złotem.

KADY.

Wszakże woźnemu powiedziałeś o tem,
A on obwołał także o klejnocie?

ABU KAZEM.

Nie, gdyż znalazcy nie ufając cnocie,
W trwodze, by chciwym uniesiony szałem,
Wszystkiego nie wziął — o tem zamilczałem.

KADY.

Czy chcesz przysięgą potwierdzić twe słowa?

ABU KAZEM.

Słowo, to jakby przysięgi połowa.

KADY.

Między obiema bardzo wielki przedział,
Przysiąż!

ABU KAZEM *(waha się, potem wyciąga rękę).*

Przysięgam na to, com powiedział.
Tak, na grobowiec proroka wielkiego,
Był rubin w kiesie.

KADY.

Dosyć! Dosyć tego;
Abu Kazemie z twej przysięgi sądzę,
Że to nie twoja kiesa i pieniądze,
W tamtej był rubin, w tej niema. — Hassanie!
Niechaj ta kiesa w twem ręku zostanie,
Póki kto po nią nie zgłosi się do mnie.
Zanieś ją matce...

ABU KAZEM *(d. s.).*

O nieba! już po mnie!

KADY *(do Abu Kazema).*

Każ znów woźnemu, by w rannej godzinie
Obwołał o tem złocie i rubinie.

ABU KAZEM.

O sędzio wiernych, czyż zabiegów warto?
Zostaw mi pieniądz, a dam mu część czwartą,
Wszakże to mo...

KADY *(przerywając).*

Milcz! bo wraz bez ochyby,
Za twą przysięgę każę okuć w dyby.
Krzywoprzysięstwo, wiesz jak prawo każe?

ABU BAZEM (*prędko*).

Nie, ja ją tylko chciałem dostać w darze,
Bo to nie moja kiesa, na proroka!
Lecz sędzio, niechaj mądrość twa wysoka,
Przez litość łaskę wyświadczy ostatnią...

KADY.

Mów!

ABU KAZEM.

Przez te meszty wpadłem w nieszczęść matnią,
Chciałem je w ziemi pogrzebać na zawsze,
Aby odwrócić losy jeszcze krwawsze,
Odzyskać spokój — lecz któż mnie przekona,
Że ich nie wypchnie ziemia z swego łona,
Że nie zastawią nowych na mnie sideł?
Wszędzie mnie ściga widmo tych straszydeł!
Zabierz je z sobą! Sędzio mój łaskawco!

KADY.

Chociaż sam jesteś własnych nieszczęść sprawcą
Przez swoje skąpstwo, chciwość bez pamięci,
Lecz żeś ukaran, spełnię twoje chęci.

(Do Kawasa).

Weź je i przybij śród sądowej sali
I każ dać napis, by wszyscy czytali:
»Że gdy oszczędność nosi miano cnoty,
To chciwość tylko rodzi wciąż kłopoty,
Że przez oszczędność człowiek się bogaci,
A za to zawsze skąpiec dwakroć traci«.



SMUTNE IMIENINY*)

(FRAGMENT KOMEDYI).

*) Tytuł i spis osób rekonstrujemy na podstawie treści fragmentu. *(Przyp. wyd.)*.

OSOBY.

JAN.
MARCYANNA, jego żona.
FLORA, jego córka.
BALTAZAR, przyjaciel Jana.
KAMIL, lekarz.



AKT I.

Salon Janów przeładowany meblami bez gustu.

SCENA PIERWSZA.

JAN i BALTAZAR.

BALTAZAR.

Bodaj czarci mię porwali,
Będzie wojna!...

JAN *(z powątpiewaniem).*

Baśnie — baśnie —

BALTAZAR.

Będzie!

JAN.

W głowie wam się pali.

BALTAZAR *(uderzając pięścią w stół).*

Będzie, niech mnie piorun trzaśnie!

JAN *(wskazując na dłoń).*

Wprzód mi włosy tu wyrosną.

BALTAZAR.

Tylkoż w rękę weź gazety,
Pójdą w czuby zaraz z wiosną.

JAN *(z niedowierzaniem).*

Kto, z kim, o co?!...

BALTAZAR *(zrywając się).*

Gwałtu! rety!
I ten jeszcze o to pyta!
Pif! paf! bum! brrum! bęc i kwita!

JAN *(wzdrygając się).*

Skądże takie wieści macie?
Wszak ja czytam też dzienniki,
A nic nie wiem.

BALTAZAR *(z politowaniom).*

Wy czytacie,
Oj czytacie...

JAN *(chcąc się uspokoić).*

Bziki, bziki
I nic więcej.

BALTAZAR.

Ślepe krety!
Zgłębić trzeba... ja tem żyję,
Nie jem, nie śpię, nie dopiję,
Lecz pożeram wciąż gazety;
Między wierszem czytać trzeba
I wyczytać, choć nic niéma!

JAN *(z wahaniem).*

Lecz »*Czas*« przecie pisze...

BALTAZAR.

E... ba!
»*Czas*« tchórz; przytem wiesz, z kim trzyma,
Któryż z panów wojnie sprzyja?

Jednak, wedle jego zdania,
Choć w bawełnę to obwija,
Nieprzerwalność trwa powstania.

JAN *(coraz niespokojniej).*

I »*Kraj*« milczy...

BALTAZAR *(drwiąc).*

Oczywista,
Będzie z zdaniem się wydawał.
(Tajemniczo).
»*Kraj*« jest rewolucyonista
I nas wszystkich wziął na kawał.

JAN *(j. w.).*

»*Dziennik lwowski*«...

BALTAZAR.

Demokrata,
Tnie na oślep — lecz nic nie wie.

JAN *(j. w.).*

A »*Poznański*«?...

BALTAZAR.

Tam do kata!
Pod popiołem tli zarzewie.

JAN *(j. w.).*

»*Narodówka*«?...

BALTAZAR.

Ani słowa,
Jest tam buzia — jest ojczeńku.
Lecz dla siebie wszystko chowa
Bo z wszystkimi ma na pieńku;

I wie dużo — lecz niestety
Nic nie pisze z ostrożności,
Żeby inne znów gazety
Nie wykradły jej nowości.
Co tam pisma!...

(Biorąc czapkę).

Ja ci wieszczę,
Będzie wojna, krew, pożoga.
Bądź zdrów! *(Chce iść).*

JAN *(nalewając mu).*

Czekaj!... pijno jeszcze.
Kieliszeczek... lecz dla Boga,
Skąd znów wojna?

BALTAZAR *(pijąc).*

Trzebaż dziecka,
By nie widzieć, co się dzieje:
Naprzód kwestya wschodnia, grecka,
Wołoch skrycie bunty sieje,
Wrą Hiszpany, rżną Dalmaty,
Czarnogórzec też nie drzémie,
Antonelli ma za katy,
Bo choć Francuz czuwa w Rzymie,
Tylko patrzeć, jak z Kaprery
Garibaldi tam zawita,
A czy wolno zagrać w kiery
Pewnie Unii się nie spyta.

(Nalewa i pije).

Czy znasz Świerszcza?

JAN *(wzdychając).*

Któż ich nie zna?
Jest tam w kuchni tego sporo.

BALTAZAR.

Ależ Świerszcza... tego... z Drezna.

JAN.

Ja tam nie wiem, skąd się biorą,
Z Drezna, czy też od sąsiada,
Bo to piekarz — stamtąd może...

BALTAZAR.

Któż o takich świerszczach gada?!
Ja ci mówię o autorze
Sławnych broszur, co to panie...

(Ogląda się wkoło)

Zabronione ich czytanie...
A więc mięsko...

(Ogląda się).

Świerszcz nam ręczy,
Do wspólnego kładą garnka
Prusy z Francyą... wciąż się wdzięczy
Nasz pan Ludwik do Bismarka.

JAN *(z przerażeniem).*

Mierosł...

BALTAZAR.

Gdzież tam!... z tym skończona!
Lecz wiedz, choć to nazwiesz bzikiem,
Że cesarza Napoliona
Zawsze panem zwę Ludwikiem,
Jużto u mnie zwyczaj taki,
Wkorzeniony z czasów Grudnia.

(Pije).

Otóż nasi od południa,
Z flanku Francuz i Prusaki,

Anglik znowu z krzywej linii
Tył zachodzi...

JAN *(z trwogą, do siebie).*

Boże! Boże!

BALTAZAR.

...niby to do Abisynii,
A na Czarne wali Morze.
Szwed z północy, Pers z Kaukazu,
Turek przez Dniestr armie zwala,
Aby wspólnie, a od razu
W siedem ogni wziąć Moskala.
(Nalewa).
Wojna jawna, jak Bóg w niebie,
Żebym zmarniał. *(Pije).* Wojna Janie!

JAN.

Lecz Balteczku, proszęż ciebie...
. . . .*)
(W rozpaczy).
Doczekałeś się kochanku,
Masz!... masz...
(Łkając).
Bożeż mój jedyny!

SCENA TRZECIA.

JAN. — MARCYANNA i FLORA *(wchodzą).*

MARCYANNA.

Aha, jesteś — słuchaj Janku,
Wszak dziś twoje imieniny.

---

*) W tem miejscu rękopis zdefektowany; Baltazar (w następnych scenach nie występujący) prawdopodobnie wychodzi. Następuje monolog Jana, którego koniec się dochował.

JAN (*wzdycha*).

Wiem, wiem — już mi życzył przecie
Baltazarek pomyślności.

MARCYANNA.

Otóż słuchaj moje dziecię,
Zaprosiłam dużo gości,
Będzie bankier, może złowię
I prezesa.

FLORA.

Stasia, Władzio,
Radca z żoną...

MARCYANNA.

...Kasyerowie,
Doktor i Prot ze swą Jadzią;
Niech się dowie całe miasto,
Jaki festyn — ty po ciasto
I muzykę pospiesz szybko,
Czegóż siedzisz?

JAN.

Zaraz...

MARCYANNA.

Prędzej!

JAN.

Ależ zaraz moja rybko.

MARCYANNA.

Może brakło ci pieniędzy?

JAN.

Nie...

MARCYANNA *(niecierpliwie).*

Więc cóż?

JAN *(wzdychając).*

Nic...

MARCYANNA.

Cóż się stało?
Słabyś?

JAN.

Troszkę.

MARCYANNA.

Mówże śmiało,
Co ci?...

JAN *(wzdychając).*

I ta jeszcze pyta?
Pif! paf! brrum! bęc! — i kwita!

MARCYANNA.

A to znowu co u licha?!
Czyś oszalał?

JAN.

Ha, być może.

FLORA.

Papko blady, drży i wzdycha.

JAN.

Słuchaj! — w łóżko się położę.

MARCYANNA.

Co? Co? w łóżko?!

FLORA.

Czyż to pora?

MARCYANNA.

Wieczór u nas a ten w łóżko!

JAN.

Prędzej! prędzej! po doktora,
Bo ja umrę...

(Z płaczem).

Umrę duszko!
Umrę!

MARCYANNA *(strwożona).*

Jasiu!...

JAN.

W całym świecie
Bój, bankructwo, krew, pożogi
I Syberya...

MARCYANNA *(j. w.).*

Co on plecie?
Jak w malignie...

FLORA.

Papko drogi,
Co to papce?!

JAN *(wąchając).*

O mój Boże!
Czujesz? Co?!...

FLORA.

Cóż?

JAN.

Proch i siarka!...

FLORA.

To swąd z węgli.

JAN *(machinalnie).*

Wprost przez morze
Płynie Anglik na Bismarka.

MARCYANNA.

Ależ Jasiu przyjdź do siebie!

JAN.

Bankrut ze mnie w jedną dobę!
(Poważnie — siada).
Przeba myśleć o pogrzebie.
Moja Marcyś spraw żałobę,
Tylko duszko, proszę ciebie,
Noś mantynę, jedwab, morę,
Bo za kamlot bez pochyby
Marcysieńko pójdziesz w dyby.

FLORA *(postrzegając wchodzącego Kamila).*

A pan doktór — w samą porę!

SCENA CZWARTA.

DAWNI. — KAMIL.

FLORA *(idąc naprzeciw niemu).*

Proszę, proszę.

MARCYANNA.

Patrz doktorek,
Mój mąż chory... krew go dusi,

Dziś miał u nas być wieczorek,
A on zasłabł...

KAMIL *(z uśmiechem)*.

Zdrów być musi.
(Zbliżając się do Jana).
Cóż to panu?

JAN.

Ledwie żyję,
Coś mię strasznie w gardle ściska,
Dreszcze, zawrót, serce bije...
Przyszła kréska na Matyska.

FLORA *(cicho do doktora)*.

Tatko wzdycha pokryjomu,
Drży i mówi wciąż o wojnie,
Ktoś go stropił...

KAMIL *(do siebie)*.

Jestem w domu.
(Do Jana).
Czy też sypiasz pan spokojnie?

JAN.

Choćby z armat mi nad uchem...
(Urywa — do siebie).
Z armat!... brr...

KAMIL.

A chęć do jadła?

JAN.

Jem jak Turek... *(j. w.)*. ot masz, duchem
Znów mi Turcya na myśl wpadła...

KAMIL *(biorąc go za puls).*

Tętno szybkie, zimne poty,
Głos stłumiony i twarz blada:
Pan się przeląkł...

JAN *(zawstydzony).*

Mam... kłopoty...

KAMIL.

Proszę pióra.

MARCYANNA *(prowadząc go do biurka).*

Niech pan siada.

KAMIL *(napisawszy podaje Marcyannie).*

Tu są krople — brać je w winie
I dyeta odpowiednia.
(Odwracając się do Jana).
Wiecież państwo o nowinie
Telegrafem przyszłej z Wiednia?

JAN *(z trwogą).*

Cóż tam?

KAMIL.

Bismark już nie rządzi
I wyjechał za granicę.

JAN *(j. w.).*

Cóż to znaczy — jak pan sądzi?

KAMIL.

Ha, zwrot wielki w polityce.

JAN *(z większą trwogą).*

Zatem wojna...

KAMIL.

Ach przeciwnie,
Pokój.

JAN.

Pokój?!

KAMIL.

Pokój wszędzie.

JAN *(zrywając się)*.

Co? Co?!

KAMIL.

Panu się to zdaje dziwne?
I mnie także.

JAN.

Więc nie będzie
Pif, paf?

KAMIL.

A broń Boże!

JAN.

Jak? co? Czemu mój doktorze?

KAMIL.

Oto szczerze, czy nieszczerze,
Cesarz, Anglia, Francya, Prusy
Z Rosyą wiążą się w przymierze.

JAN.

Czy to tylko nie psikusy?
Bo widzisz pan, dyplomacya
Na tem stoi, by ten... tego...
Któż zaręczy?

KAMIL.

No, jest racya.
Lecz dziś całkiem co innego.
Bismark robił wciąż niesnaski,
Pośród mocarstw snuł intrygi,
Pragnąc dla Prus Inflant, Rygi,
Więc dlatego wypadł z łaski.
Teraz kwestya załatwiona.
Z córką cara ma się żenić
Syn cesarza Napoleona;
Taki układ trudno zmienić.
Widno, że wiatr rozniósł chmurę,
Bo papiery idą w górę.

JAN.

Idą?!

KAMIL.

Rosya, biorąc Chiny,
Dobrowolnie Polskę zwróci,
Więc do wojny gdzież przyczyny?

JAN *(podskakując)*.

Aj, aj!

KAMIL.

Czy to pana smuci?

JAN.

Gdzież tam, szczęście mnie zabija,
Ja z radości wpadłem w zapał,
Wiwat Francya i Austryja!
Wiwat Mosk... aj! *(n. s.)* tom się złapał!
(Do Kamila).
O mój zbawco! mój aniele!
(Całuje go).

Niech ci Pan Bóg wynagrodzi!
(Do żony).
Więc mieć będziem gości wiele,
Choćby tysiąc, nic nie szkodzi.
(Do córki).
Gdzie recepta?... dawaj Florka.
(Drze w kawałki).
Zdrów, zdrów jestem, zdrów jak rybka.
(Do doktora).
Muszę spoić dziś doktorka,
Przyjdź wieczorem, będzie bibka.
(Do żony).
A ty Marcyś dawaj łapkę,
Poczciwinka. *(Całuje)* O widziałem,
Jakeś drżała. Laskę! czapkę!
Po muzykę pędzę cwałem.

MARCYANNA.

A pamiętaj: tortów kilka,
Ciast i cukrów ze trzy tace.

JAN.

Pójdź! odprowadź mię Marcylka,
Ja z radości głowę stracę.
Szampan! lody! konfiturki!
Marcyś pokój! wiwat Turki!
(Odchodzi z żoną środkiem).

SCENA PIĄTA.

KAMIL. — FLORA.

FLORA.

Cóż? czy bardzo dziwi pana,
Że tak biegle rozpoznałam,
Skąd ta nagła w ojcu zmiana?

KAMIL.

Nie zważałem.

FLORA.

Ja myślałam,
Że powinien zdziwić przecie
Taki trafny sąd w kobiecie.

KAMIL.

Wybacz pani.

FLORA.

O! to jasno,
Żeś pan zważał — lecz zbyt rani
Prawda pańską miłość własną.

KAMIL.

Nie zważałem, wierz mi pani.

FLORA.

Poco przeczyć? Cóż kobiety
W starym świecie upośledza?
To, że w togach mężczyzn wiedza,
A nam wzbronne są birety.
Ale poza oceanem
Płeć nie dzieli się na kasty:
Doktorami są niewiasty,
Tam bym mogła walczyć z panem.

KAMIL.

Ach, na cóż nam Ameryki
I tu walkę przyjmę chętnie...

. . . .

(Na tem urywa się fragment).



PROLOG DO SZTUKI
O »MISTRZU TWARDOWSKIM«

OSOBY *).

MISTRZ TWARDOWSKI.
MACIEK, jego sługa.
DYABEŁ.
DZIEDZILIA.
PALIWODA, przywódca tłumu.
TŁUM MIEJSKI.

---

*) Prolog w autografie bez tytułu sztuki i bez spisu osób.

Mieszkanie Twardowskiego w Krakowie — komnata sklepiona i ponura. W głębi i z lewej strony drzwi, bliżej przodu okno — po prawej stronie komin, przed nim staroświeckie krzesło — po lewej stół, aż do ziemi kilimkiem okryty — na nim paląca się lampa i rozwarta księga. Przed stołem wielkie poręczowe krzesło. Cała izba przybrana sprzętami średniowiecznego mędrca. Na ścianie krokodyl, pod nim mumia, w kącie szkielet. Na szafach, napełnionych księgami i zwojami rękopisów, stoją słoje z wężami i innymi preparatami. Nad drzwiami wchodowemi rozpięty wielki niedoperz, nad kominem sowa. Na przodzie ogromna księga, łańcuchem spętana i przykuta do ściany.

SCENA PIERWSZA.

TWARDOWSKI — MACIEK.

Twardowski siedzi w krześle, nachylony nad księgą — ubrany w czarną togę, na głowie mycka, z pod której wymykają się kosmyki włosów, równie jak broda i wąsy siwych, na nosie staroświeckie okulary. Maciek śpi na gołej ziemi przy drzwiach.

CHÓR DUCHÓW NIEWIDZIALNYCH.

Mistrz przeklina księgi swoje
I stracony próżno czas,
W duszę jego niepokoje,
Blade trwogi siejmy wraz:
Niech spokojnej nie zna chwili,
Namiętności zbudźmy w nim,

Byśmy prędzej go złowili,
By odwiedził zgubny Rzym.

TWARDOWSKI
(zrywa się z krzesła i gwałtownie zamyka księgę).

Precz z temi księgi — cała w nich nauka
I złamanego nie warta szeląga,
Człek traci lata — mądrości wciąż szuka,
A kiedy wreszcie jej owoc osiąga,
Czuje, że gorzki, cierpki i niejrzały.

(Po krótkiem milczeniu).

I jam się biedził, mordował nad księgi,
A widząc, że mi mądrości nie dały,
Wezwałem w pomoc szatańskiej potęgi.

(Pauza).

Czart dał mi mądrość — rozjaśnił noc w głowie,
Mędrszym nad wszystkie uczynił w dniu jednym,
I cóż mi z tego, że jako bogowie
Jestem potężnym, oniemal wszechwiednym:
Że wiem, gdzie dążą słońca i komety,
Co w głębiach ziemi i przepaściach morza
I kiedy inni, jako ciemne krety,
Mimo swych nauk idą na bezdroża,
Ja widzę jasno, gdyby w blaskach słońca,
A ludzkie myśli mam jako na dłoni...
Cóż mi z tej wiedzy, mądrości bez końca,
Z mej sławy — gdy tu,

(Wskazuje na pierś).

jak w bezdennej toni,
Ciemno i zimno...
W samotnych komnatach
Błądzę, jakoby ów tułacz wieczysty.

Ni wdzięczna wiosna w nadobnych swych szatach,
Ni lazur nieba, ni księżyc srebrzysty
Wyziębionego serca nie zapalą.

(Po krótkiem milczeniu).

Minął wiek młody, zbielały już włosy,
Wnet i choroby na barki się zwalą.
Umrę, nie znając najmniejszej pociechy.
Rozpłynie żywot, jakoby kłąb dymu.
Wziąwszy zapłatą zawody i grzechy,
Co czynić? Gdzie iść?!

GŁOS NIEWIDZIALNY.

Do Rzymu! do Rzymu!

TWARDOWSKI.

A wy do piekieł z swą radą przeklętą!

(Słychać w oddaleniu dzwon wzywający na jutrznię — organ i hymn w bliskim kościele).

Dzwon wzywa wiernych do modłów. Dziś święto.

(Otwiera okno i słucha).

O gdzież te czasy głębokiej mej wiary,
Kiedym chłopięciem biegł na odgłos dzwonu
Służyć w pokorze do świętej ofiary
I słać modlitwy do Bożego tronu.

CHÓR Z KOŚCIOŁA.

Zacznijcie wargi moje chwalić Pannę świętą,
Zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą.
Przybądź nam miłościwa Pani ku pomocy,
A wyrwij nas z potężnej nieprzyjaciół mocy.

TWARDOWSKI *(silnie wzruszony).*

Ten śpiew! — O Boże!... wszak to pieśń pobożna,
Którąm ułożył będąc jeszcze żakiem...

Ta pieśń w tej chwili, gdym zwątpił, jest znakiem,
Że grzech mój straszny jeszcze zmazać można.
(Klęka przy oknie i słowami powtarza hymn).
Zacznijcie wargi moje chwalić Pannę...
(Chwyta się za pierś).
Jakiż ból straszny — jakby mi kto szpony
Zatapiał w piersi!
(Po chwili wytchnienia zaczyna znowu modlić się).
O światło zaranne!
Przyjdź ku pomocy!
(Zrywa się, nowym bólem dotknięty).
To czart rozjuszony
Mści się, zsyłając okrutne te bóle.
(Groźno zaciskając pięść).
Czy sądzisz, nędzny, że ja się pozwolę
Zwabić do Rzymu i w paszczę ci wpadnę?
Ho, ho! nic z tego — rozumu nie stracę;
A chytrość twoją, podstępy twe zdradne
Zerwaniem paktu z nasypką odpłacę.

SCENA DRUGA.

DAWNI — DYABEŁ.

DYABEŁ *(wychylając łeb z pod kilimka, stół okrywającego).*
Czy tak?

TWARDOWSKI *(z oburzeniem).*
A to co? Jak śmiesz, ty poczwaro,
Stawać przedemną, kiedy cię nie wzywam?

DYABEŁ *(wysuwając się z pod stołu).*
Serwus! Znów mistrzu śpiewasz piosnkę starą,
Cóż tak dziwnego, że praw mych używam
A strzegę paktu, jak źrenicy w oku?
(Wyciągając z za pazuchy pergamin).

Cerograf pisze: Dyabeł Hadramelach
Ma się znajdować wciąż przy Mistrza boku.
(Składa starannie i chowa cerograf).
Zresztą w zbyt ważnych przybyłem tu celach,
Więc bez przyczyny mój władca się złości;
Pamiętaj mistrzu, gniew szkodzi piękności.

TWARDOWSKI.

Przecz mi nie dajesz i chwili spoczynku?

DYABEŁ.

Brr, jak tu zimno! Krew całkiem mi skrzepła,
Trzeba rozpalić ogień na kominku.
(Uderza nogą w ognisko, płomień wybucha i rozpala ogień. Dyabeł zasiada na krześle i grzeje ręce nad ogniem).
Ot tak... aż miło... Czy nie lubisz ciepła?

TWARDOWSKI.

Idź precz!

DYABEŁ *(rozwalając się w krześle).*

Nie głupim.

TWARDOWSKI *(groźno).*

Zaklęciem cię zmuszę!
(Otwiera księgę i zaczyna czytać).
Conjuro...

DYABEŁ

(Kicha. Natychmiast lampa gaśnie, ciemność ogarnia scenę).
Czytaj, gdy masz oczy sowie.

TWARDOWSKI.

Na co mi księga? Zaklęcie mam w głowie.

DYABEŁ.

Zmyl jedno słowo, a porwę w lot duszę.

TWARDOWSKI *(zniecierpliwiony).*

Czego chcesz, dyable?...

DYABEŁ *(oglądając się).*

Czy waść już spokojny?

TWARDOWSKI.

Mów!

DYABEŁ.

Ha! pogwarzmy.

(Kicha — lampa zapala się — scena rozwidnia).

Ot tak! Z innej beczki...

(Wstaje i podchodzi do Twardowskiego).

Jam czart uczciwy, nienawidzę wojny,
Po kiego dyabła te swary i sprzeczki?
Poco te żarty, że nie staniesz w Rzymie?
Już w tem rzecz moja — zbyt cenię twe imię,
Więc nie przypuszczam, że knujesz zasadzki,
Żeś taki cygan, jako mistrz krzyżacki.

TWARDOWSKI.

Kończ, pocoś przyszedł?

DYABEŁ.

Słysząc twe gderanie,
Przybiegam z radą — usłużny jak zwykle,
Bo trzebaż pomódz, gdy pan mój się wikle.
A ty mię dręczysz, szkaradny tyranie.
Ot wdzięczność ludzka...

(Ociera łzy ogonem).

Zabierając duszę,
Chcę dać coś w zamian.

TWARDOWSKI.

Kończ prędzej, gaduło!

DYABEŁ.

Ciągłe ślęczenie życie ci zatruło,
Czas użyć świata.
(Głaszcząc go).
Nie zechcesz, to zmuszę,
Człowiek tak mądry, tak sławny, tak wielki,
Siedzi zamknięty, jakoby kret w norze —
I nie skosztował ni jednej kropelki
Ziemskich rozkoszy. Doktorze! doktorze!!
Czy się to godzi?!...

TWARDOWSKI *(odtrącając go).*

Ruszaj precz do czarta
Niesmaczny błaźnie!

DYABEŁ.

Nie odstąpię ciebie,
Aż cię przekonam, ty sztuko uparta.

TWARDOWSKI *(z uniesieniem).*

Dyable!

DYABEŁ.

Mój stary, po dyabła o niebie
Rozmyślasz jeszcze, gdyś zrobił pakt z piekłem.
Poco się durzyć — interes skończony.
Słysząc twe modły, mało się nie wściekłem,
Modlić się? — cha! cha! Taki mąż uczony!
Radbym cię wybić, aż mię świędzi łapa.
Niema ratunku — no, wprawdzie w tej mierze
Może poradzić jeszcze rzymski papa,
Jeżeli mu się wyspowiadasz szczerze
W dzień Wielkiejnocy w Piotrowej katedrze.

TWARDOWSKI *(pogrążony w myślach).*

Tak, tylko w Rzymie, przy Piotrowym tronie.

DYABEŁ *(z pośpiechem).*

Spiesz więc, Twardosiu, w lot będziesz miał konie,
Jedź! jedź! Niech papież cerograf rozedrze!
Och, jak cię kocham, wyskoczę hołupca,
Gdy się pozbędę twej lichej persony,
Tak jestem tobą zmęczony, znudzony.
(Poziewa).

TWARDOWSKI.

Dyable, tyś głupi lub masz mnie za głupca,
Że lichy podstęp tak kryjesz niezgrabnie.

DYABEŁ.

Anim pomyślał — jak ciotulkę kocham —
Oj mistrzu, mistrzu, animusz ci słabnie.
Na psy zeszedłeś... Patrz drogi, ja szlocham,
Głowa zbielała i zeszedł wiek marnie,
Wieść taki żywot, prawdziwe męczarnie.

TWARDOWSKI *(szydersko).*

Więc cóż mi radzisz?

DYABEŁ.

Co tu myśleć wiele —
Rzuć zaraz w komin te spleśniałe zwoje,
Czapka na ucho, a w pas karabelę
I w świat! *(Z zapałem).*
Niech żyje węgrzyn i dziewoje!

TWARDOWSKI.

Późno na starość.

DYABEŁ.

Serce nie starzeje.

TWARDOWSKI.

Krew skrzepła w żyłach.

DYABEŁ.

Miłość ją rozgrzeje.

TWARDOWSKI.

Głupcem jest stary, bawiąc się w młodzika.

DYABEŁ.

Młodemu afekt — staremu podwika.

TWARDOWSKI.

Miłości w dziewce nie wzbudzi siwizna.

DYABEŁ.

Zadzwońno trzosem, a wnet ci ją wyzna.

TWARDOWSKI.

W kłamany afekt niech bawią się żaki.

DYABEŁ.

Coć tam o prawdę, gdy skutek jednaki.

TWARDOWSKI.

Przestań, sofisto. Co miłość, ja nie wiem,
Żyję lat kopę, nie znając kobiety.
Dziś w zwiędłe serce chcesz dmuchać zarzewiem,
W pierś strupieszałą, w pierś anachorety?
Zapóźno dzisiaj zarzucać mi wędę
Sprosnej rozpusty. Na nic się to zdało.
Przez lat sześćdziesiąt nie zmogło mię ciało,
Toć mu dziś pewnie ulegać nie będę.

Idź kusić głupców z umysłem prostaczym,
Nie zwabisz mędrca widokiem kałuży,
Precz, niedołęgo — czasu nie trać dłużej.

DYABEŁ.

Ostatnie słowo?

TWARDOWSKI.

Ostatnie!

DYABEŁ.

Zobaczym!
(Niknie nagle).

SCENA TRZECIA.

TWARDOWSKI — MACIEK.

TWARDOWSKI *(śmiejąc się).*

Cha! cha! cha! miłość — dziewki — a łeb siwy,
Skądże mu przyszedł ten koncept szalony,
Głupi czart myślał, że wskóra z tej strony,
Cha! cha! cha! *(Woła).* Maciek!

MACIEK *(zrywając się).*

A co, miłościwy?
Co rozkażecie?

TWARDOWSKI.

Rozbieraj mię, śpiochu!

MACIEK.

Oho! już śpiochu. *(Zdejmuje mu togę).*
Ledwiem zdrzemnął krztynkę,
I widząc we śnie wielką misę grochu,
Okrutną misę — aż łykałem ślinkę...
Na środku kawał wieprzowiny tłustej,
Kiszka, kiełbasa, jakoby w zapusty...

TWARDOWSKI.

Przestań, żarłoku!

MACIEK.

Żarłoku? no, proszę!
A cóż dziś jadłem? Ani kęsa chleba.
A przecież na dzień trzy razy jeść trzeba,
Żeby nie umrzeć.
(Zdejmuje mu żupan).
Oto mi rozkosze
Służyć u mędrca — jak siednie przy stole,
Jak wlezie w księgi, to czyta i czyta.
Może was książki nakarmią do syta...
Lecz u mnie w brzuchu, jak w chłopskiej stodole.
Żarłoku! ale...

TWARDOWSKI *(groźno)*.

Maciek, co to znaczy?

MACIEK.

To, że przed laty bywało inaczej,
Gdyście się jeszcze lekarką trudnili,
I jeść dawali i więcej człek znaczył;
A pamiętacie, gdyście odmłodzili
Burmistrza Słomkę, jak to on nas raczył?
Węgrzyn, miód stary, gęsina, jędory,
Zrazy, pierogi...
(Oblizuje się).
Teraz iść nie chcecie,
Choć pośle po was jaki bogacz chory,
Ot — dziś żyć z wami nie warto na świecie.

TWARDOWSKI.

To ruszaj sobie!

MACIEK.

Aha! ruszaj sobie,
A któżby szaty czyścił jegomości?

(Twardowski odchodzi do komnaty na lewo — Maciek nie widzi).

Ubrał? Rozebrał? Doglądał w chorobie?
I krokodyla obcierał i kości
Omiatał codzień?

(Ogląda się).

Ot, poszedł do dyaska.
Otóż tak zawsze, czy świątek, czy piątek,
Łaje — a prawdy posłuchać nie łaska.
A powiedz słówko, to buchnie jak wrzątek!

(Pokazuje na czoło).

Coś mu tu chybia. *(Tajemniczo).*
Nieraz mi się zdaje,
Że z kimś się kłóci, więc jak pytel trzepie,
Wrzeszczy, przerywa, wymyśla i łaje,
A nic nie widzę, choć wytrzeszczam ślepie.
To znów po izbie coś trzaska i hula,
Jak puhacz w lesie, to sapie jak zwierzę,
Nieraz aż cierpnę, taki mię strach bierze.

(Ogląda się).

Ho, ho, mnie w ciemię nie biła matula.
Wiem, co się święci. *(Ciszej).*
Urwał się z łańcucha
Bies kuternoga i po izbie hula.
Maćku, stul gębę, bo nuż cię podsłucha
I łeb ukręci. A niech go Bóg cieszy.
Lepiej spać pójdę — kto śpi, ten nie grzeszy.

(Układa się na ziemi i poziewa).

Spać bardzo lubię — może mi się micha
Z grochem znów przyśni.

(Słychać kołatanie do bramy).

A tam co u licha?

(Nowe stukanie — siada).

Ktoś do wrót stuka, a mnie co do tego?
Niech sobie stuka.

(Układa się wygodnie — nowe kołatanie).

Setnie w bramę wali,
Bęc! bęc! a stukaj, choć do dnia sądnego.

SCENA CZWARTA.

MACIEK — DZIEDZILIA.

(Drzwi wchodowe otwierają się na oścież — na progu ukazuje się Dziedzilia, okryta ciemną opończą z kapturem, który jej twarz zasłania).

MACIEK *(na jej widok zrywa się przestraszony z ziemi).*

Aj! aj! Wszelki duch Pana Boga chwali!
Dyabeł!

DZIEDZILIA.

Nie bój się, jam biedna cyganka,
Wściekłej gawiedzi goni mię gromada,
Skryj mię!

MACIEK.

Nie głupim — wychodź jejmościanka!
Miałbym od mistrza kazanie nie lada,
Ukrywać babę? O niech mię Bóg broni!

DZIEDZILIA *(z przestrachem).*

Ledwiem zdołała wymknąć się pogoni,
Spalą mię! Spalą, jeżeli pochwycą!

MACIEK *(obojętnie).*

Ha, to mniej będzie jedną czarownicą.

(Za sceną tumult się wzmaga — wrzawa i dobijanie się do bramy).

DZIEDZILIA.

Czy słyszysz? Skryj mię! Za chwilę tu wpadną!

MACIEK *(przestraszony).*

Dyabeł mi nasłał tę babę szkaradną.
Wynoś się, wiedźmo!

GŁOSY ZA SCENĄ.

Tutaj! tu się kryje.

DZIEDZILIA *(cisnąc się z trwogą do Maćka).*

Tłum mnie rozszarpie!

MACIEK *(odpychając ją).*

A niech cię zabije!
Szarpie, morduje, pali, wiesza, ścina!

(Słychać trzask wyłamanej bramy).

Oho, już wpadli — dalej do komina!

(Włazi w komin — Dziedzilia kryje się za stołem).

SCENA PIĄTA.

(Maciek i Dziedzilia ukryci. Paliwoda wpada na czele tłumu uzbrojonego w kije, widły, halabardy i t. p. — W tej chwili wchodzi Twardowski).

PALIWODA.

Dalej, nuż za mną — tu wpadła do bramy!

TWARDOWSKJ *(ukazując się na progu komnaty).*

Czego tu chcecie?

PALIWODA.

Cygankę ścigamy,
W całym Krakowie czarownica znana,
Skryła się tutaj u waszmości pana.

TWARDOWSKI.

Kłamiesz!

PALIWODA.

Ty kłamiesz!

TWARDOWSKI.

Precz, pałko szalona,
Nikt się tu nie skrył!

PALIWODA.

Tyleś wart, co ona!
Znalazł swój swego! Wie to cały Kraków,
Że znasz się z dyabłem — żeś ciało i duszę
Zaprzedał piekłu, mistrzu wilkołaków!
Wydaj ją zaraz, bo cię w pył rozkruszę!

LUD *(wstrząsając bronią).*

Wydaj ją! Wydaj!

TWARDOWSKI.

Precz mi stąd, warchoły,
Bo was nauczę!

PALIWODA.

Drwię z czarcich forteli,
Wydaj ją, bo cię rozpłatam na poły!
(Chwyta za rękojeść szabli i wyciąga z zamachem kądziel).

LUD *(przestraszony cofa się ku drzwiom).*

Czary!

TWARDOWSKI *(szydersko).*

Oto mi rycerz od kądzieli!

PALIWODA *(rzucając kądziel).*

Precz! niech przepadnie szatańskie narzędzie!
Za mną!

LUD *(wahając się).*

Czarownik!

PALIWODA.

Nie bójcie się! Śmiało!
Nie takich dyabłów żywcem się zjadało!
Bierzmy go!

TWARDOWSKI
(porywa z kąta miotłę na kiju osadzoną i podaje Paliwodzie).

Konno może łatwiej będzie!

(Paliwoda wsiada na miotłę jak na konia; cały tlum też samo czyni, wsiadając na swą broń i z Paliwodą na czele objeżdżają jeden za drugim wkoło izbę. Twardowski stojąc na boku śmieje się).

CHÓR.

Hop! hop! hop! koniku w cwał!
Twardowski nam zmyka.
Chociażby jak wicher gnał,
Schwycim czarownika!
Hop! hop! hop! koniku gnaj!
Przez góry, przez jary.
Hop! hop! hop! aj! aj! aj! aj!
Ratuj! ratuj! czary!

TWARDOWSKI.

No, dość już tego!
(Wyrywa miotłę Paliwodzie i mówi do niej).
A teraz mi żwawo
Wymieć za wrota tę zgraję plugawą.
(Miotła uwija się po scenie i wymiata tłum, który z krzykiem ucieka).

SCENA SZÓSTA.

MACIEK — DZIEDZILIA *(ukryta)* — TWARDOWSKI.

TWARDOWSLI *(woła).*

Maciek! hej! Maciek! gdzie ten urwisz goni?

MACIEK *(wyłazi z komina i ogląda się).*

Niema ich? Niema? — No jestem — gdzież oni?
Uciekli — Bóg strzegł, że nie miałem szabli,
Toćbym napłatał!

TWARDOWSKI.

Co się tutaj stało?

MACIEK.

Jakąś cygankę przynieśli tu dyabli.
Ona zmykała, pospólstwo ją gnało,
Bo czarownica!

TWARDOWSKI.

Cyganka? Gdzież ona?

MACIEK *(ogląda się).*

A juści pewnie w gacka przemieniona
Frunęła sobie do piekielnej jamy.

TWARDOWSKI.

Zejdź mi wraz na dół pilnować u bramy,
Żeby nikt nie wszedł.

MACIEK *(d. s.).*

Oto jak pies właśnie
Waruj — to służba — niech ją piorun trzaśnie!
(Odchodzi z gniewem).

SCENA SIÓDMA.

TWARDOWSKI — DZIEDZILIA.

TWARDOWSKI *(ogląda się).*

Przecież sam jestem — snać owa niewiasta
Pośród zamieszki zdołała ujść skrycie.
A więc już trąbi cała gawiedź z miasta,
Żem ja czarownik na piekielnem mycie,
Zaprzedan dyabłu. — I motłoch plugawy,
Zamiast bić czołem przed wiedzy kolosem,
Szarga me imię i grozi mi stosem.
(Gorzko).
Na tomże zmarnił i młodość i pracę,
Na toż i wieczność nieskończoną tracę,
Ażebym takiej doczekał się sławy!
(Rzuca się na krzesło przy kominie).
Takaż więc pamięć po mnie pozostanie?! —
Jakżeś mię odrwił przeklęty szatanie!
(Opiera twarz na rękach i pogrąża się w dumaniach).

DZIEDZILIA
(po chwili wychodzi z ukrycia, nie dostrzegając Twardowskiego).

ŚPIEW.

I.

Idzie borem dziewczę łzawe,
Dziewczę zbłąkane,
Twarz jej blada, nóżki krwawe,
Włosy rozwiane.

Wicher czuby dębów zrywa,
Burza grom miota,
Nie wie o tem nieszczęśliwa,
Bo to sierota!
(Odrzuca opończę).

II.

Nikt nie powie, kędy chata
Biednej dziewczyny,
Nie ma siostry, ani brata,
Ani rodziny.
Nigdy się do serca matki
Nie przytuliła,
Bo jej braćmi polne kwiatki
Chatką mogiła.
(Wybucha płaczem).

TWARDOWSKI *(który na pierwszy dźwięk piosenki odwrócił się i słuchał — zrywa się i idzie do niej).*

Ktoś ty?

DZIEDZILIA *(przelękniona).*

O panie! jam was nie spostrzegła.

TWARDOWSKI *(uderzony jej pięknością wpatruje się w nią).*

Ktoś ty?

DZIEDZILIA.

Jam tutaj przed pogonią zbiegła.

TWARDOWSKI *(gwałtownie).*

Ktoś ty — mów prędzej?!

DZIEDZILA *(składając ręce).*

Panie mój jedyny,
Ja się was boję!

TWARDOWSKI *(łagodnie).*

Niedorzeczna trwoga.
Mów!

DZIEDZILIA.

Jam cyganka — sierota uboga.
Szłam z mą gromadą z węgierskiej krainy,
Gdy nas na drodze, pod Wieliczką pono,
Znienacka zbrojne pachoły napadły,
Jednych ubito — drugich uwięziono,
Jam tylko uszła pogoni zajadłej.
Gdzie i jak biegłam — nic nie wiem, aż wreszcie
W jakiemś ogromnem znalazłam się mieście.

TWARDOWSKI *(pożera ją okiem).*

Mów, mów, co dalej?

DZIEDZILIA.

Ledwiem tchu nabrała,
Gdy mię poznano, żem z niewiernych rodu.
Zbiegł się tłum wielki i wnet bez powodu
Rzuca się za mną. Umykam jak strzała,
Z ulic w ulice, z zaułka w zaułek,
Aż tutaj — litość jaśnieje wam z lica,
O dobry panie, dajcie mi przytułek,
Weźcie w obronę!

(Klęka przed nim składając ręce).

Jam nie czarownica!

TWARDOWSKI *(podnosząc ją).*

Wstań, moje dziecię.

DZIEDZILIA *(ze wzruszeniem).*

Coście rzekli? Dziecię?
O niechajże wam ucałuję nogi,
Słodkie to miano pierwsi mi dajecie.

TWARDOWSKI *(z rozrzewnieniem).*

Biedna! *(Bierze ją za rękę).*
Odetchnij i pozbądź się trwogi.
Więc cię los ściga, dziecię moje lube,
I ludzie gnębią, choć jesteś tak młoda,
Taka urodna?

DZIEDZILIA.

Właśnie ta uroda
Jest mem nieszczęściem, gotuje mi zgubę.
I dziś wołano między oną zgrają,
Że oczy moje uroki rzucają.

TWARDOWSKI *(wpatrując się w jej oczy, mówi do siebie).*

Cóż się to znaczy — gdy na mnie spojrzała,
Dreszcz mię przeniknął. To szczęście, żem stary,
Bo sambym gotów uwierzyć w jej czary.

(Rozpaliwszy ogień sadza ją na krześle przed kominem).

DZIEDZILIA *(biorąc go za rękę).*

Wy drżycie Panie — co się z wami dzieje?
Siadajcie przy mnie, to ja was ogrzeję.

TWARDOWSKI *(siada i ogląda jej rękę).*

Małą masz rączkę, a białą, jak lilia.

DZIEDZILIA.

Tego mi każda cyganka zazdrości.

TWARDOWSKI.

A jak ci imię?

DZIEDZILIA.

Dziedzilia.

TWARDOWSKI.

Dziedzilia
Była u Słowian boginią miłości.
(Do siebie).
Krew w żyłach kipi — twarz ogniem mi płonie,
A pierś dygocze.
(Do Dziedzilii).
W oddalonej stronie
Jest ktoś zapewne, co krasę twą ceni.

DZIEDZILIA.

Niema nikogo.

TWARDOWSKI *(wpatrując się w nią).*

Na tyle urody?
To być nie może.

DZIEDZILIA.

Wyście tem zdziwieni?
A przecież tak jest!

TWARDOWSKI *(do siebie).*

Och! gdybym był młody.

DZIEDZILIA *(smutno).*

Któżby chciał kochać cygankę przeklętą?

TWARDOWSKI *(zrywając się).*

Ktoby chciał?
(Siada, powstrzymując się).
Dla mnie rzeczą niepojętą,
Abyś nie znała, co to jest kochanie.
A ile masz lat?

DZIEDZILIA.

Szesnaście już, panie.
(Patrząc na niego).
Co wam to, panie? Czyście wy nie chorzy?
O ja znam leki na różne niemoce,
Pójdę po zioła o porannej zorzy,
Będę was strzegła całe dni i noce.

TWARDOWSKI *(żywo).*

Jestżem ci miły?

DZIEDZILIA.

Za dobroć serdeczną
Jak was nie kochać — a toć ja wam wieczną
Ślubuję miłość.

TWARDOWSKI *(wybuchając).*

Posłuchaj dziewczyno:
Jam zmarnił życie dla nędznej mądrości,
Księgi mi były zabawą jedyną,
Nie znałem niewiast — nie znałem miłości.
Dziś po raz pierwszy zawrzało mi łono,
Tyś je zażegła miłością szaloną!

DZIEDZILIA.

Wy żartujecie...

TWARDOWSKI *(namiętnie).*

O nie! Bóg mi świadkiem,
Że tylko z tobą mogę być szczęśliwy.
Chcę być twym mężem.

DZIEDZILIA.

Chyba moim dziadkiem.
Twarz pomarszczona, krok chwiejny, włos siwy.
Późno na starość...

TWARDOWSKI.

Serce nie starzeje.

DZIEDZILIA.

Krew skrzepła w żyłach.

TWARDOWSKI.

Miłość ją rozgrzeje.

DZIEDZILIA.

Miłości w sercu nie wzbudzi siwizna.

TWARDOWSKI.

Gdy szczerze kocha, młodym jest mężczyzna.

DZIEDZILIA.

Lecz wy już starcem.

TWARDOWSKI *(z zapałem).*

Słuchaj, dziewczę moje,
Jam człek potężny, bez miary bogaty,
Dam ci pałace, przepyszne dam stroje,
Z pereł i złota utkam twoje szaty,
Dyamentami uwieńczę twe skronie,
Na twe skinienie, co zechcesz, się stanie,
Skiń, a natychmiast zasiądziesz na tronie,
Tylko mię kochaj!

DZIEDZILIA.

To próżne żądanie,
Rozkazać sercu nie zdoła nikt w świecie.
Starzec miłości nie wzbudzi w mem łonie.
Cóż mi po skarbach, które mi dajecie,
Co mi po strojach, po złocie, koronie,
Gdy już dotknięcie wasze mrozi lodem
I powstrzymuje mego serca bicie?

Gdybym was znała w waszem lecie młodem,
Tobym was mogła pokochać nad życie...
Lecz dziś nie mogę i dłużej tu z wami
Nie pozostanę.

TWARDOWSKI.

Dlaczego?

DZIEDZILIA.

Pytacie?...
Czyż mogę zostać? Powiedzcie to sami!
Ja was miłuję, mój ojcze! mój bracie!
Lecz choć cyganka, zbyt wielce cześć cenię,
Dla niej bezpieczne porzucę schronienie.
Bywajcie zdrowi!

TWARDOWSKI.

Dziedzilio! Litości!
Jam tak nieszczęsny, samotny, sierocy,
Czarne zwątpienie w moim domu gości,
Dolę mą ciężką odmienić w twej mocy.
Kwiatku nadobny, co nagle się jawisz
W czarnej pustyni mojego żywota,
Czyż mię ostatniej pociechy pozbawisz?
Zostań! *(Chce ją zatrzymać).*

DZIEDZILIA *(wyrywając się).*

O nie! Nie!

TWARDOWSKI.

Chcesz, by mię tęsknota
Zabiła?!

DZIEDZILIA.

Umrę, lecz tu nie zostanę.

TWARDOWSKI *(z uniesieniem).*

Umrzyjmy razem!

DZIEDZILIA *(z przestrachem).*

Nie, nie! żyć tak miło.

TWARDOWSKI *(z boleścią).*

Ledwie mi słońce zabłysło nieznane,
A już w powodzi chmur czarnych się skryło.
Roiłem szczęście, a w sroższą niedolę
Popadłem!

DZIEDZILIA.

Niechże w tej rozstania chwili
Me pożegnanie na czole wam złożę.
(Twardowski klęka, Dziedzilia oplata go ramionami i przeciągły pocałunek na czole składa).
A pamiętajcie o biednej Dziedzilii.
(Wybiega spiesznie środkowemi drzwiami).

SCENA ÓSMA.

TWARDOWSKI *potem* MACIEK.

TWARDOWSKI *(klęczy przez chwilę w osłupieniu, potem zrywa się i chwyta za czoło).*

Ha, jakiż ogień — jakie dziwne żary
Palą — a zamęt głowę mi ogarnia.
Mieć ją i stracić, jakaż to męczarnia!
Miłość — och miłość!! *(Pauza).*
Dobrze ci tak stary
Głupcze — gdy mogłeś, nie użyłeś świata.
(Po chwili namysłu).
Lecz nie!... Czyż nie mam nadziemskiej potęgi,
By zgasić płomień, co duszę mą pali?
Ziemskie poruszę i piekielne kręgi!

Maciek! hej! Maciek! — I dopnę swojego
Zamiaru. *(Woła).* Maciek!

MACIEK *(wchodzi zaspany).*

A tam znowu czego?

TWARDOWSKI.

Maćku! Wiem o tem, żeś mi jak pies wierny,
Żebyś mi życia nie szczędził w potrzebie.
Maćku! *(Obejmuje go).*
Mój synu! Żądam dziś od ciebie
Przysługi wielkiej, przysługi niezmiernej!

MACIEK *(rozrzewniony).*

Dyć jeno mówcie — choć karku nadstawić,
Choćby iść w piekło! Uczynię, co chcecie.

TWARDOWSKI.

Słuchaj, ty jeden potrafisz mię zbawić;
Co masz uczynić, powiem ci w sekrecie.
Jeśli dopełnisz mego zalecenia,
Zrobię cię możnym i wiosek dam kilka.
Pójdź! pójdź! Nie mamy czasu do stracenia.

(Bierze go pod rękę i powadzi do swej izby. Po chwili silna błyskawica i grzmot gwałtowny; dyabeł ukazuje się z pod ziemi).

DYABEŁ *(z uśmiechem szyderskim).*

Nosił wilk owce, ponieśli i wilka! *)

*) Na tem kończy się przypuszczalnie *Prolog* sztuki, z której pozatem pozostało kilka naszkicowanych (wierszem i prozą) scen pierwszego aktu oraz dyspozycya dalszego rozwoju akcyi.



JAN III POD WIEDNIEM

SZKIC HISTORYCZNY W 6 AKTACH

ZAKOŃCZONY OBRAZEM

»PRZESŁANIE CHORĄGWI MAHOMETA DO RZYMU«.

SZTUKA ODZNACZONA NA KONKURSIE KRAKOWSKIM W 1883 R.

OSOBY.

JAN III.
MARYA KAZIMIERA, jego żona.
STANISŁAW JABŁONOWSKI, hetman wielki koronny.
HIERONIM SIENIAWSKI, hetman polny koronny.
KAZIMIERZ JAN PAWEŁ SAPIEHA, hetman w. litewski.
ANDRZEJ POTOCKI, kasztelan krakowski.
RAFAŁ LESZCZYŃSKI, krajczy koronny.
STANISŁAW LUBOMIRSKI, marszałek wielki koronny.
WŁADYSŁAW DENHOFF, wojewoda pomorski.
ANDRZEJ MORSZTYN, podskarbi w. koronny.
} senatorowie.
FERDYNAND WALDSTEIN, poseł cesarza.
PALLAVICINI, nuncyusz papieski.
MARKIZ DE VITRY, poseł francuski.
ROMAN RUSZCZYC
DAMIAN SZUMLAŃSKI
} rotmistrze hussarscy.
JAKÓB ZALESKI.
WINNICKI, dworzanin króla.
STASZEK Z POD KRAKOWA.
JANEK
MACIEJ
MAGDA
KASIA
} Mazury.

STRAŻ NADWORNA. — WŁOŚCIANIE. — JEŃCY TURECCY.

Rzecz dzieje się w Wilanowie.



AKT I.

ODDZIAŁ PIERWSZY.

ZA WIARĘ!

Półkolisty pałac willanowski zajmuje cały głąb sceny. Lewa połowa od środkowej bramy już zupełnie wykończona. Prawa otoczona rusztowaniem przy murze, wzniesionem o parę sążni nad poziom. Jeńcy tureccy, jedni na rusztowaniu murują, inni podają cegłę lub zwożą taczkami materyał. Na przodzie sceny włościanie willanowscy obojej płci pracują koło urządzenia ogrodu, sadzą, gracują i t. p.

SCENA PIERWSZA.

JEŃCY TURECCY. — JANEK. — STASZEK. — MACIEJ. — MAGDA *i inni. Później* WINNICKI.

CHÓR JEŃCÓW.

O Salem Allach Kerim!
O Salem Bismillach!
Ejlik ejle denyze
Brak bałyk Bilmesse
Chalik bilur!

JANEK.

Słyszycie? juz pogany wyją!

MAGDA.

Modlą się do swego Jancykrysta, zeby nas zgubić. Jaze skóra cierpnie słuchać tego śpiewania.

MACIEJ.

Ho, ho, nasłuchałem ja się tego piekielnego śpiewu, kiedym był przy piechocie na wojnie pod Zurawnem. To oni codzień, raniutko i wiecór, tak carują po swojemu, zeby wytracić katolicki naród.

STASZEK.

A to im nie dajwa ryceć. Zaśpiewam o królu Sobku, a wy chłopcy i dziewuchy dopomagajcie co sił, zeby do krzty zagłuszyć.

(Śpiewa).

Z Willanowa hej dziewucha,
Z Siekierek parobek,
Niemas ci to w świecie zucha,
Jako nas król Sobek!

Bijał ci on psy pogany,
Jaz ich dyabli brali,
Więc go za to ślachta, pany
Królem obierali.

(Obadwa chóry równocześnie śpiewają, usiłując przemódz się nawzajem. Staszek zniecierpliwiony, z podniesioną motyką biegnie na Turków, którzy, pochwyciwszy narzędzia murarskie, stają w obronnej postawie — włościanie za Staszkiem).

STASZEK.

Stulcie gęby pogańskie syny, bo je wam motyką zawrę!

WŁOŚCIANKI *(przestraszone).*

Gwałtu! reta! jesce się pozabijają!

WINNICKI *(wchodząc).*

Milionset bisurmanów! co to jest! *(Wszyscy opuszczają narzędzia, jeńcy zwracają się do roboty, włościanie idą na przód sceny).*

MACIEJ *(kłaniając się czapką do kolan).*

Z przeproseniem pana Marsiałka, te bestyje pogany jakieś dyabelskie wyprawują śpiewy, więc my im znów o nasym królu zaśpiewali, zeby nie wrzesceli.

WINNICKI.

Chcieliście ich uspokoić motykami!? Jak wy śmiecie przed pałacem królewskim wyprawiać bitki?!

STASZEK.

Dyć przecie ich i sam jaśnie król setnie bijał, to cózby się miał na nas gniewać?

WINNICKI.

Co królowi wolno, to wam wara chłopy! Daleko wam do króla!

STASZEK.

O ba, my wiemy, ze daleko, ale i to wiemy, ze jasny król Turków nie lubi, ale na nas chłopów jest bardzo dobry, bo choć taki pan, to się nie wstydał hulać w Jaworowie na weselisku z kowalichą, a jesce sam stanął przed muzyką i śpiewał:

A skądześ ty — z Jaworowa
A cyjaś ty — kowalowa,
Kowalowa z końca,
A pójdze do tańca!

WINNICKI.

A tyś skąd mądralo?

STASZEK *(kłania się).*

Ja od Krakowa.

MACIEJ.

Toć zaraz poznać, żeś krakowski zabijak, bo się pierwszy na Turków porwał. Krakowiacy zawdy pierwsi do bitki.

STASZEK.

Bo nam okrutnie markotno, ze taki uczciwy król a kaze sobie poganom pałac stawiać; bo to nas niema?

MAGDA.

Jesce niewiary ocarują mieskanie królewskie i sprowadzą niescęście.

WINNICKI.

Jak pałac poświęcą, to ich czary nic nie zaszkodzą.

STASZEK.

Poświęciłbym ja ich, ale cepami po łbie — kieby nas tak król posłał na wojnę, tobyśmy ich dopiero święcili.

WINNICKI.

Jaki mi chwat do wojny?! Jakby bisurmany raz krzyknęli: Ałła! tobyś ty pierwszy drała!

STASZEK.

A bo ja to Mazur, co nawet babie nie dotrzyma placu, a jeno kuzdy od swojej po gębie bierze?

KASIA *(śmiejąc się).*

Co to — to prawda. I stary Maciej, choć na wojnie bywał, a przecie od Maciejowej nieraz tęgo bierze po cuprynie.

WINNICKI.

Wojna niedługo będzie; weźmiemy was do piechoty, a wtedy pokaże się kto lepszy: Mazur czy Krakowiak. No, teraz usuńcie się, bo król jegomość wkrótce tu przyjdzie.

(Włościanie odchodzą w głąb, a na znak Winnickiego Turcy schodzą z rusztowania i idą za kulisy).

SCENA DRUGA.

WINNICKI. — RUSZCZYC. — SZUMLAŃSKI.

RUSZCZYC.

Czołem mości Winnicki. Cóż to, nie poznajesz waszmość Ruszczyca?

WINNICKI.

A! pan Roman. Witajcież z Bogiem.

SZUMLAŃSKI.

Czołem mości trefnisiu królewski!

WINNICKI.

Ho, ho, panie Damianie, już trefnisiowska korona na kołku zawieszona.

SZUMLAŃSKI.

Co waść pleciesz — przecież król swego Winnisia tak lubi.

WINNICKI.

Król to prawda, ale królowa ani tyle. Dyabeł mię podkusił jakieś grafiątko francuskie, a wielkiego ulubieńca miłościwej pani, osadzić zamiast kury na gnieździe, żeby w zimie dla króla kurczęta wysiady-

wało. Król trzymał się za boki od śmiechu, ale królowa w aprehenzyi mało nie omdlała. Więc miłościwy pan, dla usunięcia waporów niewieścich, rzekł mi: »Winniusiu, nie pokazuj się na pokojach, żebyś zaś przez to krzywdy nie doznał, mianuję cię Wielkim Wezyrem Turczynów, którzy mi pałac stawiają«. Otóż tak wyszedłem na dygnitarza tureckiego.

SZUMLAŃSKI.

Dobrze waszmości tak! nie zaczynaj z babami, a jeszcze z królową, która nie tylko króla, ale cały świat rada wpakować pod swój pantofelek.

WINNICKI.

Ale jakaż to szczęśliwa konstellacya waszmość panów na dwór sprowadziła?

SZUMLAŃSKI.

Ordynans królewski.

RUSZCZYC.

I moje nieszczęście.

WINNICKI.

Pewnie takie nieszczęście, że waszmość masz zaślubić pannę Zofię Zaleską, a tu wojna na karku.

RUSZCZYC.

Więc jeszcze nie doszła was wieść o strasznym gwałcie, jakiego dopuścili się Tatarzy na rodzinie Zaleskich? W same Zielone Święta gromada pohańców napadła nadgraniczny dwór podkomorzego; zabudowania spalili, jego zamordowali, Zofię porwano, a matka cudem ocalała. Przyjeżdżam więc prosić króla, aby mię zwolnił ze służby: pojadę na Tatarszczyznę,

choćby do samego hana, aby wydobyć z niewoli nieszczęsną sierotę.

WINNICKI.

Trudno to będzie, miły rotmistrzu, aby król chciał się pozbawić tak dzielnego ramienia, chyba że do wojny z bisurmanem nie przyjdzie.

SZUMLAŃSKI.

Jaktoby nie przyszło? Wszak traktat z cesarzem zawarty o wzajemną pomoc; Turcy, jak wieści dochodzą, zbliżają się ku Wiedniowi, a nas tu miłościwy pan zawezwał, aby nam wskazać miejsce, gdzie się stawić mamy z naszemi chorągwiami.

WINNICKI.

Ba! Waszmoście siedzicie daleko i nie wiecie, co się tu dzieje; dziś pogoda, jutro deszcz — dziś wojna, jutro pokój.

SZUMLAŃSKI.

Któżby się chciał sprzeciwić, jeżeli król chce wojny?

WINNICKI.

Waszmość prawisz, jakgdybyś był jaki zamorzec, a nie wiedział, że w Polsce, jak kto chce. Król aż drży do wojny, ale przecie wiadomo, że nie miłościwy pan rządzi, ale wielkie panięta, co mu na każdym kroku okoniem stawają i niweczą najpiękniejsze zamiary.

RUSZCZYC.

Ale któżby nie pragnął wojny z nieprzyjacielem krzyża świętego a naszym wrogiem? Kto jej przeszkadza?

WINNICKI.

Kto? Król arcychrześcijański Ludwik XIV, który śmiertelnie nienawidzi cesarza i radby na gruzach jego swoją zbudować potęgę; więc różne Francuziska, a głównie jego poseł, ten suchy i gwałtowny markiz Vitry, wszędzie intrygują, sypią złotem na wszystkie strony, aby zerwać z cesarzem a sprzymierzyć się z Turkiem i wspólnie na Austryę uderzyć.

SZUMLAŃSKI.

Niedoczekanie jego, żeby tego dokazał. A zresztą królowa niecierpi Ludwika, bo jej jakieś afronta wyrządził, więc i ona poprze sprawę cesarza i wojnę z bisurmanami.

WINNICKI.

Ba! co u niewiasty w myśli, to i dyabeł, chociaż tak mądry, nie odgadnie, skoro ją wysyła tam, gdzie sam nie może.

RUSZCZYC.

Cóż więc czynić mamy.

WINNICKI.

Czekać. Dziś wielka rada senatorów; tu zbierają się w Willanowie, a Miłościwy pan daje posłuchanie nuncyuszowi apostolskiemu, posłom francuskiemu i cesarskiemu, więc się może i dziś wyklaruje. Nadzieja w Bogu, mości rotmistrzu, a głowa do góry. Pójdźcie do mnie na butelkę węgrzyna — wkrótce się wszystkiego dowiemy.

(Odprowadza ich na lewo za kulisy i gdy ma wychodzić, Zaleski woła na niego).

SCENA TRZECIA.

WINNICKI. — ZALESKI.

ZALESKI.

Hej! Mości dworzaninie na słówko!

WINNICKI.

A czegóż to waszmość żądasz?

ZALESKI.

Powiedz mi waszmość, czy nie mógłbym się widzieć z królem jegomością?

WINNICKI.

Tylko tyle? — wątpię, żeby się to udało, bo król niema czasu.

ZALESKI.

Jakto, niema czasu? Dla szlachcica, co go obrał królem, musi mieć czas!

WINNICKI.

Gdyby król każdego szlachcica, co go obierał, musiał przyjmować, toby mu żywota nie starczyło. Zresztą możesz tu waszmość zaczekać, to może króla zobaczysz.

ZALESKI.

A waszmość, panie bracie, nie mógłbyś mię do króla zaprowadzić?

WINNICKI.

Ten urząd nie do mnie należy. Szukaj waszmość kogo innego. Kłaniam.

(Odchodzi za Szumlańskim i Ruszczycem).

SCENA CZWARTA.

ZALESKI *potem* KRÓL.

ZALESKI *(patrząc za nim).*

A to chmyz; dlatego, że u dworu się wiesza, to już butniejszy od samego króla. Ba, gdyby to nie pod bokiem królewskim, tobym ci kordem pokazał, jak mówić do szlachcica. Ot znowu idzie jakiś; ten ma przyjemniejszą fizys, może z nim łatwiej trafię do końca.

KRÓL.

(wchodzi z lewej strony, w szarym kontuszu a perłowym żupanie i czapce, przypatruje się drzewkom, sadzonym przez włościan — a później zwraca się ku pałacowi i spostrzega Zaleskiego, który mu drogę zastępuje).

ZALESKI *(skłaniając lekko głowę).*

Czołem waszmość panu!

KRÓL.

Waszmość widzę nie tutejszy; a cóż was do Willanowa sprowadza?

ZALESKI.

Przyjeżdżam z województwa rawskiego do naszego króla Sobka. Czy nie zaprowadziłbyś mię waszmość do niego?

KRÓL.

Jestem dworzaninem królewskim. Opowiedz mi, po co przyjeżdżasz, a ja zmiarkuję, czy co wskóracie u króla Sobka.

ZALESKI.

Waszmość mi się podobasz, bo wyglądasz na uczciwego człowieka. Otóż, panie bracie, jestem Jakób

Zaleski, a choć urzędu nie piastuję, ale mam dwóch synów: Piotr jest towarzyszem w chorągwi nadwornej, Roch, w chorągwi królewicza Aleksandra.

KRÓL.

Znam ich obu — dzielne chłopaki.

ZALESKI.

A widzisz waszmość. Otóż przyjechałem, aby z ich pomocą starać się u króla o ratunek.

KRÓL.

W jakiej sprawie?

ZALESKI.

Na dwór mego brata, podkomorzego halickiego, tuż przy tureckiej leżący granicy, napadli Tatarzy, pomimo że wojny niema.

KRÓL.

Wiem o tem nieszczęściu. N. Pan już zażądał tłumaczenia od Baszy Kamienieckiego.

ZALESKI.

A dyabli mi tam po tłumaczeniu. Niech bisurman się nie tłumaczy, ale córkę odda i szkody nagrodzi.

KRÓL.

A jeżeli król tego dokazać nie potrafi?

ZALESKI.

Król wszystko potrafi, bo od czegóż zrobiliśmy go królem? Niechaj raz potężnie skroi kurtę bisurmanom i złamie tę potęgę, która coroku tuczy się naszą krwią i łzami; a nikt tego nie potrafi, tylko król Sobek.

KRÓL.

A jeżeli król odmówi waszmości pomocy?

ZALESKI *(z gniewem)*.

Co? Nie ujmie się za sierotą, nie pocieszy wdowy?!

KRÓL *(z uśmiechem)*.

No, no, nie sierdź się waszeć tak bardzo na króla: dziś jest zajęty, ale ja mu rzecz całą opowiem, a jutro czy pojutrze poznajomię was z królem Sobkiem.

ZALESKI.

Zgoda — a jeżeli mi panie bracie dobrze sprawicie interes, to was utraktuję takim petercymentem, co jeszcze króla Władysława IV pamięta. *(Odchodzi)*.

SCENA PIĄTA.

KRÓL *potem* KRÓLOWA.

KRÓL.

Dziś więc ostateczna rozprawa. Za chwilę rozstrzygną się losy teraźniejszej wojny. Ciężki bój trzeba stoczyć, lecz w Bogu nadzieja, że nas nie opuści.

KRÓLOWA *(wchodzi z pałacu)*.

Tak późno wracasz z przejażdżki?

KRÓL.

Zawsze zapóźno, aby ucałować śliczne rączki najśliczniejszej Marysieńki. *(Chce ją pocałować w rękę)*.

KRÓLOWA *(usuwając rękę)*.

Na to jeszcze dość czasu: pilniejsze mamy dziś sprawy. Wszak przed przyjęciem posłów i senatorów należało nam się naradzić.

KRÓL.

Jedyna duszy i serca pociecho, dajmy pokój naradom, a pozwól się zapytać, jak przepędziłaś noc?

KRÓLOWA *(nie odpowiadając)*.

A więc koniecznie chcesz iść na pomoc cesarzowi?

KRÓL.

Gdy dom sąsiada gore, trzeba go ratować, ażeby się i nasz przy tej okazyi nie zażegł.

KRÓLOWA.

Skądże tak wielki affekt dla cesarza, który nas jakby swoich lenników traktuje?

KRÓL.

A skądże tak wielka zmiana w sentymentach mojej Afrodyty? Niedawno sprzyjałaś cesarzowi całą duszą. Wszak podczas ostatniego sejmu pani moja gorąco starała się, aby uchwalono pobory na zaciąg wojska. Byłaś przeciwną projektom francuskim, chcącym przeszkodzić zawarciu traktatów z cesarzem — a dziś, jak uważam, wiatr wieje znowu przeciwko Wiedniowi.

KRÓLOWA.

Starałam się, bo wiedziałam, że traktat z cesarzem dotknie do żywego Ludwika XIV, który mię tak ciężko obraził. Ale wczoraj otrzymałam od Vitrego bardzo ważne wiadomości. Król Ludwik ukorzył się przed królową Maryą Kazimierą...

KRÓL.

Zapewne jej bardzo potrzebuje.

KRÓLOWA.

A chcąc wynagrodzić dawną winę, przyrzekł ojca mojego mianować księciem i parem, a co najważniejsza, naszego Jakóba na węgierskim tronie osadzić i po tobie jego elekcyę na króla polskiego całemi poprzeć siłami.

KRÓL.

I za to żąda ten król arcychrześcijański?...

KRÓLOWA.

Abyś z cesarzem zerwał, a z sułtanem zawarł przymierze.

KRÓL.

Abym wydał chrześcijaństwo na łup bisurmanów, cześć moją splamił i na wieki duszę zatracił.

KRÓLOWA.

Gdzie idzie o sprawy państwa, tam nie należy poddawać się sentymentom.

KRÓL.

Tego nie uczynię, pociecho duszy mojej. Zresztą mam ja dawne obrachunki z Turczynem; krew dziada, wuja i rodzonego brata dotąd nie pomszczona. Mnóstwo poległego rycerstwa, tysiące tysięcy ludu pobranego w jassyr, spustoszone włości i wydarte ziemie wołają wojny. Krzywd Polski ja będę mścicielem!

KRÓLOWA *(na wpół z szyderstwem).*

Godne pochwały są zamysły mojego Achillesa; oby im tylko panowie senatorowie nie stanęli na poprzek, a jak mię wieści dochodzą, bardzo się odgrażają.

KRÓL.

Duszo moja jedyna, uniżenie cię proszę, abyś się chciała miarkować a nie dawała ucha ludziom, którzy twoją śliczną główkę turbują, a mnie przykrości i zgryzoty przynoszą. Nie mówmy o tem dłużej, a czekajmy cierpliwie końca; wkrótce się rada rozpocznie, to się wszystkiego dowiesz.

KRÓLOWA.

Przegrasz wasza królewska mość. Najpierwsi senatorowie do francuskiej partyi należą i nie licz na ich pomoc.

KRÓL.

Liczę na pomoc Wszechmocnego i na moje ramię. *(Odchodzi nagle do pałacu).*

SCENA SZÓSTA.

KRÓLOWA *potem* VITRY i MORSZTYN.

KRÓLOWA.

Rozgniewał się Janeczek — bom też zbyt nagle wbrew jego chęciom wystąpiła. Wojna z Turkami to jego żywioł, subtelnej polityki nie zna, a tylko szablą rozcinać chce trudności. Napróżno starał się wszystkie mocarstwa europejskie na krucyatę wyciągnąć; gdy go to zawiodło, chce iść sam. Nic z tego nie będzie, mój rycerz nie sprzeciwi się mej woli, bo zbyt we mnie rozmiłowany.

VITRY *(wchodząc z Morsztynem, kłania się nisko królowej).*

Wolnoż zapytać W. K. Mość, czy raczyłaś Najjaśniejszemu Panu o zamiarach mojego monarchy wspomnieć?

KRÓLOWA.

Zapewnij panie markizie swego króla, że nie napróżno ufność swoją we mnie położył.

VITRY.

A więc Najjaśniejszy Król skłania się?

KRÓLOWA.

Do niczego się jeszcze nie skłania. Wszystko rozstrzygnie się dziś na posłuchaniu; króla przygotowałam — przedstaw mu tylko markizie gorąco korzyści francuskich planów, a niech je poprą senatorowie, przez ciebie zjednani.

MORSZTYN.

Poparcie będzie silne, lecz najsilniejszego użyczyć może tylko Wasza Królewska Mość.

VITRY.

Jeżeli życzenia mojego króla spełnią się, jeżeli za twym wpływem, Najjaśniejsza Pani, i dom Habsburgów poniżonym zostanie, to wielki mój król również obietnic swoich dotrzyma. Tymczasem polecił mi złożyć u stóp Waszej Królewskiej Mości ten dziś nadesłany dyplom na księcia i para Francyi dla najdostojniejszego Markiza d'Arquien. *(Klęka i wręcza pergamin).*

KRÓLOWA *(starając się ukryć radość).*

Podziękuj markizie twemu monarsze za ten dowód życzliwości i zapewnij, że go potrafię odwdzięczyć. *(Odchodzi).*

MORSZTYN.

Cudów dokazałeś Markizie zwyciężeniem waszej najzawziętszej nieprzyjaciółki.

VITRY.

Gdy ją mamy po sobie, szydzę z wojennych zamysłów króla rębacza.

MORSZTYN.

Nie szydźcie zawczasu Markizie; król uległy żonie w drobnych sprawach, gdzie idzie o wiarę i wojnę z Turczynem, złamać się nie da tak łatwo.

VITRY.

To już do mnie należy. Ambicya i złoto cudów dokazują. Usuńmy się — senatorowie nadchodzą. *(Odchodzą w głąb na lewo).*

SCENA SIÓDMA.

(Z lewej strony z przodu wchodzą senatorowie: Stanisław Jabłonowski, Jan Paweł Sapieha, Stanisław Lubomirski, Andrzej Potocki, Hieronim Sieniawski, Władysław Denhoff, Rafał Leszczyński i kilku innych).

JABŁONOWSKI.

Król nas zaprosił dla wysłuchania nuncyusza i hrabiego Waldsteina, posła cesarza Leopolda. Jestem pewny, że idzie o przyspieszenie odsieczy, bo już potęga mahometańska oblega Wiedeń.

SAPIEHA.

Niech go oblega i zdobędzie, co nam do tego — myślmy raczej o sobie.

SIENIAWSKI.

Mości hetmanie, zawarliśmy traktat z cesarzem i przyrzekli wzajemną obronę. Nie dziś przeszkody robić, ale trzeba jaknajprędzej wyruszyć w pole.

LUBOMIRSKI.

Ja się całą siłą sprzeciwiam tej nieszczęsnej wyprawie! Niezliczone wojska sułtańskie lada chwila zdobędą stolicę cesarską, a pokonawszy nieliczne zastępy Niemców, na nas się rzucą całą potęgą.

SAPIEHA.

Gdy hetmani i senat się sprzeciwi, król nie pójdzie na wojnę, bo nie »*absolutum dominium*«, ale złota wolność rządzi rzeczpospolitą. Nie jesteśmy niewolnikami, ale wolnym narodem!

SCENA ÓSMA.

DAWNI. — WINNICKI. — KRÓL. — KRÓLOWA *i kilku panów.*

WINNICKI *(melduje).*

Najjaśniejsi Państwo! *(Usuwa się w głąb. Oddział straży nadwornej wchodzi i zajmuje miejsce po obu stronach bramy pałacowej. Król i królowa wchodzą i stają na przodzie po prawej stronie. Za niemi dworzanie — senatorowie po lewej naprzeciw królestwa ustawiają się rzędem).*

KRÓL.

Nuncyusz papieski i poseł cesarza Leopolda wieczorem wczoraj przybyli i proszą o posłuchanie. Nie czas na uroczyste przyjęcia — więc zaprosiłem was tutaj, panowie senatorowie, abyście wraz z nami wysłuchali poselstwa. *(woła w głąb)* Wprowadzić posłów! *(Obydwaj szybkim krokiem wchodzą i rzucają się na kolana przed królem).*

SCENA DZIEWIĄTA.

DAWNI. — NUNCYUSZ PALLAVICINI i HR. WALDSTEIN, *później w głębi ukazuje się* VITRY.

WALDSTEIN.

Królu, ratuj Wiedeń!

NUNCYUSZ.

Ratuj chrześcijaństwo!

KRÓL.

Powstańcie, dostojni panowie.

WALDSTEIN.

Oblężony od miesiąca Wiedeń napróżno stawia rozpaczliwy opór niezliczonym hordom sułtana — wróg niszczy miasto ognistemi kulami! Hordy Tatarów palą wsie, kościoły i klasztory, mordują mieszkańców, a młódź tłumami pędzą w jassyr. Waleczny Stahremberg broni do upadłego Wiednia, ale nie zdoła się utrzymać! Książe Lotaryński nie ma sił dostatecznych. Ratuj nas waleczny królu!

NUNCYUSZ.

Ojciec święty wzywa każdego katolika, którego serce miłość Chrystusa napełnia, aby spieszył walczyć za wiarę. Stolica cesarska zagrożona. Waleczni rycerze polscy ratujcie Wiedeń, aby nie doznał losu Konstantynopola.

KRÓL.

Trudność zgromadzenia tak wielkich sił nie dozwoliła mi wcześniej ruszyć w pochód. Lecz wracaj hrabio i donieś księciu Lotaryńskiemu, że nie tylko wyślę jak najprędzej wojska, ale sam przybędę stanąć na ich czele.

WALDSTEIN.

Każda chwila jest dla nas drogą — spieszę z tą nowiną radosną. *(Odchodzi w głąb na lewo).*

KRÓLOWA.

Najukochańszy mężu mój i panie, czy nię za skwapliwie obiecałeś swoje przybycie? Senatorowie są wojnie niechętni, a hetmani jeszcze wojsk nie zebrali.

SIENIAWSKI.

Moje stoją pod Krakowem i każdej chwili do marszu gotowe.

SAPIEHA.

Lecz i przed miesiącem się nie zbiorą.

MORSZTYN.

Zważ miłościwy królu, że termin paktów żurawińskich, uroczyście zaprzysiężonych, jeszcze nie upłynął; nie możemy łamać traktatów.

NUNCYUSZ.

Ojciec święty rozwiąże traktat i od przysięgi was uwolni.

SAPIEHA.

Papież Eugeniusz IV. uwolnił od przysięgi syna Jagiełły, a jednak to złamanie traktatów Władysław pod Warną życiem przypłacił.

ANDRZEJ POTOCKI.

Nie słuchaj panów opornych, Miłościwy Panie; niechaj zostaną, ale my w obronie Krzyża Świętego i Chrześcijaństwa wszędzie za tobą pójdziemy.

SAPIEHA.

Skąd powód do wojny, jeżeli Turczyn z nami w pokoju?

MORSZTYN, SAPIEHA, LUBOMIRSKI.

Tak jest, nie masz przyczyny!

KRÓL *(z uniesieniem).*

Nie masz przyczyny? Kto śmie to mówić?! Czy Kamieniec wydarty? Czy jęczące w jarzmie pogańskiem Podole i Ukraina odzyskane? Czy ruiny spalonych grodów i spustoszonych włości nie wołają o pomstę?! Kto mówi, że niemasz powodu? Czy te pola bielejące kośćmi najdzielniejszych rycerzy? Czy tysiące tysięcy ludu zabranego w jassyr? Czy wreszcie ta nieszczęsna ziemia, której, gdybym garść ścisnął w ręku, żywaby krew z niej pociekła — czyż to wszystko za powód nie starczy?! Zaiste, gdybym nie wiedział, gdzie i z kim mówię, sądziłbym, że nie Chrześcijanie, nie Polacy, ale bisurmanie tu radzą. *(Szmer między senatorami).*

KRÓLOWA *(cicho do męża).*

Na Boga, czy ich chcesz do otwartego rokoszu doprowadzić?

WINNICKI.

Najjaśniejszy Panie — poseł francuski o posłuchanie prosi.

KRÓL.

Niech wejdzie!

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI. — VITRY.

VITRY.

Miłościwy Królu! Otrzymałem przez nadzwyczajnego kuryera bardzo ważne wiadomości z Paryża,

które mi rozkazano W. Królewskiej Mości zakomunikować. Poseł cesarski, hr. Caprara, dokłada wszelkich starań, aby się burza turecka na Polskę zwróciła. Monarcha mój sądzi, że wobec takiego postępowania należy zerwać traktat z cesarzem.

KRÓL.

Nie składajmy winy na cesarza, skoro mu zbyt gorliwy dworak źle usłużył.

VITRY *(podaje papiery królowi).*

Król Ludwik XIV. polecił mi wręczyć te dowody przewrotności ministra. Cesarze niemieccy zagarnęli oddawna Czechy, dziś podbijają Węgry, a jeżeli teraz pokonają Turków, któż im zabroni sięgnąć po Polskę?

JABŁONOWSKI.

Zaiste, wielkie światło rzuca monarcha francuski na dzisiejsze sprawy.

VITRY.

Drugi raz nie nadarzy się sposobność tak pomyślna odzyskania utraconych prowincyi. Niech stanie przymierze między Polską, Turcyą i Tekelim, wodzem rokoszanów węgierskich, i niech wspólnemi siłami alianci na Niemcy uderzą. Cesarz nie zdoła się oprzeć takiej potędze i zwyciężony ustąpi z tronu, na którym przerażeni elektrowie mojego króla osadzą. Za jego wdaniem się sułtan zwróci Kamieniec i ziemie zabrane i zawrze z Polską wieczysty sojusz przeciwko Moskwie, dla obydwóch państw groźnej, a nadto wydarty Piastom Szląsk do korony polskiej powróci.

SAPIEHA.

Zbawienna rada, której usłuchać trzeba!

KRÓLOWA.

Postępowanie hrabiego Caprary uwalnia nas od wszelkich traktatów z cesarzem, a projekt króla francuskiego zapewnia korzyści i dowodzi życzliwości tego potężnego monarchy. *(Stronnicy francuscy potakują).*

KRÓL.

Markizie Vitry, może nam jeszcze innych dokumentów życzliwości twego Monarchy dostarczysz i tym sposobem panów senatorów na jego stronę przeciągniesz? *(Pauza)* Nie? A więc ja cię wyręczę. *(Wydobywa pakiet)* Oto korespondencye ministrów króla Ludwika z markizem Vitry i Andrzejem Morsztynem, wielkim podskarbim koronnym. *(Powszechne zdziwienie — Vitry i Morsztyn przerażeni).* Markiz wymienia w swych listach, że najpierwszych panów na partyzantów przerobił. *(Spogląda po senatorach).* Markiz ubliża czci najjaśniejszej naszej małżonki, twierdząc, że ją dla planów Ludwikowych płonnemi obietnicami pozyskał.

KRÓLOWA.

To kłamstwo! haniebne oszczerstwo!

JABŁONOWSKI.

Ohydna potwarz! Uwięzić intryganta!

KRÓL.

Markiz nakoniec pisze do swego monarchy, że stan mego zdrowia zdesperowany, a na to otrzymuje odpowiedź, że trzeba zmusić do abdykacyi Jana Sobieskiego, a na jego miejsce obrać Jabłonowskiego, Lubomirskiego lub Sapiehę!

JABŁONOWSKI, LUBOMIRSKI, SAPIEHA.

Kłamstwo! potwarz!

KRÓLOWA *(oburzona).*

A więc to taka przyjaźń króla francuskiego?! Więc poseł francuski dopuścił się zamachu stanu?!

LUBOMIRSKI.

Życiem twem zapłacisz za intrygi i oszczerstwa twojego dworu.

VITRY.

Każdemu, kto zażąda, dam satysfakcyę i dowiodę, że nie sam działałem.

KRÓL.

Markizie de Vitry, opuścisz natychmiast Warszawę, a swemu panu powiesz, że Sobieski dla największych korzyści ziemskich słowa swojego nie złamie. Powiedz mu, że życie moje mizerne do Chrystusa należy, że Polacy pospieszą na pomoc cesarzowi i niema między nami nikogo, coby inaczej myślał.

JABŁONOWSKI I SENATOROWIE.

Tak! Tak! Precz z markizem! Do ostatniej kropli krwi będziem walczyć z Turczynem!

KRÓL *(cicho do królowej).*

Widzisz najmilsza marysieńko, jak się Ludwik ukorzył przed tobą *(do Morsztyna)* Waszmość złożysz urzędy i opuścisz kraj. O konszachty francuskie nikogo nie obwiniam i nie chcę wiedzieć, kto do nich należał. Mości panowie w Imię Boże pod Wiedeń!

WSZYSCY.

Pod Wiedeń! Niech żyje król!

KONIEC ODDZIAŁU PIERWSZEGO.

ODDZIAŁ DRUGI.

OBLĘŻENIE.

OSOBY.

ERNEST HRABIA RÜDIGER STAHREMBERG, gubernator Wiednia.
KS. LEOPOLD KOLONITS, biskup z Wiener-Neustadt.
ZDENKO KAPLITZ, jenerał wojsk cesarskich.
ANDRZEJ LIEBENBERG, burmistrz wiedeński.
HÜTTENDORF
EICHBÜCHEL } rajcy miejscy.
BRAUN, adjutant Stahremberga.
AMBROS FRANK, kapitan milicyi miejskiej.
JERZY KULCZYCKI, kupiec towarów lewanckich.
GOLDSCHMIDT
WOLFGANG
BURGHAUSER
REICH } bogaci mieszczanie.
HANS PIERGEL, restaurator »Pod złotą sroką«.
NANI
PEPI } jego córki,
MEGERLE, rzeźnik
KNOLL, piekarz
KLANG, murarz
SCHWALBE, stolarz
ZWIRN, krawiec
KRAFT, blacharz
FLECK, szewc } rękodzielnicy z milicyi miejskiej.
PANI GEISBERG, grajzlerka i markietanka.
JANOS, wędrowny olejkarz.

Rzecz dzieje się w Wiedniu, w samym początku września 1683.

Teatr przedstawia ogródek przy restauracyi Hansa. Cały głąb sceny zajmuje bastyon, najeżony armatami, około których stoją żołnierze na straży. Po prawej w głębi mały parterowy budynek (gospoda). Po bokach sceny stoły i stołki, porozstawiane jak najbliżej kulis, żeby w środku więcej miejsca pozostało.

SCENA PIERWSZA.

(Na przodzie sceny kapitan Frank mustruje ochotników; w pierwszym szeregu stoją: Burghauser, Reich, Knoll, Megerle, Klang, Schwalbe, Kraft, Fleck i Zwirn; w drugim statyści; wszyscy uzbrojeni w muszkiety, halabardy i dzidy. Po prawej stronie siedzą przy stole: Goldschmidt i Wolfgang, Hans, Nani i Pepi — Geisbergowa przypatruje się z głębi mustrze).

KAPITAN.

Eins! zwei! eins! zwei! — halb rechts! marsz! — eins! zwei! eins! zwei! — halb links! marsz! — eins! zwei! eins! zwei! eins! zwei! — halt! *(wszyscy stają).*

ZWIRN *(salutując).*

Panie kapitanie, ja tej ogromnej siekiery nie uniosę. Upuszczę ją, a ona zamiast Turkowi, mnie zrobi kaput!

KAPITAN.

A cóż ci dam ty koźle? Przecież z igłą na wojnę nie pójdziesz.

ZWIRN.

Wolałbym igłą łatać popłatanych żołnierzy, aniżeli samemu być rozpłatanym!

KAPITAN.

Halts Maul, kozia bródko! bo dostaniesz fünf nnd zwanzig na Puckel.

ZWIRN.

Panie kapitanie, jabym wolał seidliczek wina, bo mi od egzecyrki gardło wyschło.

WSZYSCY.

Wina! Wina!

MEGERLE.

Wina Hans! ty stary puszczyku! Wina! prędzej, bo cię rozpłatam toporem i wnet twoje grzeszne cielsko będzie w mojej jatce wisiało.

ZWIRN.

Oj to to! Zdałoby się takiego tłuściocha zabić na mięso. Dopieroto byłaby dobijatyka, tyle sadełka!

KAPITAN.

Halts Maul Schneiderlein! Nie rób szpasów, bo Pan Bóg nas może za to skarać i dopuścić do tego, że będzie jeden drugiego zjadał.

HANS *(z córkami i kelnerkami wnosi z restauracyi dzbany i szklanki, stawiając je przed gośćmi).*

Panowie kundmani, szpetni opoje, nie mam stu rąk, ażeby odrazu ponalewać wasze waleczne gardła. Najlepiejbyście zrobili, żebyście egzercyrowali się razem, a pili pojedynczo. Nani! Pepi! spieszcie się niedołęgi, prędzej, poczciwe dziewczęta!

GOLDSCHMIDT *(do Kapitana).*

Panie Kapitanie, prosimy do nas!

KAPITAN.

Chętnie. Poza służbą to jestem dobry kamerad; ale jak krzyknę habt acht! *(Wszyscy się zrywają)* Cha, cha, cha! jak się te łyki wyegzercyrowały. No sitzen bleiben! *(Próbuje wina)* A cóż to za kwas?

HANS.

Extrafein Retzer, wino najwyborniejsze na świecie.

KILKU.

Ocet!

GOLDSCHMIDT.

Dawaj Grinzingera!

INNI.

Prędzej Grinzingera!

HANS *(załamując ręce).*

Grinzingera?! O święty Leopoldzie patronie nasz! Grinzinger już kaput; jak się skończy ostatnia beczka w mojej piwnicy, to i za 50 grzywien srebra nie dostanie szklaneczki w całym Wiedniu.

KRAFT.

Nie bluźń bezbożniku — a gdzieżby się podział?

HANS *(ociera łzy).*

Czyż nie wiecie, szpetne pijaki, najmilsi przyjaciele, że Turcy wyniszczyli całe winnice w Grinzingen? Bodaj ich zato szatan oprawił!

FLECK.

Bodaj przepadły te pogańskie dusze; ale poczekajcie jeszcze, ja szewc im uszyję buty.

ZWIRN.

A ja im kurtę skroję!

KRAFT.

Ja skórę wyklepię po blacharsku.

GOLDSCHMIDT.

Nani! cztery sznycle!

NANI.

Chyba z końskiego mięsa, bo o innem ani pomyśleć.

MEGERLE.

U mnie się znajdzie kilkadziesiąt funtów wołowinki, ale inaczej nie sprzedaję, jak po cztery guldeny funt; kto sobie życzy — proszę.

FLECK.

Cztery guldeny? rozbójnik! zdrajca!

ZWIRN.

Trzeba nauczyć tych derusów, bo oni opływają we wszystko, a my, waleczni obrońcy, jemy spleśniałe suchary i końskie mięso.

KILKU *(biegnie do Knolla i Megerlego).*

Powiesić! powiesić!

KAPITAN.

Halt! Czy nie wiecie, że ogłoszono Standrecht, kto się poważy jakową rebelię robić, zaraz zafasuje sześć kul w głowę i sześć, gdzie mu się podoba.

KNOLL.

Ludzie, miejcie Boga w sercu; jeżeli nasi majstrowie drogo sprzedają pieczywo i mięso, to nie ich wina. Dziś mąki ani bydła dostać nie można. Wiecie, że sam gubernator ustanowił taksę.

MEGERLE.

Ja wczoraj za jednego wołu zapłaciłem sto pięćdziesiąt dukatów, to przecie nie mogę mięsa sprzedawać tanio.

KNOLL.

Narzekajcie na gubernatora, ale nie na nas. Hej wina dla wszystkich, ja płacę! Niech żyją nasi waleczni rękodzielnicy!

WSZYSCY.

Wiwat!

GOLDSCHMIDT.

Prawda, że gubernator wszystkiemu winien. Uparł się bronić Wiednia, kazał nam obywatelonm pozrywać dachy gontowe.

WOLFGANG.

A ja dla jego grymasu musiałem swoim kosztem zburzyć dom własny.

SCHWALBE.

Dzień i noc stój na wałach, nie śpij i nie jedz, a za lada rzecz zaraz rozstrzeliwają.

KLANG.

Żywności brakuje, o mięso i chleb trudno, ale za to żołnierze wszystkiego mają do syta.

KAPITAN.

Bo też żołnierze wciąż się biją, to muszą dobrze jeść i pić.

KRAFT.

A czy to my gorzej się bijemy od nich?

KAPITAN.

Halts Maul! Nie rezonować. Ja chociaż Hauptman od milicyi, nie dostaję tego co Hauptmani księcia Lotaryńskiego; ale trudno, trzeba wszystko znosić dla Najjaśniejszego Cesarza.

KILKU.

Oj bieda! bieda! lepiej już zginąć!

ZWIRN.

Poco beczeć? Poco lamentować? Naco łbem walić o ścianę, skoro jej głową nie przebijesz?! Otóż nic nie narzekajcie, bo jeszcze was ze zmartwienia szlag trafi. Ginąć, to ginąć, ale przynajmniej lustig i fidell. Hej ojcze Hansie, bierzcie skrzypki, Schwalbe zapiszczy na klarnecie a moja Nani zaśpiewa.

WSZYSCY.

Zgoda! zgoda! Wiwat krawczyk!

WALC.

NANI.

Ach cudny nasz Wiedeń, bo fale Dunaju
Błękitną przepaską objęły go wkoło,
W tem mieście Wiedeńczyk bawi się jak w raju,
I życie mu płynie rozkosznie, wesoło.

Gdy wdzięczna muzyka, wygrywa walczyka,
I wieniec przesuwa się par,

A w wirze wesołym jawi się i znika
Twarz miłej dzieweczki — to czar!

CHÓR.

Gdy wdzięczna muzyka, wygrywa walczyka,
I wieniec przesuwa się par,
A w wirze szalonym jawi się i znika
Twarz miłej dzieweczki — to czar!

NANI.

I choć dziś obległy nasz Wiedeń kochany
Turczyny, Tatary i Murzyn i czart,
Napróżno szturmują do miasta pogany
Odważny Wiedeńczyk Turczyna jest wart!

Gdy mury rozburzą, pierś stanie za wały,
Nie zdoła przełamać jej wróg —
Z odsieczą nam przyjdzie nasz cesarz wspaniały
I pomoc walecznym da Bóg.

CHÓR.

Gdy mury rozburzą, pierś stanie za wały,
Nie zdoła przełamać jej wróg —
Z odsieczą nam przyjdzie nasz cesarz wspaniały
I pomoc walecznym da Bóg.

(Tańczą — wtem z lewej strony daje się słyszeć ogromny huk i dym bucha na scenę. Wszyscy przerażeni).

KAPITAN.

Himmel Kreutzdonnerwetter!! Co to jest?!

SCENA DRUGA.

DAWNI i JANOS.

JANOS *(wpada z lewej strony).*

Utikajte sem lude, utikajte!

WSZYSCY.

Co się stało?

JANOS.

To sem sakramencka turecka bomba! — rozpukla się i zrobila dziuru, a przez tego dziura wpadną Turki!

KAPITAN.

Habt Acht! rechts um — marsz! *(Wypada z ochotnikami w stronę wybuchu. Zwirn ze strachu chowa się pod stół po lewej).*

SCENA TRZECIA.

JANOS, WOLFGANG, GOLDSCHMIDT *(na przodzie).* ZWIRN *(pod stołem).*

GOLDSCHMIDT.

Szalony opór Stahremberga zgubił nas wszystkich. Trzeba koniecznie traktować o poddanie. Czy nie masz jakich wiadomości z tureckiego obozu?

WOLFGANG.

Od tygodnia, gdym odebrał ostatni list od Tekölego, ani słówka. Obiecywał wysłanie poufnego, ale dotąd go niema.

JANOS *(zbliżając się do nich).*

Czy sem panowie nie znają pana Wolfganga z Leopoldstadtu?

WOLFGANG.

Czego chcesz? Ja jestem Wolfgang!

JANOS.

Elien à sabaczák Magyar Orszag!

WOLFGANG *(do Goldschmidta).*

To wysłaniec Tekölego *(wyjmuje z kieszeni przełamany pieniądz).* Masz drugą połowę? *(odbiera od Janosa pół pieniądza, przymierza i mówi)* Dobrze. Z czem przychodzisz olejkarzu?

JANOS.

Ja nie olejkarz, ani Słowak, ale Gejza Sambor, kapitan wojsk Grafa Tekölego. *(Oddaje mu list).*

WOLFGANG *(przeczytawszy).*

Jakto? Już jutro po północy?

JANOS.

Wojska nasze, ukryte w lasach przy węgierskiej granicy, jutrzejszej nocy przystąpią pod furtkę rybacką. Gdy usłyszycie szczekanie psa, otworzycie ją. Wam nagroda a mieszkańcom całość mienia i życie, jeżeli uda się wziąć miasto. Jeżeli Turcy was uprzedzą, ani jeden mieszkaniec nie ujdzie z duszą.

WOLFGANG.

Z naszej strony wszystko gotowe; lękam się tylko czujności Stahremberga i Kaplitza.

JANOS.

Schwytamy obydwóch najpewniej a gdy oni zginą, wszelki opór ustanie i miasto weźmiemy.

ZWIRN *(który ciągle z pod stołu ostrożnie wyglądał, mówi, drżąc ze strachu).*

Święty Walenty, patronie kunsztu krawieckiego, ratuj biednego czeladnika, bo jak mię zobaczą, to ubiją jak psa!

JANOS.

Ja muszę wymknąć się z miasta. Pamiętajcie dotrzymać słowa, bo w przeciwnym razie poniesiecie śmierć. *(Odchodzi).*

SCENA CZWARTA.

WOLFGANG. — GOLDSCHMIDT. — ZWIRN.

WOLFGANG.

Czy Burghausera i Reicha przypuścimy do tajemnicy?

GOLDSCHMIDT.

Uchowaj Boże! Oni są tak przywiązani do cesarza, że pomimo tyloletniej przyjaźni, wydaliby nas Stahrembergowi. Lękam się.

ZWIRN *(n. s.)*.

No a ja sto razy bardziej.

WOLFGANG.

Tu niema czasu na obawy. Raz trzeba skończyć. Lada dzień Turcy zdobędą miasto, a Kara Mustafa zaprzysiągł na proroka, że wszystkich w pień wytnie. Niema wyboru!

GOLDSCHMIDT.

A więc dobrze; kompanie nasze ufają nam ślepo. Złoto, wino i strach przełamie ich skrupuły. Zatem jutro przy furtce rybackiej.

WOLFGANG.

Tak, po północy. *(Słychać odgłos trąb).* To gubernator, poco on tu idzie? Rozejdźmy się. *(Rozchodzą się).*

ZWIRN *(do siebie).*

Coraz to lepiej: z jednej strony rebellanty, z drugiej gubernator! Z pewnością będę dyndał.

SCENA PIĄTA.

STAHREMBERG. — ZDENKO KAPLITZ. — LIEBENBERG. — EICHBÜCHEL. — HÜTTENDORF. — KAPITAN FRANK. — MILICYA. — ODDZIAŁ WOJSKA REGULARNEGO. *(Wchodzą ze strony, gdzie bomba pękła).*

STAHREMBERG.

Niepotrzebnie narobiliście popłochu. Czyż to pierwsza bomba padła na miasto?

KAPITAN.

Jakiś Węgier doniósł nam, że Turcy wpadają przez wyłom; pospieszyłem z moją milicyą a tymczasem szewc poleciał do pałacu.

STAHREMBERG *(groźno).*

Wiecie, że nie wolno robić fałszywego alarmu. Od niejakiego czasu odwaga wasza słabnie. Pamiętajcie, że życie i mienie należy do cesarza, że kto nie spełni swej powinności, pójdzie na szubienicę!

LIEBENBERG.

Excelencyo! Kiedy Najjaśniejszy Pan opuszczał Wiedeń, przyrzekliśmy bronić stolicy do ostatniej kropli krwi i mnóstwo Wiedeńczyków śmiercią swą stwierdziło to przyrzeczenie. Lecz trudno się dziwić ludności, nie przyzwyczajonej do walk i trudów wojennych, ludności zgłodniałej i schorowanej, że upada na duchu.

HÜTTENDORF.

I gdy my robimy nadludzkie wysilenia, o nas zupełnie zapomniano. Od dwóch miesięcy obiecują nam odsiecz; gdzież ona?

EICHBÜCHEL.

Mówiono, że król polski dawno już wyruszył ze swemi wojskami, a jednak nie słychać o jego pochodzie.

LIEBENBERG.

I książę Lotaryński znaku życia nie daje.

HÜTTENDORF.

Bastyony zamkowy i karyntyjski prawie do połowy zburzone, pałac cesarski kulami zorany. Więcej ludzi ginie od chorób i głodu, niż od tureckiej broni

LIEBENBERG.

Dalsza obrona prawie niepodobna, bo i tej nędznej żywności ledwie na tydzień wystarczy.

EICHBÜCHEL.

Zguba nasza nieuchronna, bo cesarz daleko a Bóg wysoko.

STAHREMBERG *(groźno)*.

Dość tych szemrań. Panowie rajcy, jeżeli obrona słabo idzie, nasza to wina. Zawiadamiam was, jako i całą ludność, iż rada wojenna postanowiła chwycić się środków najsurowszych. Dowiedzcież się, że:

1⁰ Każdy zapisany do milicyi, a nie stawiający się w ciągu 24 godzin, będzie rozstrzelany.

2⁰ Gospodarz, któryby ukrywał w swym domu mężczyznę, zdolnego do boju a nie odstawił go, bę-

dzie powieszony w oknie własnego mieszkania. Nakoniec, ponieważ obiegają wieści, że zdrajcy zamierzają wpuścić nieprzyjaciela przez kanały podziemne, a więc każdy schwytany na zdradzie, oraz każdy wiedzący a nie donoszący rządowi o niej, będzie karany szubienicą.

LIEBENBERG.

Zaręczam panu jenerałowi, że ani jednego zdrajcy w Wiedniu nie znajdziesz.

ZWIRN *(wysuwa się z pod stołu i pełznie na kolanach do stóp Stahremberga).*

Łaski! litości! miłosierdzia! Najjaśniejszy Jenerale!

STAHREMBERG.

Kto jesteś? Czego żądasz?

ZWIRN.

Ja nie jestem nic wcale, tylko wiedzący o zdradzie a nie donoszący, a przeto na szubienicy wiszący.

STAHREMBERG *(do żołnierzy).*

Brać go! Dlaczego wprzódy nie donosiłeś?

ZWIRN.

Nie mogłem donieść, bo nie wiedziałem, aż teraz się dowiedziałem. Ale *(płacząc)* ja nic nie winien, tylko ten *(wskazuje Wolfganga)* i ten *(pokazuje Goldschmidta)* albowiem są zdrajcy i szubieniczniki. *(Na znak Stahremberga żołnierze chwytają obydwóch).*

STAHREMBERG.

Gadaj co wiesz o zdradzie! Prędzej! Nie bój się, daję ci moje słowo, że nic ci się złego nie stanie,

gdy wyznasz prawdę, a nawet, jeżeli wiadomości ważne, otrzymasz nagrodę.

ZWIRN.

Wszystko wyznam. Otóż jak bomba pękła, tak mnie pod stół wrzuciła, więc bojąc się, aby nie wróciła, zostałem pod stołem i słyszałem, że jakiś Gejza węgierski, dał panu Wolfgangowi papier, który ma w kieszeni, a potem wpuszczą Węgrów w nocy przez furtkę rybacką, którzy głów ludziom nie poucinają, tylko największym panom komendantom, jak będzie pies szczekał przed bramą rybacką, Węgry wezmą miasto.

KAPITAN.

(zrewidowawszy Wolfganga znajduje list i wręcza Stahrembergowi).

STAHREMBERG *(przejrzawszy list).*

Pismo od Tekölego. *(Do Kaplitza)* Złożyć natychmiast sąd doraźny i ukarać śmiercią! *(Straż wyprowadza więźniów. Do rajców)* A cóż panowie, czy ośmielicie się twierdzić, że w Wiedniu zdrajcy niema?

LIEBENBERG.

Znaleźli się niestety, ale chwała Najwyższemu: obydwaj nie są Wiedeńczykami.

SCENA SZÓSTA.

DAWNI. — BRAUN, *adjutant Stahremberga, potem* KULCZYCKI.

BRAUN *(salutując).*

Excelencyo! Kulczycki wrócił!

STAHREMBERG *(z radością).*

Wprowadź go waćpan natychmiast! *(Do wchodzącego Kulczyckiego)* I cóż?

KULCZYCKI *(ubrany po turecku).*

Wszystko dobrze Excellencyo. Wyszedłem ze sługą moim Michajłowiczem przez Szkocką bramę i dostałem się szczęśliwie do obozu tureckiego: następnie przedarliśmy się lasami do Tulln, gdzie jest główna kwatera księcia Lotaryńskiego. Jakaż radość! Mój król już jutro przybywa z dzielnemi wojskami i wnet rozpocznie się przez Dunaj przeprawa. Najdalej 11-go września staną na Kahlenbergu. Książe Lotaryński poleca tylko, aby Excellencya trzymał się dzielnie.

STAHREMBERG.

Dziękuję ci, odważny Polaku, musisz jednak raz jeszcze przedrzeć się do obozu chrześcijańskiego. Zapewnij naszych sprzymierzeńców, że wytrwamy, ale błagaj na miłość Boską króla, niech jednego dnia nie opóźni, bo inaczej Wiedeń upadnie.

KULCZYCKI.

Trudna to sprawa, ale dla miłości Chrystusa podejmę się trudnej i niebezpiecznej wyprawy.

STAHREMBERG.

A cóż w obozie tureckim?

KULCZYCKI.

Kara Mustafa wścieka się, że jeszcze Wiednia nie zdobył. O przybyciu króla polskiego nic nie wie; należy się spodziewać lada chwila szturmu.

STAHREMBERG.

Idź z Bogiem *(wkłada mu pierścień na palec)* i zachowaj tę pamiątkę od Stahremberga.

KULCZYCKI.

Chlubnym mi będzie dar od tak znakomitego wodza. *(Odchodzi na lewo. Słychać za sceną śpiew).*

CHÓR *(za sceną).*

Ratuj nas! ratuj z mocy Turczyna!
Gwiazdo zaranna! Panno jedyna!
Ratuj nas Chryste w okrutnej doli,
Broń od niewoli.

SCENA SIÓDMA.

DAWNI. — BISKUP KOLONITS, *bardzo skromnie ubrany, na czele ludu obojej płci, wycieńczonego głodem i chorobami.*

STAHREMBERG *(skłoniwszy się nisko).*

Dokąd to święty mężu?

KOLONITS.

Prowadzę ubożuchnych, aby u stóp zburzonych murów błagali Boga o ratunek i zmiłowanie.

STAHREMBERG.

Zbawienie bliskie, ale rozpacz ogarnia lud; błagaj Wszechmocnego o wytrwałość, wzmocnij ich męstwo.

KOLONITS *(do ludu).*

Czemuście bojaźliwi a małowierni! Czyż myślicie, że Bóg o was zapomniał? Zesłał on na was dni pokuty, ale dlatego, ażeby wam moc swoją okazać. Pamiętajcie, że walczycie nie dla marnej sławy, nie dla zysku, ale za wiarę, za chwałę Zbawiciela, że walczycie z najzaciętszymi wrogami krzyża świętego, z burzycielami świątyń pańskich i mordercami naszych braci. Ludu, miej nadzieję w Bogu. Oto już najdziel-

niejszy rycerz chrześcijański, pogromca Mahometanów spieszy na pomoc. *Vincit Joannes!* Kilka jeszcze dni. a koniec uciskowi; a więc na kolana i wołajcie wielkim głosem:

Wznieśmy modły do niebios bram,
Usłysz o Maryo błagania nasze!
(Klęka, a za nim lud i żołnierze).

Kirye elejson!

WSZYSCY.

Chryste elejson!

KOLONITS.

Chryste usłysz nas!

WSZYSCY.

Chryste wysłuchaj nas!

KOLONITS.

Ojcze z nieba Boże, zmiłuj się nad nami!

WSZYSCY.

Ojcze z nieba Boże! *(Straszliwy huk przerywa modły. Ogromny kawał bastyonu w głębi zwala się, wysadzony przez minę. W wyłom cisną się Turcy z okrzykiem: Ałłach! — łuna).*

STAHREMBERG.

Na mury!

ŻOŁNIERZE I MILICYA.

Na mury! Śmierć muzułmanom! *(Zastęp chrześcijański uderza na Turków — walka i wrzawa wojenna. Na samym przodzie sceny biskup Kolonits i lud klęczą i podczas bitwy i strzałów śpiewają).*

KOLONITS.

Chryste usłysz nas!

LUD.

Chryste wysłuchaj nas!

KONIEC ODDZIAŁU DRUGIEGO.

ODDZIAŁ TRZECI.

SPRZYMIERZENI.

OSOBY.

KRÓL JAN III.
KRÓLEWICZ JAKÓB.
KAROL KS. LOTARYŃSKI.
MAKSYMILIAN, elektor bawarski.
JERZY III, elektor saski.
LUDWIK, elektor badeński.
KSIĄŻE WALDECK.
KSIĄŻE SALM.
CAPRARA, DEGENFELD — generałowie wojsk niemieckich.
STANISŁAW JABŁONOWSKI, hetman wielki koronny.
HIERONIM SIENIAWSKI, hetman polny koronny.
SZCZĘSNY POTOCKI, wojewoda sieradzki.
HIERONIM LUBOMIRSKI, marszałek nadworny.
MARCIN KĄTSKI, generał artyleryi.
WŁADYSŁAW DENHOFF, wojewoda pomorski.
MALCZYŃSKI, koniuszy królewski.
ROMAN RUSZCZYC, DAMIAN SZUMLAŃSKI — rotmistrze.
JAN KONOPKA.
MACIEK, STASZEK, JANEK — szeregowcy.
JERZY KULCZYCKI.
HORMUZAKI, Wołoszyn.
HORPYNA, żebraczka.

Rzecz dzieje się w obozie pod Tullnem, 7-go września 1683 r.



Teatr przedstawia obóz polski. Głąb zajmują namioty, w samym środku wspaniały namiot królewski.

SCENA PIERWSZA.

(Maciek i Janek na warcie przed namiotem królewskim. Staszek po lewej stronie czyści zbroję).

STASZEK.

Patrzajcie jakiego honoru dostąpiły mazury. Oba stoją na warcie przed namiotem królewskim.

JANEK.

A tobie zazdrość?

STASZEK.

O ba, miałbym czego zazdrościć, skoro mi dali do czyscenia zbroję nasego króla. Moja zbroja pójdzie do bitwy, a was namiot będzie się jeno zdaleka przypatrował, jak nasi biją.

MACIEK.

Nas tu postawili na to, aby jak przyjdą Miemcy witać króla, przypatrzyli się, jakich to świarnych wojaków król przywiódł na Turka.

STASZEK.

Jacy mi wojacy? Juścić się będą Miemcy dziwować, widząc taki naród cudacki. Boć przecie

wiadomo w całym świecie, że się mazury ślepo rodzą.

MACIEK.

Ano juści prawda, że się mazur ślepo rodzi i dopóty nie przejźry, póki mu krakowiak oców nie wyliże.

STASZEK.

No, toś psecie uznał, że się mazur przez krakowiaka nie obejdzie, bo kieby nie on, toby do śmierci był ślepy.

JANEK.

Nie zbytkujcie zbereźniki, bo jakby jaki starsy usłysał, tobyście wnet wzięli kiścieniem po grzbiecie. *(Słychać śpiew za sceną).*

STASZEK.

A to znowu co?

MACIEK.

Widno jakaś Miemka chodzi po prośbie.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — HORPYNA.

HORPYNA *(śpiewa).*

Czy czuły wy dobri lude
Taku nowynoczku,
Oj szczo złowyły Tatary
Zaleskawo doczku.

Oj jak donieczku złapały,
Taj ruczki zwiazały
I do tiażkiej, do newoli
Na wiki wydały.

Ne nażyłaś sia nehidna
I ne budesz żyty
Oj pidesz ty, oj szcze nyni
W czornu zemlu hnyty.

MACIEK.

A dyć to jakaś Rusinka.

STASZEK.

Nie rozumiem ja dobrze, co ona śpiewa, alem tyle zmiarkował, że jej Tatary porwały córkę. *(Daje jej pieniądz).*

HORPYNA.

Bóg wam zapłać, ale co mi po pieniądzach; mojej dońki za pieniądze nie wykupi. Oj dolaż moja dola, biedna ja Horpyna!

MACIEK.

Horpyna? *(Przypatruje się jej).* O najświętsza Panno Pocajowska, dyć ja ciebie znam!

HORPYNA.

Maciek! tyś Maciek, coś służył za luzaka u mojego pana, gdy szedł z królem na wojnę.

MACIEK.

No, u pana Zaleskiego, a tyś była mamką nasej panienki.

HORPYNA.

Oj moja zazula, moja dońka! Porwały ją Tatary! — szłam za nią przez trzy miesiące, przez całą Tatarszczyznę, aże ją tu zawlekli, do niewoli tureckiej, a ja biedna nie mogę jej pomódz. Tak zaszłam tu do wojska chrześcijańskiego. Ratujcie biedną!

STASZEK.

Co my poradzimy? Kieby tak jeszcze szło o to, żeby kilku poganów uśmiercić, to... ale przecież nie pójdę już między Turków, żeby ją ratować.

MACIEK.

Cekajno Horpyna; idą tu starsi, to może co poradzą.

SCENA TRZECIA.

DAWNI. — RUSZCZYC. — SZUMLAŃSKI. — KONOPKA.

SZUMLAŃSKI.

Tak, mości panowie, trzeba w pogotowiu trzymać chorągwie, bo jak miłościwy pan wróci z lustracyi wojsk, to nas lada chwila może potrzebować.

KONOPKA.

Dałby Bóg, żeby jak najprędzej zetrzeć się z poganinem.

SZUMLAŃSKI.

O to obawy niema; nasz rycerski król nie będzie siedział z założonemi rękami. Gdy już raz stanął wobec nieprzyjaciela, to się wkrótce rozpocznie taniec z bisurmanami.

MACIEK *(odtrącając Staszka, który mu coś szeptał do ucha).*

Odcepze się gawronie odemnie; dyć przecie wies o tem, że na warcie gadać nie wolno. Nie mas to ty gęby?

STASZEK.

Przeciez ci łba nie utną, a ja tam ze starsymi nie umiem gadać.

MACIEK.

Idźże, bo cię udrę!

SZUMLAŃSKI.

Cóż tam za hałasy?

STASZEK.

Ej prosę przewielmoznego rośmistsa, psysła jakasik baba z tureckiego obozu i okrutnie labiédzi, że jej panienkę Turcy trzymają w niewoli.

SZUMLAŃSKI.

Bo zapewne Niemka! Gdzie ona jest?

STASZEK *(do Horpyny).*

No nie lamentuj a jeno powiedz panom starsym, co ci jest.

RUSZCZYC *(ogląda się i poznaje Horpynę).*

Cudowny Jezu! wszakże to Horpyna, piastunka mojej nieszczęśliwej Zosi! *(Chwyta ją za rękę)* Skąd się tu wzięłaś? Mów? Czy wiesz co o pannie Zaleskiej?

HORPYNA.

Wszystko wam powiem, śliczny panie, ale ratujcie ją z mocy pogańskiej.

RUSZCZYC.

Mów! mów prędzej, gdzie się znajduje?

HORPYNA.

W namiotach najstarszego wezyra.

RUSZCZYC.

Musisz mnie do niej doprowadzić. Ja muszę natychmiast spieszyć do obozu tureckiego.

KONOPKA.

Jakto? Dla dziewczęcia chcesz opuścić swoją chorągiew w chwili, gdy lada dzień rozpocznie się stanowcza bitwa?

SZUMLAŃSKI.

Na miłość Boską, Romanie, czy chcesz na wieki shańbić twe imię? Cudem Bożym dowiedziałeś się, że panna Zaleska żyje — wiesz, gdzie jest, czekałeś cztery miesiące, a więc bądź cierpliwym jeszcze dni kilka, a Opatrzność ci ją wróci. Pójdziesz i zginiesz, a jej nie ocalisz i sam okryjesz się niesławą.

RUSZCZYC.

Podajcież mi inny sposób jej wyzwolenia.

STASZEK.

Wielmożny roćmistsu, pozwólcie mnie iść z tą niewiastą. Na takiego chudaka pogany nie będą zwazać, a was zaraz schwycą i umęcą; jak Pan Bóg pozwoli, to my prędzej na swojem postawimy.

SZUMLAŃSKI.

Dobra rada. Idź chopcze, a jak wrócisz szczęśliwie, to sowitą otrzymasz nagrodę. Tymczasem weź to złoto, może ci się ono przydać.

STASZEK.

Ba, cóżby się nie nie przydało. *(Do Horpyny)*. No pójdźwa! Aześ ty juz stara praktykowała z Turkami, to i mnie przepraktykujes, jeno się musę jako przestroić z tej żołnierskiej skóry, çoby mię pogany nie poznały. *(Odchodzą z Horpyną).*

SCENA CZWARTA.

DAWNI. — MALCZYŃSKI *potem* KRÓL, KRÓLEWICZ JAKÓB, KSIĄŻE LOTARYŃSKI, ELEKTOROWIE i SENATOROWIE.

MALCZYŃSKI.

Mości panowie! Najjaśniejszy Król wraca z lustracyi wojsk; miejcie w pogotowiu wasze chorągwie, bo lada chwila może ich Najjaśniejszy Pan zapotrzebować.

(Król wchodzi z królewiczem i księciem Lotaryńskim — za nimi elektorowie, hetmani i senatorowie).

KRÓL.

Witam was, dostojni panowie, w moim obozie. Już sam widok tylu walecznych i doświadczonych rycerzy napełnia mię otuchą, że wróg chrześcijaństwa stanowczą poniesie klęskę.

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

Najjaśniejszy Panie, przesławne imię twoje, będące postrachem Turczynów, już samo za armię obstoi, a cóż dopiero te liczne i wyćwiczone zastępy, które z sobą przywiodłeś. Teraz bynajmniej nie wątpię, że Wiedeń będzie ocalony.

KRÓL.

Dostojny książe, gdyby nie twoje męstwo i niepospolita znajomość sztuki wojennej, nie mielibyśmy poco przychodzić pod Wiedeń. Z szczupłemi siłami umiałeś przez dwa miesiące niezliczone hordy wstrzymywać i zasłaniać stolicę aż do naszego przybycia i zjednałeś sobie tem nieśmiertelną sławę.

ELEKTOR SASKI.

Najjaśniejszy Panie! nie mieliśmy pojęcia, że wojska polskie są tak wspaniale uzbrojone i wyćwiczone; mniemano u nas powszechnie, że to tylko lekkie hufce, podobne do tatarskich.

KRÓL.

Pozwólcież mości panowie przedstawić wam mojego pierworodnego syna Jakóba, który po raz pierwszy idzie zdobywać rycerskie ostrogi.

KSIĄŻĘ LOTARYŃSKI *(podając rękę królewiczowi).*

Ten ogień w oku zapowiada, że nie pozostanie za ojcem.

ELEKTOR SASKI.

Pozwól mości książe nazywać się swym bratem. *(Ściska go za rękę).* Niech ten uścisk będzie zadatkiem dozgonnej przyjaźni, na polach bitwy zawartej.

KRÓLEWICZ.

Dostojni panowie! Zawczasu zaszczycacie mię swemi pochwałami. Dołożę wszelkich starań, abym czynami dowiódł, że na nie zasługuję.

KRÓL *(przedstawiając hetmanów i senatorów).*

Oto rycerstwo polskie, doświadczeni wodzowie i wojownicy. Nieraz już krew bisurmańska zbroczyła ich dzielne prawice. Nastręcza się nam miła sposobność, aby rycerstwo niemieckie zobaczyło, jak Polacy walczą. *(Do ks. Lotarńskiego)* Wiadomo wam, mości książe, że Najjaśniejszy Cesarz a brat nasz oddał nam najwyższą komendę. Do was, jako do gospodarza, odwołuję się a proszę, abyście nam objaśnili dzisiejsze stanowisko wojsk Tureckich.

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

Wiedeń silnie obsaczony i po prawym brzegu Dunaju snują się liczne oddziały. Nie możemy jednak osłabiać wojsk naszych na większe podjazdy i dlatego stanowisk tureckich dobrze nie znamy.

KRÓL.

Nie znając jednak położenia bisurmanów, nie możemy na pewno działać; trzeba koniecznie zasięgnąć języka.

DEGENFELD.

Miłościwy Królu, wysyłając liczne podjazdy, zmarnowalibyśmy wojsko całe; przed trzema dniami wysłaliśmy ku Wiedniowi dwutysięczny oddział dragonii — otoczeni chmarą Turków ponieśli tak srogą klęskę, że zaledwie kilkudziesięciu powróciło.

SIENIAWSKI.

Pozwól Najjaśniejszy Panie mnie spróbować szczęścia, a zaręczam ci, że dostanę języka.

KRÓL.

Mości hetmanie, nie wam to narażać się na zwiady. *(Pogląda po swoich)* Mości Ruszczycu! Mości Szumlański! weźcie sobie po sto koni dobrych z przedniej straży. Surowo waszmościom nakazuję dostać jeńców. A wracajcie mi prędko. *(Ruszczyc i Szumlański odchodzą).*

ELEKTOR SASKI.

Ależ taka garstka pójdzie na niezawodną zgubę!

KRÓL.

Nie znasz mości książe moich zuchów; ale w Bogu nadzieja, że nie wrócą z próżnemi rękami. A teraz, mości panowie, proszę na skromny posiłek.

(Opony namiotu rozsuwają się. Widać stół, kosztownie zastawiony. Król zajmuje miejsce w środku, sadzając po prawej księcia Lotaryńskiego, po lewej królewicza. Za księciem zasiadają elektorowie i niemiecka starszyzna, za królewiczem hetmani i senatorowie. Przed namiotem po bokach: Malczyński, Konopka, oraz niżsi oficerowie obydwóch wojsk).

KRÓL *(podnosząc puhar).*

Piję na zdrowie i pomyślność Najjaśniejszego Cesarza, naszego potężnego alianta.

WSZYSCY *(powstając).*

Wiwat! *(Trąby i kotły).*

KSIĄŻE LOTARYŃSKI *(powstając).*

Cześć i chwała Najjaśniejszemu Królowi Polskiemu!

WSZYSCY.

Wiwat! *(Trąby i kotły).*

ELEKTOR SASKI.

Na cześć hetmanów i rycerstwa polskiego!

WSZYSCY NIEMCY.

Wiwat! *(Trąby i kotły).*

SCENA PIĄTA.

DAWNI i HORMUZAKI.

(Hormuzaki przed chwilą wszedł, skrada się ostrożnie).

MACIEK *(który go zauważył, chwyta Hormuzakiego za kark).*

Ha ty pogański synu! *(Hormuzaki usiłuje się wymknąć, skąd powstaje tumult).*

KRÓL.

Co to jest?

MACIEK.

Ten pies pogański bez gwałt ciśnie się do osoby Najwielemożniejszego Króla.

KRÓL.

Podaj go tu. *(Maciek przyprowadza Hormuzakiego przed stół królewski a sam odstępuje).* Tyś hultaju jest szpieg od wojska tureckiego?

SIENIAWSKI.

Kto cię tu przysłał, mów, bo łeb uciąć każę?

KRÓL.

Jesteś chrześcijaninem?

HORMUZAKI.

Chrześcijanin, Wołoszyn. Służyłem dwa lata u podczaszego koronnego.

KRÓL.

Nie bój się — masz królewskie słowo, że ci włos z głowy nie spadnie, ale mów prawdę. Poco cię tu wezyr wysyła?

HORMUZAKI.

Han oznajmił wielkiemu wezyrowi, że Wasza Królewska Mość tu jesteś, ale nie chciał temu uwierzyć i kazał naszemu hospodarowi, żeby mu dał człowieka, umiejącego po polsku. Gdym przyszedł, spytał mnie wezyr, czy widziałem kiedy króla polskiego. Odpowiedziałem, żem służył na dworze Waszej Królewskiej Mości. Wtedy mi dał 50 cekinów i rzekł

mi: Idź do obozu giaurów i staraj się króla na własne oczy zobaczyć, a gdy mi pewną wiadomość przyniesiesz, otrzymasz sowitą nagrodę.

KRÓL.

A więc otrzymasz nagrodę. Powiedz wezyrowi, żeś nie tylko mnie widział, ale rozmawiał ze mną i że go wkrótce w jego namiocie odwiedzę. *(Do służby)* Dajcie mu jeść i wina. *(Rzuca mu kieskę)* A tu masz pamiątkę, żeś z królem mówił. *(Hormuzaki kłania się wschodnim obyczajem i odchodzi, wyprowadzony przez straż. Wszyscy wstają od stołu).*

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

A więc wieść o przybyciu Waszej Królewskiej Mości doszła już do uszu wezyra.

KRÓL.

Nie bardzo go to ucieszyło, nie wierzył w nasze przybycie. Znam ja go dobrze; z handlarza owoców, wyszedł na wielkiego wezyra. Na pozór gorliwy Muzułmanin, ściśle przestrzega przepisów Koranu — w duszy bezbożnie dumny i okrutny, a nieprzebłagany wróg chrześcijaństwa.

SIENIAWSKI.

Miłościwy Panie, mosty na Dunaju gotowe, czy można rozpocząć przeprawę?

KRÓL.

Wam to, mości hetmanie, za waszą gorliwość w sprawie chrześcijaństwa należy pierwszemu popro wadzić nasze chorągwie.

SCENA SZÓSTA.

DAWNI. — HIERONIM LUBOMIRSKI. — KULCZYCKI. — MICHAJŁOWICZ.

LUBOMIRSKI.

Miłościwy Królu — oto posłaniec hrabiego Stahremberga.

KULCZYCKI *(przyklęka)*.

Trzykrotnie Bóg mi szczęśliwie dozwolił przebyć obóz turecki w poselstwie do księcia Lotaryńskiego. Dziś jestem stokroć szczęśliwszy, bo stoję przed moim królem.

KRÓL.

Waszeć jesteś Polak?

KULCZYCKI.

Jerzy Kulczycki, szlachcic z Samborskiego, od dziesięciu lat w Wiedniu osiadły. Znam mowę turecką i z wiernym mym sługą Michajłowiczem potrafiłem uniknąć śmierci lub niewoli.

KRÓL.

Jakież mi wieści z Wiednia przynosisz?

KULCZYCKI.

Ostatnia niedola przyciska stolicę cesarską. Prochy i żywność już na schyłku, a i ludu do obrony już nie staje. Hrabia Stahremberg błaga, ażebyś Wasza Królewska Mość nie zwłóczył ratunku, gdyż zaledwie kilka dni wytrwa.

KRÓL.

Wracaj i oznajmij komendantowi, że już dzisiaj wyruszamy za Dunaj. Wypuszczone rakiety z gór Kah-

lenbergu oznajmią mu naszą obecność. Niechże mi takimiż sygnałami odpowie z wieży świętego Szczepana. Upomnij hrabiego Stahremberga, aby się trzymał, a gdy uderzymy na bisurmanów, niech on ze swej strony uczyni wycieczkę.

SCENA SIÓDMA.

DAWNI. — RUSZCZYC. — HUSSARZE. — JEŃCY.

(Za sceną słychać tumult — po chwili wchodzi Ruszczyc z towarzyszami, którzy prowadzą na arkanach pochwytanych Turczynów).

RUSZCZYC.

Miłościwy Królu! rozkaz spełniony: oto niewolnicy.

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

Jakto, więc tak prędko dopadliście nieprzyjaciela?

RUSZCZYC.

Zaraz za Dunajem ujrzeliśmy oddział spahów, liczący z półtora tysiąca. Uderzyliśmy z dwóch stron na nich i po krótkiej, zaciętej utarczce, do ucieczki zmusili. Kilku towarzyszy i rotmistrz Szumlański polegli.

KRÓL.

I jakież wiadomości?

RUSZCZYC.

Między pohańcami trwoga. Wieść o przybyciu Waszej Królewskiej Mości cały obóz przeraziła. Kara Mustafa postanowił zdobyć Wiedeń, nim odsiecz zdąży.

KRÓL.

Nie dopuścimy mu tej pociechy. Mości Książę i panowie elektorowie, obóz zwinąć! Wydajcie rozkazy, aby wojska natychmiast rozpoczęły przeprawę. Panowie hetmani w Imię Zbawiciela naprzód! Do widzenia na szczytach Kahlenbergu! Bóg nasza nadzieja!

WSZYSCY.

Bóg nasza nadzieja!

(Zabierają się do pochodu. Zasłona spada).

KONIEC ODDZIAŁU TRZECIEGO.

ODDZIAŁ CZWARTY.

KARA MUSTAFA.

OSOBY.

KARA MUSTAFA, wielki wezyr.
SELIM GIREJ, han tatarski.
KANTEMIR, hospodar wołoski.
SZEJK UL ISLAM.
MEHEMED, basza Sylistryi.
ACHMED, basza Anatolii.
IBRAHIM, basza Waradynu.
HUSSEIN, basza Budy.
OSMAN, aga janczarów.
BUGAJ-BEG, dowódca spahów.
ABDALLACH, SELIM, MUSTAFA — janczary.
HAKIM, przełożony eunuchów.
KULCZYCKI.
MICHAJŁOWICZ.
STASZEK.
HORPYNA.

DERWISZE. — JANCZARY. — SPAHY.

Scena w obozie tureckim.



Teatr przedstawia obóz turecki. Niezliczone namioty giną w oddaleniu. Po prawej stronie ogromny namiot zielony Kara Mustafy z nadzwyczaj bogatej materyi. Obok namiotu, przy kulisie, wysmukły minaret, to jest wieżyczka.

SCENA PIERWSZA.

(Muezzin na szczycie minaretu — na przodzie, na rozesłanych dywanikach, klęczą do ziemi schyleni: Osman, Bugaj-beg, Abdallach, Selim, Mustafa i wielu innych Turków. Przed nimi na dywanikach Szejk ul Islam i Ibrahim.

CHÓR TURKÓW.

Allach hou! Allach hou! Allach hou!
Allach hou! Allach hou! Mahomed!

MUEZZIN.

Allach hou! tyś jeden wieczny Bóg
I Mahomet, wielki prorok twój,
Niech przed tobą zadrży wróg,
Ty poprowadź wiernych w bój —
Niech zadrży ten szalony lud,
Co się chełpi, że twą pomoc ma.
Nie szczędź na nich kar,
Niech ich spali straszny żar,
Niech ich moc oślepi twa,
O uczyń cud!
O Allach usłysz modły sług,
Okaż, żeś ty nasz Bóg.

SZEJK UL ISLAM.

Modły ukończone.

IBRAHIM.

Oby niebo wysłuchało ich! Święty mężu, pobłogosław wiernych wojowników Islamu.

SZEJK UL ISLAM.

Niech błogosławieństwo jedynego Boga i Mahometa, jego proroka, spłynie na was, wierni wyznawcy Koranu. Niech wspiera prawicę wiernych a na giaurów spuści miecz Azraela, aby ich wytępił. Niech duch Omara ożywi wasze serca, a miecz Abubekera zrośnie się z waszą dłonią. Chwała Bogu i prorokowi a śmierć giaurom!

TURCY.

Śmierć giaurom!

SZEJK UL ISLAM.

A teraz bracia przejdźmy obóz dla podniecenia odwagi w wytrwałych, a obudzenia śpiących. *(Odchodzi, za nim Turcy — scena przez chwilę pusta).*

SCENA DRUGA.

(Z lewej strony wchodzą ostrożnie Kulczycki, Michajłowicz z teorbanem, Horpyna i Staszek, przebrany za niemiecką chłopkę).

STASZEK.

Zrobiliście ze mnie cudaka; tak mi się plączą nogi w tej kiecce, ze lada chwila wywrócę kozła.

KULCZYCKI.

Inaczej nie byłbyś się tu dostał. No dotąd idzie jako tako, ale co dalej będzie, jeden Bóg tylko wie.

MICHAJŁOWICZ.

Ja się tylko boję o tego draba, bo to takie niezgrabne, że go bisurmany odrazu poznają.

STASZEK.

O! możeś ty zgrabniejszy? Ujźrys wnet, jak ja oćmię poganów, a zreśtą poznają mię, to i cóż? — Raz kozie śmierć.

HORPYNA.

Nie bójcie się — ja tu sześć niedziel przesiedziałam, a nic mi nie zrobili, bo mnie mają za niesamowitą, a u nich człowiek, nie mający dobrego rozumu, żadnej krzywdy nie dozna.

STASZEK.

Mnie to będzie trudno; bo juści taka Rusinka, to już z urodzenia głupia, ale ja mam tyla rozumu, że sam nie wiem kaj go podzieć.

MICHAJŁOWICZ.

O to się nie turbuj; zasadzą go Turki na pal, zmieści się, choć taki wielki.

KULCZYCKI *(do Staszka).*

Pamiętaj udawać niemowę, bo jak słówko piśniesz, to cię sam jataganem przebiję. No teraz ostrożnie, starajcie się wcisnąć do namiotu odalisek.

SCENA TRZECIA.

DAWNI. — BUGAJ-BEG.

BUGAJ-BEG.

Stójcie poganki! Dokąd?

HORPYNA.

Prosić o kawałek chleba odalisek wielkiego wezyra.

BUGAJ-BEG *(do Staszka).*

A ty?

STASZEK *(udaje niemowę).*

Hm, um, hm.

BUGAJ-BEG *(dobywając jatagana).*

Gadaj! ktoś ty?

STASZEK.

Hm! hm!

KULCZYCKI.

Salem Alejkum Bugaj-Beg.

BUGAJ-BEG.

To ty przeklęty markietanie? — znowu cię eblis przyniósł do naszego obozu. *(Horpyna i Staszek chronią się za namiotem wezyra).*

KULCZYCKI.

Łaski, waleczny Bugaj-Begu. Przebacz mi, bo popełniłem znowu grzech przeciwko przepisom Koranu.

BUGAJ-BEG.

Łotrze! pewnie znowu przyniosłeś przeklęty napój?!

KULCZYCKI.

Tak, ale natychmiast ci go oddam, pobożny muzułmaninie, abyś go zniszczył. *(Wyjmuje butelkę wina).*

BUGAJ-BEG.

Dawaj bezbożniku. *(Odbiera butelkę)* Może kłamiesz, może to nie jest wino, którego prorok wiernym zakazał?

KULCZYCKI.

Przekonaj się perło Islamu.

BUGAJ-BEG *(kosztuje).*

Ha niegodziwy padalcze! *(pije)* Obrzydły napój. *(pije)* Nie mam go gdzie podzieć, *(pije)* żeby nie skusił którego z wiernych, *(pije)* trzeba go zniszczyć — ale pamiętaj, że mój grzech spadnie na twoją nieczystą duszę. *(pije).*

KULCZYCKI.

Niszcz go mężu świętobliwy.

BUGAJ-BEG *(do Michajłowicza).*

A może i ty ukrywasz w szarawarach ten szkaradny napój?

MICHAJŁOWICZ *(z udaną skruchą).*

Tak zacny Bugaj-Begu. *(Wyciąga butelkę)* Odbierz odemnie ten ciężki grzech.

BUGAJ-BEG.

Dawaj. *(Kosztuje)* To jeszcze lepsze. *(Chowa butelkę do kieszeni)* Macie szczęście psy, żeście na mnie trafili, bo kto inny jużby wam łby pościnał; ale ja lituję się nad waszą ciemnotą, znajcie moją wspaniałość! Pocoście tu przyszli?

KULCZYCKI.

Chcieliśmy uzbierać dla chorych trochę winogron, ale nas burza napadła i u was szukamy schronienia; chciejcie nas przyjąć.

BUGAJ-BEG.

Znaną jest gościnność muzułmańska. Odpocznijcie. *(Klaszcze — wchodzą janczary).*

SCENA CZWARTA.

DAWNI. — ABDALLACH. — SELIM. — MUSTAFA.

BUGAJ-BEG.

Podajcie fajki i gorący napój ze świętych ziarn Mokki, gdzie ścigany od nieprzyjaciół prorok, znalazł schronienie.

(Janczary wnoszą fajki i kawę. Kulczycki i Michajłowicz oraz Bugaj-Beg zasiadają na ziemi przed namiotem.

KULCZYCKI *(pijąc).*

Przepyszny to napój ta wasza kawa, wartoby ją rozpowszechnić po całym świecie.

BUGAJ-BEG *(podchmielony).*

Głupiś markietanie! — nie dodaje ani siły ani odwagi, a wino chociaż to napój wyklęty, stokroć jest lepsze, *(pociąga z flaszki)* gdy go łyknę parę kropełek, gotów jestem rzucić się na całe wojsko giaurów. *(Pociąga)* Tylko nieszczęście, że o wino tak trudno.

KULCZYCKI.

A cóżbyś powiedział wierny sługo proroka, gdybym ci podarował całą beczkę tego wyklętego napoju?

BUGAJ-BEG.

Całą beczkę?! Nie mów tego kusicielu, bo gotówbym cię uściskać.

KULCZYCKI.

Słuchajno — w namiotach wielkiego wezyra mam rodzoną siostrzenicę, którą mi Tatarzy porwali. Otóż jeżeli dopomożesz mi ją wykraść, to mojej obietnicy dotrzymam i dam ci beczkę pysznego wina.

BUGAJ-BEG.

Wykraść odaliskę z namiotu wielkiego wezyra?! Czyś ty oszalał?! Za nic w świecie tego nie zrobię!

KULCZYCKI.

Ha! jak ci się podoba. Mniejsza o to; dla mnie daleko lepiej, bo już myślałem ci dać jeszcze i drugą beczkę.

BUGAJ-BEG.

Jeszcze i drugą beczkę?

KULCZYCKI.

Ba! może jeszcze i sto cekinów w dodatku. *(Dzwoni mu sakiewką nad uchem).*

BUGAJ-BEG *(wyciągając rękę).*

Przeklęty szatanie, tybyś potrafił skusić samego proroka. Ha... może się i uda, bo wielki wezyr całkiem wojną zajęty, ani się pyta o niewolnice. Trzebaby tylko przeciągnąć na naszą stronę Hakima, przełożonego eunuchów.

KULCZYCKI.

Sprowadź mi go tutaj a znajdę i dla niego jaki podarunek.

BUGAJ-BEG.

Mnie nie wolno wchodzić do babskich namiotów. Ale wierz co, zaśpiewaj tę piosenkę o winie, która przeszłym razem tak się Hakimowi podobała, a jak ją tylko usłyszy ten stary pijak, to niezawodnie wylezie ze swojej nory.

KULCZYCKI.

Hej Michajłowicz, podaj mi teorban! *(Odbiera od Michajłowicza teorban).* A sam idź i przygotuj to

wino, które przywiozłem dla Bugaj-Bega *(Michajłowicz odchodzi).*

ŚPIEW.

I.

Wielki prorok, chociaż szpak,
Nie znał jaki wina smak
I w szaleństwie gardząc nim
Wzbronił go wyznawcom swym.
Gdyby święty prorok nasz
Łyknął codzień kilka flasz,
Byłby dożył setnych lat
I poturczył cały świat.

BUGAJ-BEG, ABDALLACH, SELIM, MUSTAFA *(pijąc).*

Byłby dożył setnych lat
I poturczył cały świat.

KULCZYCKI.

II.

Lecz Moslemin czystej krwi
Z tych zakazów sobie drwi,
Młody czy też stary ćwik,
Goli skrycie: łyk, łyk, łyk.
Niech więc prorok wodę chla,
A kto w głowie rozum ma,
Kto wesoło pragnie żyć,
Ten powinien winko pić.

BUGAJ-BEG, ABDALLACH, SELIM, MUSTAFA *(pijąc).*

Kto wesoło pragnie żyć,
Ten powinien winko pić.

SCENA CZWARTA.

DAWNI. — HAKIM.

HAKIM *(wykrada się z namiotu).*

Cóż to za bezbożne śpiewy rozlegają się przed namiotem namiestnika padyszacha?

BUGAJ-BEG.

Ech, to. nasz poczciwy markietan z Belgradu przyniósł z sobą parę flaszek zakazanego napoju.

HAKIM *(oblizując się).*

Może wina?... Niegodziwcze, tybyś się odważył! Pokażno! może to coś innego *(bierze butelkę od Kulczyckiego i pije).* Jak proroka kocham, tak wino *(pije).* Och ty niegodziwy, jak śmiałeś przynieść *(szepce mu do ucha)* tak mało?

KULCZYCKI.

Dostaniesz całą beczkę, jeżeli mi dopomożesz wykraść moją siostrzenicę z haremu wielkiego wezyra. *(Ciszej)* I kieskę cekinów.

BUGAJ-BEG.

Janczary ani mru mru! Idźcie zobaczyć, gdzie się znajduje wielki wezyr. *(Janczary odchodzą; do Hakima)* Jego siostrzenica, to ta Laszka, co po całych dniach beczy.

HAKIM *(do Kulczyckiego).*

Beczkę mówisz i kieskę cekinów? Hm, już ja z chęcią pozbyłbym się tej chodzącej fontanny, ale jak się wezyr dowie, to mnie każe na pal wbić.

BUGAJ-BEG.

Wezyr teraz nie myśli o niczem, jak o zdobyciu Wiednia; gdzieby tam na odaliski uważał. Potem przyjdzie bitwa i zapomni o wszystkiem.

HAKIM.

Zresztą kazał w razie przegranej, żeby wszystkim kobietom głowy pościnać.

KULCZYCKI.

A więc będziesz miał mniej do roboty, gdy jedną uwolnisz.

HAKIM.

Ba, kiedy wezyr wie, ile jest wszystkich odalisek, a gdy policzy łby i jednego zabraknie, to będę musiał oddać moją głowę. Gdyby tak skąd jaką dziewczynę dostać...

KULCZYCKI.

O to mniejsza; mam ja tu nie szpetną Niemeczkę, to ci ją dam za moją siostrzenicę. *(Woła)* Hej baby! chodźcie tu co żywo!

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — HORPYNA i STASZEK *(w ubiorze kobiecym).*

KULCZYCKI *(przedstawiając Staszka).*

A co? nie tęga odaliska?

HAKIM *(przygląda się Staszkowi).*

Doskonale, śliczna poganka. Sam padyszach wziąłby ją do swojego seraju. *(Do Staszka)* A jak ci na imię?

STASZEK.

Hm, hm!

HAKIM.

Wcale ładne imię; ale cóż ja z tą starą zrobię?

HORPYNA.

Oddajcie mi moją panienkę, a ja ją zaprowadzę do chrześcijańskiego obozu.

KULCZYCKI.

No, zabieraj dziewczynę. *(Wsuwa mu pieniądze)* A tu masz przyrzeczone cekiny.

HAKIM.

Poczciwy człowieku, oby się twój cień nigdy nie zmniejszył! *(Do Horpyny i Staszka)* No, pójdźcie baby. *(Do Kulczyckiego)* A pamiętaj o winie! Zaczekasz na mnie przy namiotach Karataszów i tam mi oddasz przyobiecane podarunki. *(Wzdychając)* O wielki Proroku! na jakież ciężkie próby wystawiasz twego wiernego sługę. *(Słychać zdaleka muzykę janczarską)*. A teraz umykaj, bo wielki wezyr tu idzie; gdyby cię ujrzał, przepadłoby i moje wino i cekiny i twoja głowa. *(Odchodzi ze Staszkiem i Horpyną do namiotu)*.

SCENA SZÓSTA.

BUGAJ-BEG. — KULCZYCKI.

KULCZYCKI.

Zrób mi tę łaskę i pozwól, abym się przypatrzył największemu wojowikowi Islamu.

BUGAJ-BEG *(odprowadzając go w głąb poza namiot)*.

Zostań więc i ukryj się za tą szatrą, aby cię nie dojrzała źrenica padyszacha. *(Kulczycki kryje się. Bugaj-Beg staje w głębi na boku tak, żeby go Kara-Mustafa nie widział)*.

SCENA SIÓDMA.

KULCZYCKI. — KARA-MUSTAFA

KARA-MUSTAFA *(wchodzi z janczarami i daje im znak aby odeszli)*.

Złowróżbne sny, zgubne przepowiednie; miałżebym, sięgając szczytu powodzenia, runąć w przepaść bez-

denną? Rozpaliłem w padyszachu żądzę wojny świętej z niewiernymi, zgromadziłem ludy trzech części świata, aby obalić potęgę krzyża, a wyznawców jego zamienić w sługi proroka. Liczni, jak ziarnka piasku w pustyni, jak liście drzew Mezopotamii wojownicy, oblegli stolicę niemieckiego cesarza. Na sam widok nieprzejrzanych zastępów Wiedeń powinien był przypaść do ziemi i ukorzyć się przed rządcą wiernych, a do dziś dnia dumnie stawia czoło i urąga potędze!

KULCZYCKI *(pada na twarz przed Kara-Mustafą).*

Potężny namiestniku padyszacha, pozwól, ażeby sługa twoich sług przemówił do ciebie kilka słów, które milszemi ci będą, aniżeli śpiew wiosenny słowika.

KARA-MUSTAFA.

Kto jesteś?

KULCZYCKI.

Selim, syn Jussufa, markietan z Belgradu. Wracam z obozu niewiernych i pragnę donieść ci, źrenico padyszacha, co się tam dzieje.

KARA-MUSTAFA.

Mów!

KULCZYCKI.

Niezmierna trwoga ogarnęła chrześcijan. Z upragnieniem oczekiwali przybycia króla Lechistanu.

KARA-MUSTAFA.

Więc przybył?

KULCZYCKI.

Ręka Allacha dotknęła króla niewiernych; ciężka niemoc napadła go wśród drogi — z choroby tej może

się już nie podźwignie. Anioł śmierci trzyma wzniesiony miecz nad jego głową.

KARA-MUSTAFA.

Prawdęż mówisz?

KULCZYCKI.

Przysięgam na święte imię proroka!

KARA-MUSTAFA.

Selimie, próbuj dostać się do miasta i rozpuść wieść o tem, coś widział. Odejmij im wszelką nadzieję odsieczy, a powiedz, żeś był w moim obozie, że w nim cisza panuje i nowy szturm nierychło nastąpi.

KULCZYCKI.

Nie dla nagrody, ale dla chwały proroka i usłużenia tobie, namiestniku padyszacha, chętnie wolność i życie moje poświęcę.

KARA-MUSTAFA.

Nagroda przejdzie twoje oczekiwanie. *(Klaszcze w ręce).*

SCENA ÓSMA.

DAWNI. — BUGAJ-BEG.

BUGAJ-BEG *(wchodzi).*

Wielki wezyrze — zgromadzeni baszowie oczekują twoich rozkazów.

KARA-MUSTAFA.

Przywołaj ich, a tego człowieka każ przeprowadzić przez obóz aż pod bramy Wiednia.

SCENA DZIEWIĄTA.

KARA-MUSTAFA. — SZEJK UL ISLAM. — MECHMED. — HUSSEIN. — ACHMED. — IBRAHIM. — OSMAN-AGA.

KARA-MUSTAFA.

Zwołałem was wodzowie wiernych, aby rozprószyć chmury posępne, jakie się na waszych czołach gromadzą. Jutro musimy być w Wiednia, jutro ostateczne zwycięstwo.

SZEJK UL ISLAM.

Nigdy stopa nasza nie dotknie stolicy cesarza niemieckiego, ani jej oczy nasze oglądać nie będą, albowiem Allach nie błogosławi wojnie, do której skłoniłeś padyszacha wbrew radzie najdoświadczeńszych mężów.

IBRAHIM

I ja widzę zatratę naszej potęgi. Rada moja: odstąpić od Wiednia, a cofnąć się w nasze granice i tam pociągnąć za sobą wojska niewiernych. Gdy odległość, trudy i brak żywności wyczerpią ich siły, wtedy ich łatwo rozgromisz wezyrze.

KARA-MUSTAFA *(z szyderstwem).*

Godna rada 80-letniego starca, w którym zgrzybiały wiek zagasił dawną odwagę.

IBRAHIM.

Wezyrze! jeszcze nie oglądałeś słonecznego światła, gdym ja broczył me ręce we krwi Lachów. Słuchaj rady doświadczonego wojownika: zwiń obozy, dopóki król Lachów nie nadejdzie, albowiem siła twoja przeciwko jego sile jest jako pajęczyna przeciwko stali.

ACHMED.

Samo jego imię najodważniejszych przejmuje trwogą.

HUSSEIN.

Sam eblis z nim sprzymierzony — jeżeli nie orężem, to czarami nasze wojska pokona.

OSMAN-AGA.

Bitne moje janczary szemrzą, bo dochodzi wieść że się już złączył z Niemcami.

KARA-MUSTAFA *(gwałtownie).*

A któż wam powiedział, że król Lechistanu jest w obozie niewiernych? W tej chwili odebrałem wiadomość, że w nim rozpacz i zwątpienie panuje, albowiem niemoc powaliła Sobieskiego i może w tej chwili pasuje się ze śmiercią.

MECHMED.

Czy tylko to wieść prawdziwa?

SCENA DZIESIĄTA.

DAWNI. — SELIM GIREJ. — KANTEMIR. — HORMUZAKI.

KANTEMIR.

Wielki wezyrze, wysłaniec mój wrócił z obozu chrześcijan.

KARA-MUSTAFA *(do Hormuzakiego).*

I cóż! cóż przynosisz?

HORMUZAKI.

Na własne oczy widziałem króla polskiego, a nawet rozmawiałem z nim. Rozkazał mi, ażebym ci powiedział wielki wezyrze, że cię wkrótce odwiedzi.

KARA-MUSTAFA.

Kłamiesz psie niewierny! *(Klaszcze w ręce, kilku janczarów wchodzi)* Wyprowadzić przeniewiercę i ściąć mu głowę.

KANTEMIR.

Wezyrze, zaprzysiągłeś, że jakąkolwiek wieść przyniesie, zaręczasz mu życie.

SELIM GIREJ *(zasłaniając Hormuzakiego).*

Wezyrze, on prawdę mówi. Król polski jest w obozie niewiernych z całą swoją potęgą. Wczoraj cię jeszcze uwiadomiłem o jego przybyciu, ale mi nie uwierzyłeś.

KARA-MUSTAFA.

Nie wierzyłem i nie wierzę! Ten zdrajca przekupiony; precz z nim!

SZEJK UL ISLAM.

Jako najwyższy kapłan proroka zakazuję wam broczyć rąk we krwi niewinnego — ten człowiek powiedział prawdę.

KARA-MUSTAFA *(gwałtownie).*

Kto się odważa sprzeciwiać moim rozkazom?! Ja tu najwyższym panem. Skinę, a nie tylko jego głowa, ale każdego, a nawet twoja Szejk ul Islamie, potoczy się u nóg moich. *(Szmer między baszami)* Milczeć buntowntcy!

SELIM GIREJ.

Wezyrze! czyń co ci się podoba — ja z mymi Tatarami opuszczam obóz.

KARA-MUSTAFA *(łagodnie do Gireja).*

Stary mój przyjacielu, lwie niezwalczony i tybyś się poddał uczuciom trwogi? Selim Girej, odważny

han tatarski, nie był i zdrajcą nie będzie. Selim Girej nie opuści wojsk padyszacha.

SELIM GIREJ.

Dobrze, zostanę; ale niech krew moich wojowników spadnie na twoją głowę, uparty wezyrze. Jutrzejsze słońce będzie świadkiem naszego upadku.

KARA-MUSTAFA.

Trwoga nie ma przystępu do mego serca. Niech przybywa ten dumny król! Niech wytęży całą swoją potęgę. Silniejsze nad jego wojska są zastępy wiernych, które prorok do boju poprowadzi. Kilka dni jeszcze upłynie, zanim niewierni tutaj nadciągną: jutro o świcie musimy Wiedeń zdobyć, jutro ostatni szturm, miasto obrócim w perzynę, lud w pień wytniemy; niech przyjdzie odebrać zwaliska i trupy Wiedeńczyków. Wyznawcy proroka, wołam was do walki za sławę padyszacha, za chwałę proroka. Wywieście świętą chorągiew Mahometa. Pod tym znakiem pójdziemy do boju z okrzykiem: Jeden Bóg i Mahomet jego prorok!

TURCY *(wznosząc dobyte szable).*

Jeden Bóg i Mahomet jego prorok!

KONIEC ODDZIAŁU CZWARTEGO.

ODDZIAŁ PIĄTY.

PRZED BITWĄ.

OSOBY.

KRÓL.
KSIĄŻE LOTARYŃSKI.
ELEKTOR BAWARSKI.
ELEKTOR BADEŃSKI.
ELEKTOR SASKI.
KSIĄŻE WALDECK.
DEGENFELD.
STANISŁAW JABŁONOWSKI.
HIERONIM SIENIAWSKI.
SZCZĘSNY POTOCKI.
WŁADYSŁAW DENHOFF.
MARCIN KĄTSKI.
MIĄCZYŃSKI, starosta lidzki.
ZWIERZCHOWSKI, podkomorzy łomżyński.
PATER AVIANO, kapucyn.
ROMAN RUSZCZYC.
MALCZYŃSKI, koniuszy królewski.
STASZEK }
JANEK } szeregowcy.
MACIEK }
ZOFIA, podkomorzanka halicka.
HORPYNA.

HUSSARZE PANCERNI. — WOJSKA NIEMIECKIE.

Rzecz dzieje się na szczycie Kahlenbergu dnia 12 września 1683.



Teatr przedstawia płaszczyznę na szczycie Kahlenbergu. Z lewej strony od widzów wystaje pogorzelisko kościoła Kamedułów — po prawej, przy kulisie, niewielki namiot królewski, w głębi którego stół z dwiema świecami i potrzebami do pisania. Na ziemi rozesłany materac. W oddaleniu widać okolicę, zasłaną namiotami tureckimi, przed nią sylwetka Wiednia z górującą wieżą Św. Szczepana. Od obozu tureckiego i od strony miasta widać ciągły ogień z bateryj i słychać głuchy huk działowy.

SCENA PIERWSZA.

(Król siedzi za stołem i pisze. Matczyński siedzi z boku na taburecie, przy namiocie królewskim. Na przodzie Maciek i Janek patrzą w dal).

MACIEK.

A pójdzze tu bliżej na pagórecek, to się lepiej przypatsys.

JANEK.

Rety! Marya! Strzelają i strzelają, aż ziemia jęcy!

MACIEK.

Takci też strzylali i pod Żurawnem, ale tam gorzej było, bo zbliska, a tutaj kula nie doleci. *(Wskazując Wiedeń)* Ale też to ogromne mieścisko, bez mała o wiele większe, jak Warsiawa.

JANEK.

Kiej to licho? Cy śnieg spadł, co taka bielusieńka równina?.

MACIEK.

To nie śnieg, jeno tak się bielą tureckie namioty.

JANEK.

O Matko Boska! Ani sposobu, żeby takiej ćmie dać radę.

MACIEK.

No juści, kieby tak na ludzką sprawę, to ani gadaj, ale nas król ma taką szablę, poświęconą przez Ojca Świętego w Rzymie, co jest na niej wyrobiona Najświętsza Panienka Częstochowska. To jak ci nią śmignie, to od razu tysiąc poganów ani dychnie.

JANEK.

Ej mój Maćku, chociaż ta, ale w wojnie to zawdy na dwoje: mozes wygrać, a mozes i przegrać.

MACIEK.

A ja ci powiadam, że król wygra, choćby i poganów było dziesięć razy tyla. Przecież ksiądz Dąbrowski u świętej Anny w Krakowie, co był jesce profesorem nasego króla, wyraźnie powiedział, co pobije Turka.

JANEK.

Oj skoda, skoda, ze nasego Staska Turki zabiły. Dopieroby ci ich prał! Zbereźnik bo zbereźnik, ale posukać w swiecie takiego drugiego chwata.

MALCZYŃSKI *(wstaje i zbliża się ku nim).*

Ciszej chłopcy, bo Najjaśniejszy Król pisze list do królowej; a o czem tak rozprawiacie?

MACIEK.

Ej o nasym Stasku, co królewskich koni pilnował. Posła bieda do obozu tureckiego ratować pannę Zaleską. Jej się udało, bo ją przywiodła Rusinka i do obozu Najjaśniejszego Króla przyprowadziła, ale Staska pogany porwały jak swego, ha no i musiały uśmiercić.

SCENA DRUGA.

DAWNI. — STASZEK.

MATCZYŃSKI.

I wiecie z pewnością, że go zabili?

MACIEK.

Jakżeby nie? — dyć te bestyje takie łakome na krew katolicką, że i dziecku przy piersi nie przepuscą. Wiecne odpocywanie rac mu dać Panie!

STASZEK.

(który wszedłszy przed chwilą podsłuchiwał, staje pomiędzy nimi mówiąc).

Amen!

MACIEK.

O rety Maryja! *(Żegna się)* Strzygoń!

STASZEK.

O ślepe mazury, nie widzicie, żem Staszek, ale nie strzygoń.

MATCZYŃSKI.

A więc uciekłeś z obozu tureckiego?

STASZEK.

Pojął mię jakiś stary Turcyn przebranego za dziewkę; przyniósł mi złociste babskie saty i kazał

się przebrać. Ale nieboracysko spił się jak bydle, ja tez, nie myślący wiele, podniosłem satrę do góry i dalej w nogi.

MACIEK.

Widzicie jaka bestyja zmyślna; jak kiej umze, to i z piekła Lucyperowi ucieknie i jesce mu kawał piekliska ukradnie.

MATCZYŃSKI.

A cóż tam wojska tureckie?

STASZEK.

Zwołują się do kupy i jedni ku miastu, drudzy zaś tutaj ku górom sadowią się po parjach i zaroślach. Takie to zaturbowane, że ani mnie nie uźreli.

MATCZYŃSKI.

Odejdźcie stąd, bo Najjaśniejszy Pan kończy pisanie. *(Szeregowcy odchodzą poza namiot)*.

SCENA TRZECIA.

KRÓL *(kończąc pisać)*.

»Zatem już kończyć muszę, całując milion razy wszystkie śliczności serca mego jedynego. Dan z gór Kalemberg die 12 septembris, o godzinie pierwszej po północy«. *(Składa list, adresuje i pieczętuje)*. Matczyński!

MATCZYŃSKI.

Słucham Waszej Królewskiej Mości.

KRÓL.

List ten natychmiast wysłać przez Gałeckiego i przywołać mi rotmistrza Ruszczyca. *(Matczyński od-*

chodzi) Już dobrze po północy, a trzebaby się chociaż godzinkę przedrzymać, bo ledwie stoję na nogach.

SCENA CZWARTA.

KRÓL. — RUSZCZYC.

RUSZCZYC.

Stoję na rozkazy Waszej Królewskiej Mości!

KRÓL.

No i cóż Romanie, nic o twojej bogdance nie słychać.

RUSZCZYC.

Wszystkie nadzieje upadły: Kulczycki przyrzekł dopomódz moim wysłańcom, ale od trzech dni żadnej niema wiadomości i zapewne wszyscy wpadli w ręce Turczyna.

KRÓL.

Szkoda, że jesteś strapiony, bo ważnej od ciebie żądam usługi.

RUSZCZYC.

Rozkazuj Miłościwy Królu.

KRÓL.

Dzisiaj królewicz Jakób po raz pierwszy spotka się z nieprzyjacielem. Dzielne to i odważne chłopię, ale niedoświadczone. Otóż wybrałem ciebie, abyś był jego instruktorem, walczył obok niego, był jego tarczą i orężem.

RUSZCZYC *(całuje rękę króla)*.

Anim zasłużył, anim godzien tak wielkiej łaski. Przysięgam uroczyście, że pierwej ostatnią kroplę krwi

wyleję, aniżeli najmniejsze niebezpieczeństwo dotknie świętej dla mnie osoby królewicza.

KRÓL.

Wzajem ja ci małe zgotuję wesele. *(Klaszcze)*.

SCENA PIĄTA.

DAWNI. — MATCZYŃSKI, *potem* ZOFIA i HORPYNA.

MATCZYŃSKI.

Miłościwy Królu?

KRÓL.

Przyprowadźno mi waść gości przybyłych z obozu tureckiego. *(Matczyński wychodzi i wprowadza Horpynę i Zofię)*.

KRÓL.

Mości rotmistrzu, przypatrz się tym niewiastom!

RUSZCZYC.

Boże wszechmocny, panna Zofia!

ZOFIA.

Pan Roman! *(Upada do nóg królowi)* O Najjaśniejszy Królu, jakże ci dziękuje biedna sierota za to, żeś ją wyzwolił z jassyru.

HORPYNA.

Niech Pan Bóg zleje wszystkie łaski na Najjaśniejszego Króla.

KRÓL.

Idź Romanie i zaprowadź pannę Zaleską w bezpieczne miejsce, a wracaj, bo cię wkrótce potrzebować będę. *(Horpyna, Ruszczyc i Zofia odchodzą)*.

SCENA SZÓSTA.

KRÓL. — MATCZYŃSKI.

KRÓL.

(stawia na stoliczku zegarek i nakręca go — do Matczyńskiego).

Czy zapowiedziano w całym obozie, żeby nikt nie śmiał pod gardłem ani ognisk rozpalać, ani tytoniu kurzyć?...

MATCZYŃSKI.

Przy wieczornej pobudce rozkaz ten był wydany.

KRÓL.

Jestem wielce sfatygowany, potrzebuję nieco się przespać, a tu czuwać trzeba koniecznie.

MATCZYŃSKI.

Czegóż pilnować należy?

KRÓL.

Będzie mi tu dawał znaki komendant Wiednia Stahremberg, wypuszczając z wieży świętego Szczepana rakiety.

MATCZYŃSKI.

Ile ich ma być?

KRÓL.

Trzy!

MATCZYŃSKI.

Miłościwy Królu, trzeba się koniecznie wywczasować. Niech się Wasza Królewska Mość położy, ja już dopilnuję.

KRÓL.

Dobrze Matczyński, znam czujność twoją, ale pamiętaj, żebyś mnie za każdym znakiem obudził. *(Kładzie się i zasypia).*

MATCZYŃSKI.

(siada nu tabureciku przy otworze namiotu i patrzy w stronę Wiednia — cisza na scenie, przerywana tylko odległą kanonadą — muzyka gra piano melodyę).

Król od dwóch dni zaledwie na chwilę zamrużył oczy. Niezmordowany, niestrudzony, wszędzie być musi, wszystko widzieć, wszystkiego dopilnować. Straszny potędze Osmana, oby tylko żył długo dla szczęścia Rzeczypospolitej a z równem szczęściem gromił i innych nieprzyjaciół, czyhających na naszą zgubę. *(Z wieży świętego Szczepana wylatuje rakieta — Matczyński budzi króla).*

MALCZYŃSKI.

Miłościwy Królu, jest pierwszy znak.

KRÓL *(unosząc się nieco z pościeli).*

A więc Stahremberg wie, żem się przeprawił przez Dunaj. *(Druga rakieta).*

MATCZYŃSKI.

Jest i drugi sygnał Najjaśniejszy Panie!

KRÓL.

Więc i o tem wie, żem się połączył z wojskami Rzeszy Niemieckiej i osadzi góry ponad obozem bisurmanów. Nasz Kulczycki dzielnie się spisał. *(Trzecia rakieta).*

MATCZYŃSKI.

Trzecia rakieta!

KRÓL.

Chwałaż Bogu na wysokościach! Wiedz zatem, że ze świtem rozpoczniemy bitwę. *(Kładzie się).*

(Podczas snu królewskiego zaczyna świtać. Słychać za kulisami nieco w oddaleniu na trąbach hejnał »Do ciebie się uciekamy o Marya! Marya!« — Po przegraniu tej pieśni excytarz w namiocie królewskim zaczyna dzwonić).

KRÓL *(zrywa się).*

A więc już czas. Hej jest tam kto?

STASZEK *(wpada).*

Jestem Mości Królu!

KRÓL.

Biegaj do kapelanów, aby mszę świętą odprawiali. Niemasz mensy, więc ją z bębnów ustawić. A ty Matczyński poślij mi po elektorów i hetmanów. Ja się muszę przebrać. *(Niknie w głębi namiotu).*

SCENA SIÓDMA.

STASZEK. — MACIEK. — JANEK i DWÓCH BRACISZKÓW KAPUCYŃSKICH.

STASZEK *(wraca).*

A nuże, ślepe mazury, znosić bębny!

(Maciek i Janek znoszą bębny, które w głębi sceny na środku ustawiają w kształcie ołtarza — braciszkowie zaścielają go białym rańtuchem i umieszczają na nim wielki krucyfiks oraz cztery lichtarze ze świecami).

MACIEK.

Tu się msza święta będzie odprawować?

STASZEK.

A gdzieżeś chciał?

MACIEK.

Kiej niema prawdziwego ołtarza.

STASZEK.

To biegajże do Warszawy, albo do Krakowa i przynieś prawdziwy a śpies się, bo się nie długo nabożeństwo zacnie.

MACIEK.

Do Krakowa? Czyś ty oszalał?

STASZEK.

Jakie też to mazurzysko głupie! Cóż tak ślipie na mnie wytrzyscas? A wynośże się, bo cała starsyzna tu wali!

SCENA ÓSMA.

KSIĄŻE KAROL LOTARYŃSKI. — ELEKTOROWIE: BAWARSKI, BADEŃSKI, SASKI. — KSIĄŻE WALDECK. — DEGENFELD, *(wszyscy w błyszczących karacenach z jednej strony).* — JABŁONOWSKI. — SIENIAWSKI. — DENHOFF. — POTOCKI. — KĄTSKI. — MIĄCZYŃSKI. — ZWIERZCHOWSKI *z drugiej strony.* HUSSARZE. — WOJSKO NIEMIECKIE.

KSIĄZE LOTARYŃSKI.

Nakoniec przyszła chwila ostatniej rozprawy; jeżeli dziś nie stoczymy bitwy, Wiedeń upadnie.

JABŁONOWSKI.

Książe dowodzi lewem skrzydłem?

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

Tak — z elektorem bawarskim. Środek zajmą elektorowie saski i bawarski oraz książe Waldeck.

A wy panowie hetmani na prawem skrzydle rozprawić się macie z Turkami.

SIENIAWSKI.

Najlepszy kąsek, bo tam główna siła Muzułmanów i sam Kara Mustafa dowodzi.

ELEKTOR SASKI.

I największa zdobycz, bo tam skarbiec wielkiego wezyra.

SIENIAWSKI.

Co komu w głowie; nam ocalenie chrześcijaństwa a panom Sasom łupy wojenne.

ELEKTOR SASKI.

Nie zapominaj waćpan, że mówisz do panującego.

SIENIAWSKI.

Ej, mości elektorze, u nas każdy szlachcic ma się za równego, a może i za coś lepszego, aniżeli jakieś tam cudzoziemskie książątko. U nas z szlachcica wyrastają królowie.

ELEKTOR SASKI *(zrywając się do szpady)*.

Panie hetmanie!

JABŁONOWSKI.

Schowaj książe ten ferwor na Turka, a gdyśmy dobrowolnie przyśli wam na pomoc, to nie szukajcie z nami zaczepki.

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

Na Imię Chrystusa Pana zaklinam was dostojni panowie, zaniechajcie błahych sprzeczek! Sam król rozporządził, gdzie które wojska uderzyć mają, jego więc woli słuchajmy.

SCENA DZIEWIĄTA.

DAWNI. — MATCZYŃSKI. — KRÓL.

MATCZYŃSKI *(oznajmując).*

Najjaśniejszy Król.

KRÓL.

(w czarnym, grodeturowym kontuszu, przepasany złotym łańcuchem, na piersi zawieszony krzyż z Panem Jezusem).

Dostojni panowie! Nadeszła nakoniec dawno, a niecierpliwie oczekiwana chwila stoczenia walnej bitwy z Muzułmanami i zwalczenia potęgi, całemu chrześcijaństwu zagrażającej. Szczęśliwe przebycie niedostępnych gór i przepaści bez przeszkody od nieprzyjaciela, który nam podczas marszu ciężkie mógł zadać klęski, wróży, że powodzenie i dalej nam służyć będzie, że Bóg Wszechmocny da świętej sprawie zwycięstwo. Niezliczone są bisurmanów siły, ale szczuplejsze siły powiodą do boju aniołowie i święci pańscy.

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

Wydaj tylko Najjaśniejszy Panie hasło do boju, a ujrzysz, z jakim zapałem wojska nasze uderzą na barbarzyńców.

KRÓL.

Przedewszystkiem trzeba zaniepokoić samego Kara Mustafę. Gdzie jest rezydent od chorągwi królewicza Aleksandra?

ZWIERZCHOWSKI *(występując).*

Jestem Miłościwy Królu!

KRÓL.

(patrzy przez perspektywę a potem daje ją Zwierzchowskiemu).

Czy widzisz waszmość namiot wielkiego wezyra?

ZWIERZCHOWSKI.

Widzę Najjaśniejszy Panie.

KRÓL.

Z chorągwią królewicza Aleksandra masz mi waszmość skruszyć kopie o namiot wezyrski. Jeżeli cię bardzo bisurmany przysiędą, to pamiętaj, żebyś ich na mnie nie naprowadzał. Panowie: Potocki i Miączyński pójdą ze swojemi chorągwiami na sukurs. *(Do elektorów)* Książęta saski i bawarski, gdy ujrzą atak na namioty wezyra, natychmiast na janczarów uderzą. Elektor saski pierwszy uderzy. *(Do Kątskiego)* Mości generale armaty koronnej, na ciebie dziś liczę prawie tyle, co na chorągwie hussarskie.

KĄTSKI.

Pozwól mi Miłościwy Królu zostawić wozy i z samemi tylko armatami spuszczać się z góry, a ręczę za wszystko.

KRÓL.

Czyń waszmość jak ci się wydaje najlepiej, a przypomnij bisurmanom żórawińskie moździerze.

KSIĄŻE LOTARYŃSKI.

Miłościwy Monarcho, czy dać sygnały do bitwy?

KRÓL.

Zanim do ważnej zabierzemy się sprawy, ważniejszą wprzódy spełnić należy. Panowie elektorowie, zapraszam was na ofiarę Mszy Świętej, bez wysłuchania której Polacy nigdy nie rozpoczynają bitwy. Kto z Bogiem — Bóg z nim.

SCENA DZIESIĄTA.

(Wchodzi ksiądz Aviano i staje na stopniu ołtarza; Król klęka tuż przy nim, jako mający do mszy służyć. Po lewej stronie książęta niemieccy. Po prawej wodzowie i rycerstwo polskie klęka, pozostawiając wolny środek, żeby króla było widać).

AVIANO *(obracając się ku klęczącym).*

»A Madjanitowie i Amalekitowie i wszystek lud od wschodu słońca leżeli jako szarańcza i byli jako piasek, który jest na brzegu morza niezliczony«.

»I rzekł Pan: przez tych trzystu mężów Gedeonowych wybawię was, a podam Madjanity w ręce wasze«.

Żołnierze Chrystusowi! Oto leży przed wami liczny jako szarańcza i jako piasek nadmorski wróg Krzyża. Westchnijcie gorąco i połączcie modły wasze z moimi, a Bóg da wam zwycięstwo. Vinces Johannes!

(Odwraca się ku ołtarzowi i rozpoczyna ofiarę świętą. Wszyscy schylają się ku ziemi. Rycerstwo polskie rozpoczyna pieśń »Boga Rodzico Dziewico!«).

KONIEC ODDZIAŁU PIĄTEGO.

ODDZIAŁ SZÓSTY.

PO BITWIE.

OSOBY.

KRÓL JAN III.
KSIĄŻE LOTARYŃSKI.
ELEKTOR BAWARSKI.
ELEKTOR SASKI.
KSIĄŻE WALDECK.
DEGENFELD.
HRABIA STAHREMBERG.
HETMAN JABŁONOWSKI.
WOJEWODA SIENIAWSKI.
DENHOFF.
LUBOMIRSKI.
GENERAŁ KĄTSKI.
MIĄCZYŃSKI.
MATCZYŃSKI.
ZWIERZCHOWSKI.
KRÓLEWICZ.
RUSZCZYC.
PATER AVIANO.
STASZEK.
JANEK.
MACIEK.
THOMASSO TALENTI, sekretarz króla.
JERZY KULCZYCKI.

MICHAJŁOWICZ.
LIEBENBERG, burmistrz.
GOLDSCHMIDT.
HÜTTENDORF.
EICHBÜCHEL.
REICH.
PEPI.
KNOLL.
KLANG.
SCHWALBE.
FLECK.
ZWIRN.
KRAFT.
PANI GEISBERG.

RYCERZE POLSCY. — WOJSKO POLSKIE I NIEMIECKIE. — LUD.



Teatr przedstawia plac w Wiedniu koło kościoła Augustyanów. Na prawo od widza tenże kościół. Przy wejściu do kościoła krzyż. W głębi bastyony i roboty ziemne koło bramy szkockiej. Dalej namioty tureckie, w środku których zdobyty namiot wielkiego wezyra. Ulica prowadząca do placu kościoła, otoczona domami z balkonami, na których mieszkańcy z kwiatami i wieńcami w rękach. Za podniesieniem kurtyny lud na ulicy i balkonach oczekuje wejścia króla. Hrabia Stahremberg otwiera w środkowym bastyonie furtkę wycieczkową, którą wchodzi Jan III, otoczony wszystkimi książętami i panami polskimi. Przed królem Zwierzchowski niesie wielką chorągiew turecką — Ruszczyc i Miączyński dwa buńczuki. Matczyński niesie przy królu złocistą szablę wezyra. Za orszakiem królewskim w dali prowadzą Janek i Maciek konia wezyra ze siodłem złocistem, u którego jedno tylko strzemię. Za ukazaniem się króla lud ciśnie się do niego, całuje ręce, nogi i suknie; inni dotykają się szat królewskich. Słychać głosy: »Ah! Niech tę rękę tak waleczną ucałujemy!« Z jednej gromady ludu daje się słyszeć okrzyk: Viwat! Lud sypie kwiaty pod nogi króla. Przez czas zbliżania się króla orkiestra gra marsz tryumfalny. Orszak, zbliżywszy się na przód sceny, grupuje się się podług obrazu Matejki. Polacy na lewo od widza. Książęta, hr. Stahremberg, elektorowie na prawo. Lud. Wojsko w głębi. Na znak, dany przez króla, wszystko się ucisza. Orkiestra przestaje grać.

KRÓL *(wysunąwszy się nieco naprzód).*

Wszechmocny pobłogosławił orężowi chrześcijańskiemu! Dozwolił nam po krwawej walce oswobodzić Wiedeń! Wojska wszystkie, które bardzo do-

brze czyniły swoją powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę. Wróg chrześcijaństwa rozproszony, obóz wezyra zdobyty, działa, prochy, amunicye, prowianty także zdobyte. Znaczna liczba poległych nieprzyjaciół, równie liczny jeniec, koń, szabla, namioty wezyrskie i ta ich święta chorągiew z Mekki, oto owoce zwycięstwa! *(Zwracając się do ks. Lotaryńskiego i elektorów)* Mości książe! Składam hołd twemu męstwu i geniuszowi wojskowemu, który świetnie zabłysnął w bitwie wczorajszej. Ty, mości książe, z elektorami, księciem Waldeck, margrabią badeńskim i innymi, walcząc przez dzień cały na lewem skrzydle i w centrum, a wsparci chorągwią Lubomirskiego, znamienicie współdziałaliście z hufcami naszymi, które na prawem skrzydle ścierały się z nieprzyjacielem. Cześć wam dostojni wodzowie oraz innym walecznym, co w dniu tym pamiętnym nieśmiertelną okryli się sławą. Nie tylko walczyliście, jak przystało na chrześcijańskich rycerzy, ale słuchaliście wzorowo moich rozkazów, a tem daliście przykład, że karność jest rękojmią wygranej, przykład, godny naśladowania. *(Spogląda z temi ostatniemi słowy na Polaków. Zwracając się do Stahremberga)* Przedewszystkiem jednak winniśmy wdzięczność temu dzielnemu wojownikowi, co rzymskich wodzów przypomniał nam cnoty, a który stałością, wytrwałością i siłą ducha umożebnił odsiecz stolicy i zbawienie chrześcijaństwa. *(Ściskając za rękę Stahremberga)* Obrońco Wiednia! Słów na twoją pochwałę nie wystarczyłoby; niech je zastąpi radość, która maluje się na obliczach obecnych. Nie małego trzeba było hartu rycerskiego, aby utrzymać się i obronić przed tak potężnym, zaciętym wrogiem tak długo, aż do takiej ostateczności.

W imieniu wszystkich, co wczoraj walczyli, składam ci dzięki.

STAHREMBERG.

Uścisk króla bohatera i zbawcy mej ojczyzny najpiękniejszą jest dla mnie nagrodą. Najjaśniejszy Panie! Wieść o twojem przybyciu była mi najpotężniejszą pomocą, bo ona dozwoliła mi wytrwać. W ślad za nią nie tylko we mnie, ale i w ten biedny lud wstąpiła nadzieja zwycięstwa i oswobodzenia, którą na pożytek chrześcijaństwa i Pana mego, Najjaśniejszego Cesarza, ziściłeś Miłościwy Królu! Czyny takie uświęcić — nie ludzi, lecz dziejów jest zadaniem.

KS. LOTARYŃSKI.

Twej szlachetnej pomocy, wiedzy wojskowej, odwadze osobistej, zarówno jak znanej i wypróbowanej waleczności hufców, które z dalekich stron ze sobą przywiodłeś, zawdzięczamy wczorajsze zwycięstwo, chrześcijaństwo zbawienie, cesarstwo i ta stolica oswobodzenie

ELEKTOR SASKI.

Oczy nasze zwrócone były ku stronie, z której twoja waleczna armia, Najjaśniejszy Panie, ukazać się miała. A dopiero kiedy wśród krwawej walki u stóp Kahlenbergu ujrzeliśmy około godziny drugiej szeregi, znaczne proporcami polskich kopij, wzniósł się pomiędzy wojskiem naszem niewymowny okrzyk radości, który na Turkach oczywiste wrażenie sprawił; okoliczność ta przeważyła na naszą stronę szalę.

KS. LOTARYŃSKI.

Do najpiękniejszych dni życia mojego zaliczam ten, w którym pod twojem dowództwem Bóg pozwo-

lił mi przyczynić się do pogromu wrogów chrześcijaństwa.

STAHREMBERG.

Lud tej starej stolicy na wieki zachowa pamięć wielkiego czynu twojego, Najjaśniejszy Panie, oraz poświęcenia twoich wodzów i żołnierzy. Pamięci tej nie zdołają zatrzeć głosy zazdrości i nienawiści, które, jak nas uczą dzieje, podnoszą się zwykle w ślad za wielkimi czynami ofiarności.

KS. LOTARYŃSKI.

Dzięki ci Najjaśniejszy Panie za słowa uznania, których nie skąpiłeś lewemu skrzydłu i centrum armii chrześcijańskiej. *(Zbliżając się do hetmana Jabłonowskiego i ściskając go za rękę)* Pozwól, abym w osobie waszmość hetmana koronnego uczcił całe wojsko polskie. Szlachetni rycerze, walczyliście pod okiem waszego bohaterskiego króla, ożywieni, jak on, uczuciem obowiązku dla świętej sprawy. Bóg pobłogosławił wam! Historya zapisze wasze imiona! Nagroda za podobne czyny w ich spełnianiu. Wdzięczność współczesnych i potomnych zbyt często jest zawodną, ale sprawiedliwość dziejowa zrządzi, że kiedyś wybawczy wasz czyn wynagrodzonym zostanie i że tak, jak połączonemi siłami zasłoniliśmy świat chrześcijański przed niewiernymi, tak samo to wielkie państwo i naród polski, zespoleni przyjaźnie w obronie wspólnej sprawy, zasłaniać będą Europę przed barbarzyństwem w imię prawa i wolności!

KRÓL.

Oby krew, wczoraj wspólnie przelana, przypieczętowała sojusz, o którym tak wzniośle wspomniałeś mości książe!

Dostojni książęta, wodzowie i panowie! Zapoznałbym obowiązku wodza, gdybym nie oddał wobec was wszystkich słuszności walecznemu wojsku mojemu. *(Zwracając się do Polaków)* Cześć wam! Cześć ci waszmość hetmanie koronny, Jabłonowski, tobie wygraną dnia wczorajszego w znacznej części zawdzięczamy. Dzielnie ucierałeś się z hanem. Z niezrównaną odwagą uderzyłeś na armię wezyra. Bacznie i umiejętnie dowodziłeś prawem skrzydłem.

JABŁONOWSKI.

Pod twojem okiem Najjaśniejszy Panie animusz rycerski potęguje się — Twoje rozkazy wiodą do zwycięstwa. Nie małą było dla nas pociechą widzieć cnotę twoją wojskową odrodzoną w dostojnym królewiczu.

KRÓL.

Dzięki ci także, hetmanie polny Sieniawski. Dzięki Lubomirski. Dzięki generale artyleryi Kątski, coś połączył wiedzę z walecznością a tak pięknie wczoraj zagrałeś Turkom z twoich dwudziestu ośmiu armat. Dzięki wam naczelnicy i oficerowie różnych chorągwi. Na szczególną pochwałę zasługują chorągwie husaryi i chorągwie pancerne. Wszystkich was raczej powstrzymywać, niż zagrzewać przyszło. Przed waszą walecznością wielka armia ottomańska na raz jeden rzuciła się w ucieczkę i jakby w jednej chwili z oczu znikła. Doniosłem już do Krakowa o czynach waszych a przez Duponta przesłałem królowej Imci strzemię wezyra polecając, aby w katedrze na Wawelu u nóg Zbawiciela Ukrzyżowanego zawiesiła je. Ślubuję, mości panowie, żeśmy dobrze krwią szlachecką oblali tę przysługę cesarską i całego Chrześcijaństwa! Opłaku-

jemy zgon walecznych, których imiona potomność czcić będzie. Zginęli dzielny Asweros, w kwiecie wieku Stanisław Potocki, Modrzewski, Tatomir, Zbąski, Słuszki, mój dworzanin Kinzyk i wielu innych. Wznieśmy do Boga modlitwę za tych, co polegli, walcząc dla sprawy chrześcijaństwa i dla sławy Polski! *(Król zdejmuje czapkę, przyklęka. Inni obecni czynią to samo — krótka modlitwa, którą król kończy słowem »Amen«, powtórzonem przez obecnych).*

KRÓL *(wstając).*

A teraz, dostojni książęta i mości panowie, niech myśl nasza zwróci się przedewszystkiem do Ojca Chrześcijaństwa. Jemu należą się trofea dnia tego, bo on nas wszystkich zachęcił i zagrzał do świętej wojny, on pobłogosławił, on wymodlił zwycięstwo. Mości Talenti, spiesz do Rzymu, złóż u stóp Ojca Świętego tę zdobytą na niewiernych chorągiew. Zechce może Jego Świątobliwość zawiesić ją obok tych, które mu dawniej przesłałem. Oto list do Papieża. *(Oddaje Talentemu list)* Powiedz Inocentemu XI: Venimus, vidimus, Deus vicit!

WSZYSCY *(wydają okrzyk).*

Niech żyje Innocenty! Niech żyje Jan III!

KRÓL.

A my spieszmy do stóp ołtarzy zanieść Wszechmocnemu pokorne dzięki za to, że pozwolił nam jego dzieło spełnić. Do kościoła!

(Król postępuje ku kościołowi Augustyanów. Lud rzuca mu pod nogi kwiaty. Dziewice w bieli, ustawione na schodach kościoła, ofiarowują mu wspaniały wieniec, który król przyjmuje i wchodząc do kościoła zawiesza na ze-

wnętrznym krzyżu. Starszyzna postępuje za królem. Król znika w kościele, a za nim część starszyzny. Inni klękają w dwóch rzędach na stopniach kościoła, za nimi wojsko i lud tak, aby całą scenę zajęli. W głębi koń wezyra. Z wnętrza kościoła słychać jak król intonuje »Te Deum laudamus«. Orkiestra, udając organy, wtóruje. Wszyscy za królem śpiewają »Te Deum« chórem. Wśród śpiewu zasłona spada powoli).

KONIEC.

OBRAZ

»PRZESŁANIE CHORĄGWI MAHOMETA DO RZYMU«.

Teatr przedstawia obszerny plac w Wiedniu, przepełniony ludem. Po prawej stronie Stahremberg, książe Lotaryński, elektorowie i starszyzna — po lewej starszyzna polska. Na podniesieniu w samym środku, stoi król Jan, trzymając w lewej ręce chorągiew Mahometa, którą podaje opatowi Węchockiemu dla zawiezienia do Rzymu. U stóp króla leżą trofea broni tureckiej i pokuci jeńcy. Lud dokoła wyciąga ręce do króla.

(Obraz ten ułoży pan Kossak, nie kto inny. — *(Przyp. autora).*



SPIS RZECZY.

